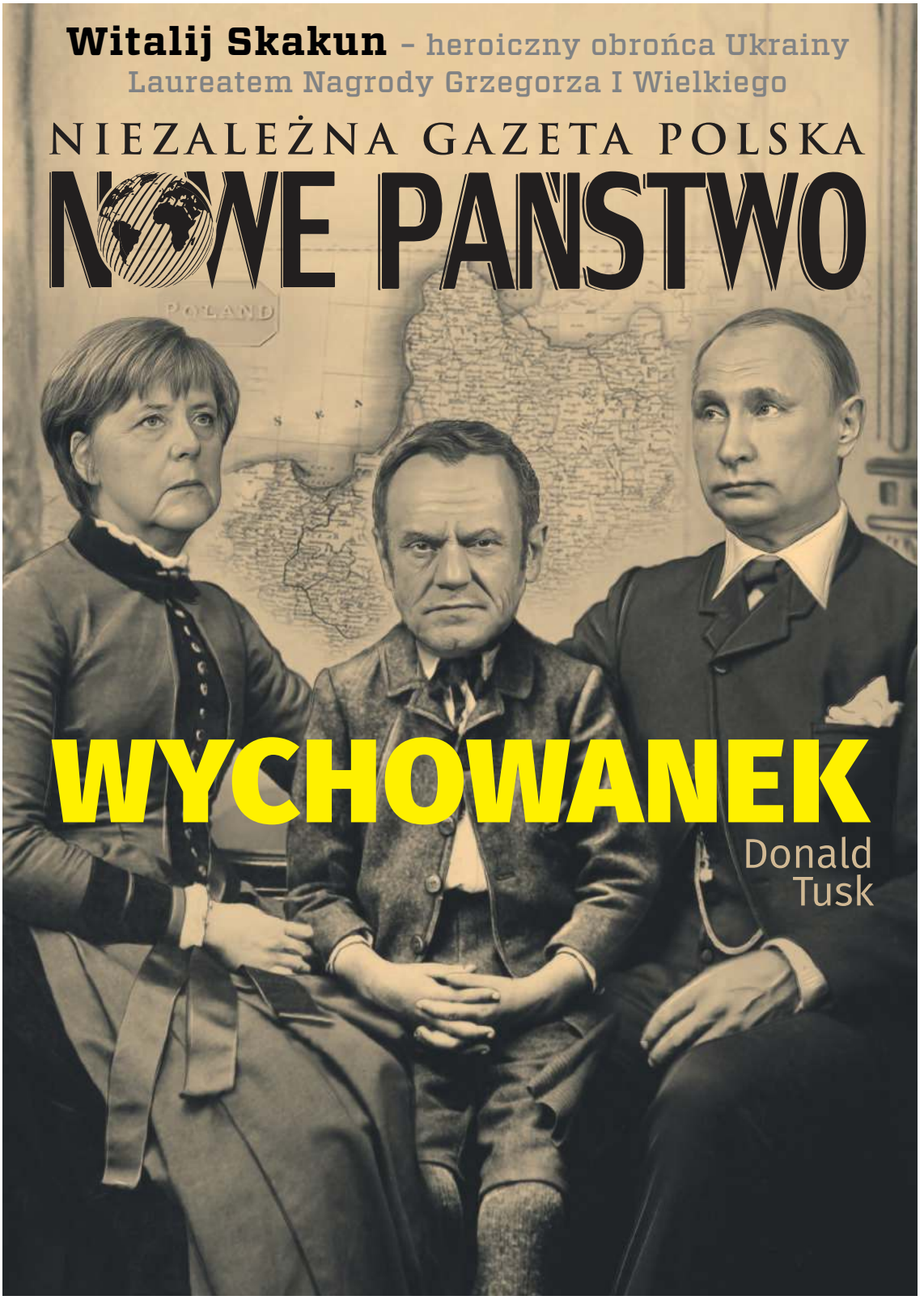
Witalij Skakun – heroiczny obrońca Ukrainy
Laureatem Nagrody Grzegorza I Wielkiego

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



WYCHOWANEK
Donald Tusk

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.nowepaństwo.pl 177 02/2021

ILUSTRACJA: MARIUSZ PROCHNICKI, TRYBUNA NARODU, WITWICKI/GAZETA POLSKA (2), ZBYSZEK KACZOROWSKI, MARTA PIELICHOWSKA, NEWSWEEK (2)

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 0c7443f31f

TEMAT NUMERU 6–16



Tusk a Berlin, Moskwa i totalna hybrydowa opozycja / 6

IDEE 18–35



Żal za tamtą Ukrainą albo „pańskie wytrybeńki” / 18

HISTORIA 36–57



Pchał kulę ziemską, by starczyło miejsca na Polskę / 36

SPOŁECZEŃSTWO 58–73



Cisi bohaterowie spod północnych ścian / 58

ŚWIAT 8–97



Półprzewodniki i ich polski początek / 78

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Tusk a Berlin, Moskwa i totalna hybrydowa opozycja /6
Ryszard Czarnecki
Łże-realizm Donalda Tuska /13
Piotr Lisiewicz
Tusk, czyli kumulacja zdrady. Studium zapadania się /14

IDEE

Ewa Polak-Pałkiewicz
Żal za tamtą Ukrainą albo „pańskie wytrybeńki” /18
Jakub Augustyn Maciejewski
Bóg opiekujący się niesforną ludzkością /26
Tomasz Łysiak
Henryk Pobożny – najbardziej chrześcijański władca Polski /30
Małgorzata Matuszak
Jeśli nie szacunek, to co? /33

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Pchał kulę ziemską, by starczyło miejsca na Polskę /36
Dariusz Jarosiński
Sąsiedzi. Inna historia miasteczka /42
Agnieszka Kowalczyk
Gdy otwarły się bramy Auschwitz /48
Zdzisław Dębicki
„Naród” amerykański /54

SPOŁECZEŃSTWO

Stefan Czerniecki
Cisi bohaterowie spod północnych ścian /58
Olga Doleśniak-Harczuk
Pudła pełne kości /68
Krzysztof Karnkowski
„1899” – rejs w nieznane, rejs donikąd /71

ŚWIAT

Hanna Shen
Półprzewodniki i ich polski początek /78
Grzegorz Wszołek
Kum Putina. Dlaczego Medwedczuk jest zdrajcą? /82
Antoni Rybczyński
Sezon na szpionów /86
Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92
oprac. Antoni Rybczyński
„Ruski mir” Putina i „kot Schrödingera”: co mają ze sobą wspólnego? /94

eprasa.pl 0c7443f31f

Stałe **rubryki**


Katarzyna Gójska
Heroiczny obrońca Ukrainy Laureatem nagrody Grzegorza
NA POCZĄTEK 3


Marcin Wolski
Instynkt lokaja
PAPKULTURA 17


Małgorzata Matuszak
Czym jest... spór
KATECHIZM INTELIGENTA 25


Krzysztof Wołodźko
Poskładać polską opowieść
DZIENNIK LEKTUR 74


Ryszard Czarnecki
Ja z nich
CZARNECKO TO WIDZĘ 85


Olga Doleśniak-Harczuk
Bismarck w światach równoległych
Z GLOBALNEGO TYGLA 90


Marek Kalinowski
Nigdy nie jest za późno
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 98


Tomasz Sakiewicz
Jak lewica ukradła liberalizm
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)
DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Heroiczny obrońca Ukrainy Laureatem nagrody Grzegorza

Redakcja naszego miesięcznika nie miała żadnych wątpliwości, iż Nagroda Grzegorza I Wielkiego za pierwszy rok wojny – 2022 – musi trafić za naszą wschodnią granicę. Szukaliśmy kogoś, kto dokonał wielkiego dzieła, a jednocześnie był symbolem dla całego ukraińskiego społeczeństwa. Nasz Laureat – **Witalij Skakun** – ofiarował siebie, by dać innym szansę na przeżycie.



FOT. TWITTER

eprasa.pl 0c7443f31f

Zbliżamy się do pierwszej rocznicy pełnoskalowej wojny na Ukrainie. Wcale nie nowoczesnej – upiornej jak każda poprzednia. Nieludzkiej, dzikiej i zbrodniczej. Obnażającej wszystkie zamysły o nowym świecie – podobno bardziej cywilizowanym, szanującym godność. Okazało się, że w zderzeniu z wyhodowaną rosyjską agresją zawiodły niemal wszystkie mechanizmy, które stworzono, by do niej nigdy już nie doszło. Nie zdały egzaminu nie na antypodach demokratycznego świata, lecz w jego centrum, przy potężnej pomocy państw określających się mianem starych demokracji. Nie byłoby Buczy, gdyby nie było Nord Stream. Ale Nord Stream powstał, by panować – w jednej części Starego Kontynentu gospodarczo, a w innej kałasznikowem i gwałtem. Prawdziwym dramatem wojny na Ukrainie jest to, że ona naprawdę nie musiała się wydarzyć. Mówił o tym zupełnie otwarcie śp. Prezydent Lech Kaczyński. Stał wówczas przeciwko rosyjskim czołgom na placu gruzińskiej stolicy i apelował o otrzeźwienie. Opisywał konsekwencje akceptowania Rosji taką, jaką ona jest. Rosja nie jest do zaakceptowania w swojej naturalnej postaci. To nie Władimir Putin z najbardziej zaufanymi ludźmi morduje, gwałci i porywa na Ukrainie. Czynią to Rosjanie. Popierają to Rosjanie. Domagają się więcej zbrodni i będą to robić, dopóki nie zostaną pokonani. Nie ma żadnych wystraszonych Rosjan, odciętych od świata i otumanionych. Są za to Rosjanie przesiąknięci agresją, zdolni do bestialstwa, na widok którego normalny człowiek jest bliski omdlenia. Doskonałym przykładem jest polski piłkarz – grający i mieszkający od lat w Federacji Rosyjskiej, ożeniony z Rosjanką. Otóż ten człowiek pytany o to, dlaczego pozostaje w tym morderczym państwie, opowiadał o poczuciu bezpieczeństwa, przedszkolu dziecka. Grasujący na Ukrainie Rosjanie – pewno też tacy, z którymi nieraz się w życiu spotkał – zachowują się niczym armia pedofilów, i dokładnie w tym samym czasie ów człowiek ceni sobie opiekę, jaką zapewnia jego potomstwu ludobójcza Rosja. No przecież to nie jest tak, iż pan Rybus nie wie, co się dzieje na świecie. Nie zna innego życia. Zna. Ale zakorzenił się w tej społeczności, zaczął żyć jej wartościami i stał się jak ona. Nie polityka go zmieniła. Nie Putin go zmienił. Lecz zmienili go Rosjanie. Bezwzględni. Okrutni i zdolni do najobrzydliwszych zbrodni.

Ukraińcy każdego dnia stają twarzą w twarz z tą moskiewską bestią. Heroicznie bronią prawdy. Tej najważniejszej – o tym, że zło jest złem, a dobro dobrem. Redakcja naszego miesięcznika nie miała zatem żadnych wątpliwości, iż Nagroda Grzegorza I Wielkiego za pierwszy rok wojny – 2022 – musi trafić za naszą wschodnią granicę. Jednak nie chcieliśmy honorować polityka. Sam prezydent Wołodymyr Zełenski ze zrozumiałych i w pełni uzasadnionych powodów został w ciągu ostatnich miesięcy laureatem pewnie kilkudziesięciu wyróżnień na całym świecie. Szukaliśmy kogoś, kto dokonał wielkiego dzieła, a jednocześnie był symbolem dla całego ukraińskiego społeczeństwa.

24 lutego ubiegłego roku. Pierwsze godziny inwazji. 26-letni inżynier, ochotnik, urodzony w Brzeżanach, pełni służbę w 35. Brygadzie Morskiej. Jest w okolicach Geniczesku, gdzie znajduje się bardzo ważny most. Nim Rosjanie mogą rozpocząć szybki marsz na Chersoń. Witalij Skakun, bo o nim mowa, zgłasza się do zaminowania przeprawy. Jej zniszczenie opóźni atak agresorów, da czas obrońcom na przygotowanie się i zajęcie najlepszych pozycji. Żołnierz podejmuje się zadania, ale ma świadomość, że jest ono niezwykle ryzykowne. Być może będzie musiał dokonać wyboru – własne życie lub obrona zaatakowanego kraju. Wybiera kraj.

Ukraińcy każdego dnia stają twarzą w twarz z moskiewską bestią. Heroicznie bronią prawdy. Tej najważniejszej – o tym, że zło jest złem, a dobro dobrem.

Witalij Skakun wysadził most, ale nie miał czasu na odwrót. Zginął, powstrzymując Rosjan na kilka dni. Ten czas dał szansę Ukraińcom na lepsze przygotowanie obrony, a cywilom na ucieczkę. Młody Witalij umożliwił wielu kobietom, dzieciom czy ich najbliższym ochronienie się przed moskiewskimi żołdakami. Chersoń został zdobyty, ale spowolnienie najeźdźcy uratowało wiele istnień ludzkich. Ten człowiek ofiarował siebie, by dać innym szansę na przeżycie. Dotarliśmy do bliskich Witalija Skakuna, którego prezydent Wołodymyr Zełenski pośmiertnie wyróżnił najwyższym odznaczeniem, jakim głowa ukraińskiego państwa może nagrodzić obywatela. Jesteśmy dumni, że Jego Mama w imieniu bohaterskiego Syna przyjęła nagrodę „Nowego Państwa”. ■

eprasa.pl 0c7443f31f

tvn i TUSK

Nie zamkniecie nam ust!



#StopCenzurze

W obronie wolności słowa!

niezależna.pl

epresa.pl oc 2413 11

Piotr Grochmalski



Tusk a Berlin, Moskwa i totalna hybrydowa opozycja



Determinacja, z jaką Warszawa forsuje dostawy sprzętu dla Kijowa, a także wyjątkowa, geopolityczna jej pozycja w regionie i szczególna rola wielkiej logistycznej bramy, przez którą płynie wsparcie Zachodu dla Ukrainy, przekonuje Kreml, iż celem numer jeden w toczonej wojnie hybrydowej przeciw NATO i UE jest Polska. Dlatego Putin aktywował swoją agenturę i aktywa, aby wykorzystać zbliżające się wybory do rozbicia obozu władzy i przejęcia Warszawy przez obóz PO.

eprasa.pl 0c7443f31f



Ilustracja Mariusz Trolński, fot. Arkadiusz Wierzchoń/Gazeta Polska (2), Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska, ADOBE STOCK(2)

eprasa.pl ...c7443131f

Donald Tusk powiedział o sobie przed inwazją Rosji na Ukrainę w książce „Wybór": „Kiedy idę ulicą, myślę czasami, że co piąta osoba, którą mijam, uważa, że być może to ja do spółki z Putinem zabiłem prezydenta. A przynajmniej, że jestem za to odpowiedzialny". W polskiej historii nie było nikogo, kto mógłby o sobie powiedzieć takie słowa. Jak silna musiała być więc presja wywierana na niego, że wrócił do Polski? W długich dziejach Rzeczypospolitej jest też pierwszym politykiem, o którym, nieomal równocześnie, Niemcy i Rosja wyraziły się jako o ich człowieku.

Gdy w 2017 roku Angela Merkel w niemieckim parlamencie zachwalała Tuska, „Die Welt" – flagowy tytuł koncernu Axel Springer – ogłosił wówczas bez niedomówień, iż Tusk: „Jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec" („Er ist Pole, aber er spielt für im deutschen Team"). W 2008 roku na rosyjskim portalu Gazieta.ru relacja z wizyty Tuska w Moskwie ukazała się pod tytułem „Nasz człowiek w Warszawie". Dziś, gdy panuje powszechna krytyka Angeli Merkel za jej politykę wobec Putina, która doprowadziła do katastrofy, Tusk dystansuje się od niej. Ale tak niedawno, 17 stycznia 2021 roku, mówił do niej po niemiecku na zjeździe partii CDU: „To w dużej mierze dzięki Tobie wolność, uczciwość, przejrzystość, prawda i rozum nie przegrały w walce z autorytarnymi tendencjami, z korupcją, kłamstwem i populizmem". Twierdził też: „Wasz sposób rządzenia był i jest błogosławieństwem nie tylko dla Niemiec, ale i całej Europy, dla waszych wschodnich sąsiadów, a jako Polak wiem, o czym mówię. Również dla państw Bałkanów i ich marzeniu o Europie oraz Ukraińców w ich walce z agresją". Prawą ręką w rządzie Merkel był Olaf Scholz, który blokuje dostawy leopardów dla Ukrainy, a więc nieomal otwarcie gra na zwiększenie szans Putina w realizacji jego ludobójczej wojny.

▶ Gierasimow, totalna opozycja i wojna hybrydowa

To był szokujący sygnał – 22 grudnia 2015 roku dziennik „Hamburger Abendblatt" informował: „Rząd federalny martwi się o Polskę. »To, co się obecnie dzieje w Warszawie, potwierdza nasze najgorsze obawy«" – miała być to opinia anonimowego członka gabinetu Angeli Merkel. Niedługo później, w 2016 roku, władze RFN spotkały się w siedzibie MSZ z przedstawicielami tamtejszych mediów, aby zasugerować ukazywanie Polski jako „dzikiego Wschodu", a rządów PiS jako tych, które demontują państwo prawa. Według instrukcji należało alarmować, iż zagraża to bezpieczeństwu całej Unii. Dlatego dobrzy Niemcy martwią się o przyszłość Polaków. Wkrótce także niemieckie media w Polsce zaczęły realizować ten scenariusz, którego elementem była próba obalenia rządu polskiego podczas puczu 16 grudnia 2016 roku. Idea totalnej opozycji, tak obca polskiej kulturze politycznej, ma więc swe niemieckie korzenie. Ale nie jest wykluczone, że była wrzutką rosyjskich służb. Przypadek aresztowania Carstena L. w grudniu 2022 roku, oficera niemieckiego wywiadu (BND), który był szpiegiem Putina, jest istotną wskazówką dla stopnia penetracji przez GRU i FSB niemieckich służb. Rzecz w tym, iż koncepcja totalnej opozycji jest nieomal matrycą technik operacyjnych dotyczących modelu rosyjskiej wojny hybrydowej, a wynikających z koncepcji Gierasimowa. Zostały one wprowadzone do doktryny wojennej FR w 2014 roku. Zakładają one głęboką destabilizację państwa. Polska opozycja siłą zaczęła wówczas blokować prace Sejmu, aby nie dopuścić do przyjęcia budżetu. W polskich realiach konstytucyjnych oznaczało to w praktyce obalenie rządu.

Dla Putina potwierdziły się jego przekonania, że głęboka destabilizacja Polski i odsunięcie od władzy PiS jest kluczem do zwycięstwa Rosji na Ukrainie.

Tusk, urzędujący wówczas przewodniczący Rady Europejskiej, dzień później, 17 grudnia 2016 roku, przybył do Wrocławia, aby stanąć na czele próby obalenia konstytucyjnych władz RP. Mówił: „Po wczorajszych wydarzeniach w Sejmie i na ulicach Warszawy, mając też w osobistej pamięci, co znaczą grudnie w naszej historii, apeluję do tych, którzy realnie sprawują władzę w naszym kraju, o respekt i szacunek wobec ludzi, wobec zasad i wartości konstytucyjnych, ustalonych procedur i dobrych obyczajów. A tym wszystkim, którzy gotowi są, pokazują to od wielu miesięcy, trwać przy europejskich standardach demo-

eprasa.pl 0c7443f31f

kracji tu, w Polsce, chciałbym serdecznie podziękować i wyrazić najwyższe uznanie. Jesteście dziś najlepszymi strażnikami polskiej reputacji w Europie i na świecie". Jak przyznał szczerze w swojej hagiografii (D. Tusk „Szczerze"), opisując owe przemówienie: „[...] głos mi lekko drży, bo czasami potrafię wzruszyć sam siebie".

▶ Tusk jest jak Zelig

Tusk chce się jawić jako polityczny realista. W rzeczywistości jest jak Leonard Zelig z komedii Woody'ego Allena, który miał niezwykły defekt – upodabniał się do grupy, w której przebywał, przyjmując jej cechy. To, czy jest groźny, zależy od tego, kto nim się posłuży i do jakiego celu zostanie użyty. Świętej pamięci Lech Kaczyński stwierdził: „Tusk ma wyłącznie cudze koncepcje i to są koncepcje ludzi w rodzaju Romana Kuźniara". To dlatego gdy zapadła decyzja pod koniec 2020 roku, iż ma być wysłany na polski odcinek, bo zbliżały się przełomowe wydarzenia w Berlinie i Moskwie, trzeba było na nowo wymyślić Tuska. Wybór padł na Anne Applebaum, żonę Radka Sikorskiego. Miała zrobić z niego męża stanu i intelektualistę. Chodziło też o radykalne odcięcie go od Merkel. Skończyło się to na wizerunkowej katastrofie. Donald Tusk pojawił się w sobotę, 3 lipca, na Radzie Krajowej Platformy Obywatelskiej i – z marszu – objął kierownictwo nad partią. Wyglądało to jak profesjonalny desant, operacja specjalna. Miesiąc później (od 1 do 3 i 29 sierpnia) przyjechał do rezydencji Radka Sikorskiego w Chobielinie, aby Anne Applebaum mogła rozpocząć ulepienie jego wizerunku jako męża stanu galaktycznego formatu. W nocie edytorskiej powstałego dzieła czytamy, że po owych spotkaniach „w Dworze Chobielin" „Ostateczna autoryzacja i ostatnie aktualizacje zostały wprowadzone do tekstu w połowie listopada 2021 roku". Tak narodził się „Wybór" . Miał to być taki wybuchowy prezent pod choinkę dla Polaków.

▶ Tusk – zbawca i obrońca świata – a Gierasimow

Dzięki Applebaum dowiadujemy się z „Wyboru", iż w ocenie Tuska przybył on do Polski, aby uratować ją przed wyrzuceniem z Unii, a to ma z kolei uratować przed katastrofą Europę i świat. W książce trudno znaleźć strony bez Kaczyńskiego, którego nazwisku towarzyszą setki epitetów. Nie ma chyba w całym kosmosie osób bardziej znienawidzonych przez Tuska i Applebaum niż obecni liderzy Polski. Z wielkim talentem, już na wstępie, ukazana jest chwila owego objawienia, dzięki któremu Donald T. uzmysłowił sobie dziejową misję, jaką ma spełnić, ratując ludzkość i świat przed PiS-em. Jak zauważa: „Poczucie niestałości i tymczasowości stało się w pierwszych miesiącach pandemii czymś wręcz nieznośnym. Właśnie wtedy pierwszy raz pomyślałem, że te ponure eksperymenty ustrojowe i prawne, jakie funduje nam od kilku lat PiS, to zjawisko wpisane w pewien globalny trend, niebezpieczny jak diabli i dla Polski, i dla Europy. Populizm bazujący na lęku przed nieznanym, doprawionym ksenofobią i uzbrojony w nowe narzędzia – prawne, medialne i cybernetyczne – karmił się też »słabością« naszej strony, tą stałą gotowością do ustępstw...". Wynika z tego, że „totalna opozycja" to koncepcja wzajemnego dialogu, a próby dokonywania kolejnych przewrotów w Polsce przez PO, to było w istocie „anielskie" wsparcie dla demokracji. Applebaum aby ukazać, jak heroicznej misji podjął się Tusk, ostrzega, że gdyby wyrzucono Polskę z Unii: „Najgorszy byłby kryzys moralny i polityczny. Czy Polacy już nie są Europejczykami? Czy nie jesteśmy już częścią Europy?".

Dziś, gdy nawet Niemcy mówią o tym, że centrum Europy przesuwa się do Polski i Trójmorza, warto przypominać te metody szczucia i zastraszania Polaków, jakich używał duet Applebaum–Tusk. Bodaj najbardziej kuriozalne w ich metodzie manipulacji jest wykorzystanie, w katolickim państwie, stygmatyzacji przeciwników politycznych metodą „na diabła". Cała rozmowa piąta, zatytułowana „Pakt z Mefistofelesem", ma udowadniać, że PiS i Kaczyński, a także wszyscy przeciwnicy Tuska, to ziemskie wcielenie totalnego zła, które trzeba totalnie zniszczyć. Pisze równocześnie o sobie: „My, demokraci w dawnym stylu, jesteśmy w obiektywnie trudniejszej sytuacji. Bo tamta strona chce podtrzymać atmosferę wojny między plemionami. Skoro wyruszają na polityczną wojnę, to po to, żeby zaorać przeciwnika. Żadnych kompromisów. I ich wyborcy to rozumieją. A my wciąż będziemy walczyli o to, żeby przywrócić świat negocjacji i kompromisu. Nie chcemy nikogo niszczyć, chcemy pokoju i równych praw dla wszystkich". Ten sam Tusk 12 lipca 2021 roku w Gdańsku nawołuje do agresji: „Nie możemy się przyzwyczajać do zła, nie można więc nie krzyczeć po tym, gdy pisowskie państwo pokazuje swoją najbardziej odrażającą twarz". To zachęta do ulicznych konfrontacji, by – w imię demokracji – niszczyć odrażające, złe twarze wrogów. Stwierdza: „To zło, które czyni PiS, jest ewidentne, bezwstydne i permanentne". Z obecnej perspektywy wiemy, że owa totalna wojna, z jaką przybył Tusk do Polski, wpisuje się w relacjach jeden do jednego w doktrynalne założenia rosyjskiej wojny hybrydowej.

▶ Tusk a Putin

Najbardziej szokuje bodaj w Tusku jego porażający dyletantyzm. W momencie gdy ludzie pokroju Jaro-

eprasa.pl 0c7443f31f

sława Bratkiewicza z MSZ, autora radykalnego zbliżenia z Rosją kosztem Ukrainy, przekonywali go do wysadzenia w powietrze żmudnie budowanej konstrukcji w naszej polityce wschodniej, bez namysłu podpalił lont tuż po dojściu do władzy w 2007 roku. Nawet pobieżne zapoznawanie się z raportami dotyczącymi Rosji i Putina powinny wywołać w nim odrobinę refleksji. Mamy wówczas wojnę w Czeczenii, którą poprzedziła operacja dokonana przez ówczesnego szefa FSB Nikołaja Patruszewa wysadzenia bloków mieszkalnych w Rosji, o co FSB oskarżyło Czeczenów. To wtedy z rozkazu Putina stworzono w Czeczenii obozy koncentracyjne. Mamy spektakularną i szokującą rozprawę dokonaną w 2003 roku na Chodorkowskim, w wyniku której chłopcy Putina z byłego KGB dostali do rąk miliardy dolarów, kradnąc tę największą wówczas prywatną firmę w Rosji. Mamy też szokujące wprowadzenie w 2004 roku przez Putina nowego Dnia Jedności Narodowej. Świętowano moment pokonania polskiej załogi na Kremlu w 1612 roku, co miało rozpocząć budowę imperium Romanowów. Putin dawał czytelny znak, że bezpośrednie odwołanie się do wygnania Polaków ma sygnalizować projekt restauracji nowego imperium. Mamy w lutym 2004 roku dokonany polityczny mord agentów FSB w Katarze na byłym prezydencie Czeczenii Zelimchanie Jandarbijewie, a rok później kaźń na urzędującym prezydencie Czeczenii Aslanie Maschadowie (jego ciało nie zostało oddane rodzinie); mamy odpalenie 25 kwietnia 2005 roku megabomby imperialnej, gdy publicznie prezydent FR ogłosił, że rozpad ZSRS był największą katastrofą geopolityczną XX wieku; mamy zamordowanie z rozkazu Putina i w dzień jego urodzin, 7 października 2006 roku, Anny Politkowskiej w Moskwie, a miesiąc później Aleksandra Litwinienki w Londynie. Mamy szokujące wystąpienie Putina w lutym 2007 roku na Konferencji Bezpieczeństwa w Berlinie, gdy otwarcie wskazał swoje imperialne cele, które musiały zagrażać polskiemu bezpieczeństwu. Mamy w kwietniu 2007 roku cyberatak na Estonię. Była to pierwsza w historii cyberwojna. Mamy też w lipcu 2007 roku zawieszenie udziału Rosji w Traktacie CFE, filarze bezpieczeństwa europejskiego w obszarze broni konwencjonalnej i rozpoczęcie programu wielkich zbrojeń. A gdy Tusk już wysadził główne elementy mozolnie budowanej naszej polityki wschodniej, która opierała się jeszcze na założeniach wypracowanych przez środowisko paryskiej Kultury z lat 70. XX wieku, Rosja dokonała napadu na Gruzję. Jak trzeba być pozbawionym elementarnych kompetencji politycznych, by nie dostrzegać logiki tych faktów. A przecież to jest jedynie garść wydarzeń z całej lawiny działań Putina, które wskazywały, że zamierza on odbudować imperium i zrobi to tym szybciej, im bardziej Zachód, w tym Polska, mu w tym pomogą. W takim momencie dokonywać zdrady Ukrainy kosztem zbliżenia z Rosją, to wpisywać się na listę tych, których bezpośrednio obciąża inwazja na Ukrainę w 2014 roku; i obecna wojna.

Ale jest w tym wszystkim jeszcze jeden szokujący przykład dyletantyzmu. Otóż Tusk nie rozumiał i do dziś tego nie pojmuje, że Putin był wyszkolonym podpułkownikiem KGB. Wiernie służył najkrwawszej, najbardziej zbrodniczej na świecie organizacji. Był wyszkolony do pozyskiwania ludzi do agenturalnej współpracy. Sam zakładał i prowadził siatkę szpiegów w NRD i RFN przed upadkiem ZSRS. Putin nie był politykiem. Był szczególnym typem bandyty mającym znaczną przewagę nad ludźmi takimi jak Tusk. To na polecenie Putina przygotowano profesjonalne dossier na temat polskiego polityka. Wykorzystano jego kompleksy i manię wielkości. Wciągnięto go w intrygę, która zakończyła się największym dramatem i politycznym mordem dokonanym na polskim narodzie po II wojnie światowej. Putin miał go jak na patelni. Testem na niego była słynna historia z propozycją uczestniczenia Tuska w rozbiorze Ukrainy. Pytanie, w ile jeszcze takich pułapek Putin wpuścił go, zanim przygotował grunt do operacji smoleńskiej wzorowanej na mordzie katyńskim – także w sposobie prowadzonej później wojny informacyjnej. Jedno wydaje się widoczne z obecnej perspektywy – od 2010 roku to nie Berlin, lecz Moskwa miały największy wpływ na postępowanie Tuska.

▶ Putin i projekt destabilizacji Polski

Dla Putina potwierdziły się jego przekonania, że głęboka destabilizacja Polski i odsunięcie od władzy PiS jest kluczem do zwycięstwa Rosji na Ukrainie. Determinacja, z jaką Warszawa forsuje dostawy sprzętu dla Kijowa, a także wyjątkowa, geopolityczna jej pozycja w regionie i szczególna rola wielkiej logistycznej bramy, przez którą płynie wsparcie Zachodu dla Ukrainy, przekonuje Kreml, iż celem numer jeden w toczonej wojnie hybrydowej przeciw NATO i UE jest Polska. Dlatego Putin aktywował swoją agenturę i aktywa, aby wykorzystać zbliżające się wybory do rozbicia obozu władzy i przejęcia Warszawy przez obóz PO.

Rosyjski szef Sztabu Generalnego, autor planów inwazji na Ukrainę, a od 11 stycznia wyznaczony jako głównodowodzący wojną, w 2014 roku wprowadził do doktryny wojennej FR elementy swojej koncepcji wojny hybrydowej, w tym „wykorzystanie finansowanych i kierowanych z zewnątrz sił politycznych oraz ruchów społecznych" w celu wykorzystania „potencjału protestacyjnego ludności oraz sił prowadzących operacje specjalne". Ta strategia jest już realizowana wobec Polski.

eprasa.pl 0c7443f31f

Zaskakuje przy tym koincydencja wydarzeń. Nieomal w tym samym czasie wzrosła bowiem presja Berlina na Warszawę. Mimo trwającej wojny to równoczesne uderzenie w Polskę rzuca się w oczy. Po sabotażu przez Niemcy przekazania Ukrainie czołgów, odbyły się manifestacje w FRN domagające się uwolnienia leopardów przez Berlin. Protesty miały też miejsce pod ambasadą Niemiec w Wilnie. Tam, na jednym z plakatów, ukazano kanclerza Scholza jako najlepszą broń przeciwpancerną, jaką posiada w swoim ręku Rosja. Zdumiewa determinacja, z jaką Niemcy od początku wojny blokują lub opóźniają dostawy broni dla Kijowa. Ale równie konsekwentny był Berlin wobec prób dokonania politycznego przewrotu w Polsce. Słusznie obawiano się, że rząd PiS może utrudnić realizację strategicznego, geopolitycznego projektu Nord Stream 2, który miał dopełnić i wzmocnić oś Berlin–Moskwa. Trzech kolejnych kanclerzy Niemiec – Schroeder, Merkel i Scholz – było przekonanych, że nie ma alternatywy dla strategicznego związania się z Rosją. Wszelkie pomysły o politycznej samodzielności Europy Środkowej, w tym Polski, były traktowane jako śmiertelne zagrożenie dla tego pomysłu. Poszukiwano nad Wisłą polityka, który byłby w stanie spacyfikować te obawy i który byłby otwarty na realizację interesów rosyjsko-niemieckich. Jarosław Bratkiewicz, jeden z głównych ideologów zbudowania trójkąta Berlin–Warszawa–Moskwa, kierujący wówczas Departamentem Wschodnim MSZ, przekonywał w 2009 roku Andrzeja Kremera, że „Niemcy i Rosja szukają dziś nowej idei przewodniej, jak funkcjonować w dzisiejszym świecie". A rolą Polski jest uczestniczyć w tym aktywnie.

skiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (ukończył go w 1980 roku, osiem lat po Ławrowie, człowieku, który należał do wąskiego, kilkuosobowego kręgu osób wtajemniczonych w datę inwazji na Ukrainę), uważał, że trzeba zdemolować politykę wschodnią opartą na założeniach wypracowanych w emigracyjnym kręgu Giedroycia. W 2008 roku, w notatce odtajnionej w 2017 roku, stwierdził, iż trzeba postawić na Rosję kosztem Ukrainy. Bratkiewicz, w książce opublikowanej w 2021 roku, gdy Rosja intensywnie przygotowywała się do napaści na Ukrainę, stwierdza: „Hasła o wolnej Ukrainie jako rękojmi polskiej niepodległości nie powinno się w dzisiejszych realiach wynosić na ołtarze przezorności geopolitycznej. To już przeszłość".

W tym samym czasie, gdy ukazuje się książka, Putin opublikował swój plan dokonania ludobójstwa na Ukraińcach, który określiłem jego Mein Kampf, a Donald Tusk przybywa do Polski i aktywuje projekt totalnej opozycji. Owa demolka polityki wschodniej RP,

Dzięki Applebaum dowiadujemy się z „Wyboru", iż w ocenie Tuska przybył on do Polski, aby uratować ją przed wyrzuceniem z Unii, a to ma z kolei uratować przed katastrofą Europę i świat.

▶ Człowiek Tuska w 2021 roku – „hasła o wolnej Ukrainie... to już przeszłość"

W rzeczywistości, jak przyznaje Bratkiewicz, ekipa Tuska już od początku przejęcia władzy w 2007 roku chciała dokonać radykalnego zwrotu wobec Moskwy. Jak podkreśla: „Przede wszystkim należało w sposób generalny zremanentować dotychczasową – PiS-owską przede wszystkim, ale nie tylko – politykę w odniesieniu do Wschodu". Ten absolwent Mo-

której dokonało PO od 2008 roku, oznaczała radykalne zerwanie ze strategią realizowaną przez kolejne rządy polskie od 1991 roku. Moskwa i Berlin przyjęły te działania z pełnym zadowoleniem i satysfakcją. Ale nawet tam nie spodziewano się, że ekipa Tuska w tak radykalny i nadgorliwy sposób zacznie służyć wzmacnianiu owej osi Berlin–Moskwa. Stanowiła ona śmiertelne zagrożenie dla całego regionu Europy Środkowej. Z dzisiejszej perspektywy szokuje to, co nastąpiło po zamachu smoleńskim. W tle chowanych ciał rozpoczęła się porażająca operacja. Bratkiewicz zaproponował, aby ekipa Tuska wykorzystała Smoleńsk do jeszcze silniejszego zacieśnienia współpracy z Moskwą. Bratkiewicz pisze: „W kilka dni po katastrofie napisałem notatkę, którą skierowałem do dwóch tylko adresatów: ministra Sikorskiego oraz profesora Rotfelda... W rzeczonej notatce zawarłem propozycje działań, które podtrzymałyby ten rozpęd stosunków polsko-rosyjskich, jaki im nadało spotkanie 7 kwietnia [Tusk–Putin w Katyniu – przyp. aut.] i jaki wcale się nie załamał po 10 kwietnia, lecz zgoła odwrotnie".

eprasa.pl 0c7443f31f

Oś nieczystych sumień

Rzeczywiście. W listopadzie prezydent Komorowski zaprasza na obrady Biura Bezpieczeństwa Narodowego z honorami gen. Jaruzelskiego, który ma doradzać, jak zbliżyć się do Rosji. To w ramach przygotowań do wizyty prezydenta Dmitrija Miedwiediewa – tego, który ostatnio przepowiadał rozbiór Polski. A w lutym 2011 roku BBN gości Nikołaja Patruszewa. Ten generał KGB, a potem wieloletni szef FSB, zostanie uznany w 2021 roku przez Europejski Trybunał Praw Człowieka winnym za mord na Litwinience w 2006 roku. Ten jeden z najbardziej zaufanych ludzi Putina, twardy zwolennik wojny, w maju 2022 roku twierdził, że Polska chce zająć zachodnią Ukrainę. W 2011 roku w Królewcu odbywa się też pierwsze spotkanie w ramach trójkąta: Sikorski, Westerwelle, Ławrow. Bratkiewicz przedstawia siebie jako twórcę owego formatu królewieckiego. W 2012 roku odbywa się w Berlinie, a w 2013 roku w Warszawie. Ostatnie ma miejsce w czerwcu 2014 roku w Petersburgu, a więc już po aneksji Krymu przez Putina!

Bratkiewicz tak opisuje to szokujące, z dzisiejszej perspektywy, spotkanie z Ławrowem: „Po ponad godzinie rozmów ministrowie wyszli: Sikorski był posępny, Steinmeier (obecny prezydent FRN – przyp. aut.) kręcił głową z powątpiewaniem. Trójkąt Królewiecki gasł. Dla PiS-owców inicjatywa królewiecka sprowadzała się do mielenia jęzorami po próżnicy, i to w gronie »śmiertelnych wrogów« Polski... Dla polskich twórców i realizatorów spotkań królewieckich stały się one poletkiem, które unaoczniało stopień zbliżenia, zaufania oraz dyplomatycznej interoperacyjności Polski i Niemiec w obliczu partnera nietuzinkowego i wymagającego, jakim jest Rosja". Przypomnijmy – Bratkiewicz wygłaszał te oceny w 2021 roku. Ważne, bo ujawniają one, co w głowach mają główni twórcy owej polityki wobec Rosji, która otworzyła drogę Putinowi do napaści na Ukrainę. Stwierdza też: „Bez wątpienia w oczach niemieckich Polska jawiła się w konfiguracji królewieckiej jako kraj dający dowody europejskiej roztropności i opanowania".

Ten kreator wschodniej polityki Tuska w przededniu inwazji Rosji na Ukrainę twierdził, że jedyne, co grozi UE, „to różnego rodzaju ryzyka – sytuacje kryzysowe o charakterze raczej pozamilitarnym (zapaści finansowe, kryzysy migracyjne, terroryzm, gwałtowne wyładowania społeczne na tle religijno-kulturowym, a szczególnie populistyczno-nacjonalistyczne dąsy)". Pisze to wówczas, gdy zaufany doradca Putina, Siergiej Karaganow, ogłasza, iż Rosja toczy zimną wojnę 2.0 z Zachodem. Stwierdza: „[...] naprawdę wstrząsnęliśmy fundamentami porządku światowego, w którym ludzie Zachodu dominowali i otrzymywali z tego tytułu wielkie dywidendy". Karaganow twierdzi, że Rosja ma dziś „duże szanse na wygranie tej zimnej wojny. Ale walka będzie wymagała wielkiego wysiłku sił narodowych, rozwoju ideologii ofensywnej". Ten kremlowski analityk podkreśla, iż tym razem wygrana będzie po stronie Rosji. Według Karaganowa: „Systemy polityczne większości krajów, które zdecydowały się na konfrontację z nami i Chinami, nie są przystosowane do długotrwałej twardej konfrontacji", a to powoduje, że w rywalizacji na wyczerpanie są na straconej pozycji. W tej nowej wojnie chodzi o zniszczenie starego porządku. Do tego celu Rosja wykorzysta instrumenty demokratycznych państw przeciwko nim samym. Będzie czyniła to, co zawarte jest w doktrynie wojennej Rosji – wzniecać będzie agresję obywateli wobec instytucji ich państw.

Wojna hybrydowa a Tusk

Donald Tusk wysłany jest do Polski w momencie, gdy w Berlinie narasta przekonanie, że Putin zaatakuje Ukrainę. Z ujawnionych danych przez byłego premiera Wielkiej Brytanii wynika, iż Niemcy w ostatniej fazie poprzedzającej inwazję grali na szybkie zwycięstwo Rosji. Do takiej opcji się przygotowywali. Kilka dni po pojawieniu się w Polsce, odpala totalną wojnę wymierzoną w fundamenty państwa polskiego. Z dzisiejszej perspektywy wojny na Ukrainie wszystko wydaje się czytelne. Jednak dopiero wybuch wojny w pełni ukazał sens operacji dokonywanych przez Berlin i Moskwę wobec Polski. Niemcy nie zakładały, że plan błyskawicznej wojny Putina zakończy się katastrofą. Wówczas Niemcy robiły wszystko, aby wyhamować skalę zachodniej pomocy dla ukraińskiej armii. Miorac Soric, wpływowy dziennikarz Deutche Welle, poirytowany postawą Scholza, jeszcze we wrześniu 2022 roku pisał: „Berlin się waha. Jak zwykle w ostatnich miesiącach, gdy chodziło o dostawy broni do Ukrainy. Z jednej strony członkowie rządu obiecują, że Niemcy staną po stronie Ukrainy bez żadnego »ale«, a jednocześnie ci sami politycy znikają, gdy prosi się ich o jednoznaczne stwierdzenie, czy Niemcy powinny dostarczyć czołgi Leopard 2, czy nie". Pół roku później, 20 stycznia 2022 roku, mimo ogromnej presji Zachodu na Niemcy, podczas spotkania w Ramstein, znów historia się powtórzyła. Zablokowali dostawę leopardów na Ukrainę. Profesor Romuald Szeremietiew, były wiceminister obrony narodowej, oceniając postawę Niemiec, stwierdził: „Wygląda na to, że w Berlinie ciągle jest nadzieja, iż jednak Ukraina przegra wojnę i w związku z tym będzie można znów z Rosją współpracować, wrócić do tego wszystkiego, co było przedtem". Kluczem do tego są zbliżające się wybory w Polsce i Donald Tusk, człowiek dużego zaufania Berlina i Moskwy. ■

eprasa.pl 0c7443f31f



Ryszard Czarnecki

Łże-realizm Donalda Tuska

Polityka Donalda Tuska nie była ani realistyczna, ani słuszna: była łże-realizmem.

W historii polskiej myśli politycznej byli tacy, którzy chcieli blisko współpracować z Niemcami przeciw Rosji, tak definiując polski interes narodowy. Takim politykiem był na przykład Władysław Studnicki. Byli też tacy, którzy taktycznie, czasowo chcieli zagrać z Rosją przeciwko Niemcom, jak w okresie przed I wojną światową i w jej trakcie Roman Dmowski. Piłsudski chciał z kolei oprzeć politykę polską o Austro-Węgry w kontrze do Moskwy, ale po to, aby w odpowiednim czasie wysiąść na przystanku „Niepodległość". Można każdego z nich krytykować i – zwłaszcza po upływie lat – wskazywać błędy. Jednak trudno odmówić im patriotyzmu, a także konsekwencji w działaniu. Minęło 100 lat i oto mamy w polityce może nie tyle polskiej, co w Polsce (to zasadnicze rozróżnienie!) polityka, który jednocześnie, i to w tym samym czasie, był i proniemiecki, i prorosyjski. To Donald Tusk. Oczywiście nie łączył wody z ogniem, bo Berlin z Moskwą zgodnie współpracowały i w wymiarze gospodarczym, i geopolitycznym. Tusk chciał być uznawany za „swojego" zarówno przez naszych zachodnich sąsiadów, jak i przez wschodnich. Żeby było jasne: obu sąsiadom to nie przeszkadzało. Niemcy byli z pewnością zachwyceni, że Tusk, w odróżnieniu od swoich poprzedników – premierów III RP – z pierwszą wizytą na Wschód wybrał się nie do Kijowa, jak tamci (nawet ci z SLD), lecz do Moskwy. Kreml też składał ręce do oklasków, gdy Tusk inwestował w relacje z Berlinem (zwłaszcza swoje osobiste), a unikał jak diabeł święconej wody realnej współpracy w ramach Grupy Wyszehradzkiej (bo to się nie podobało ani Niemcom, ani Rosjanom).

Byłem po raz pierwszy posłem na Sejm RP , gdy później coraz bardziej kontrowersyjny, ale wtedy jednoznaczny Leszek Moczulski rzucił z trybuny przy Wiejskiej słowa o politykach – chodziło o postkomunistyczną lewicę – którzy „widzą tylko tyle, ile zobaczą, uderzając czołem o ziemię". Słowa te użyte zostały w walce wewnętrznej z rosnącymi w siłę sierotami po PZPR, ale znakomicie pasują one do Donalda Tuska. Tenże już nie tyle „czapkował", padał do nóżek, giął się kornie, lecz właśnie walił miedzianym czołem o glebę przed Wschodem, czyli Rosją, i Zachodem, czyli Niemcami (do USA miał stosunek sceptyczny, co jego rząd pokazał przy okazji tarczy antyrakietowej). Nie chodzi tylko o spacery po sopockim molo z Putinem i ściskanie się z nim w dniu największej tragedii narodowej od II wojny światowej, czyli 10 kwietnia 2010 roku. Chodzi o to, że uwielbiający grać w piłkę nożną Tusk zaakceptował i był twarzą uczynienia z Polski piłki do kopania i przez Rosjan, i przez Niemców.

Rozgoryczony na Tuska, że ten sprzątnął mu sprzed nosa kluczowe stanowisko w Unii Europejskiej, Radosław Sikorski (szef MSZ marzył o stanowisku szefa unijnej dyplomacji, co wiązało się z byciem wiceprzewodniczącym Komisji Europejskiej ds. polityki zagranicznej i bezpieczeństwa) w emocjach ujawnił przebieg rozmowy Putina i Tuska na Kremlu, gdzie współczesny rosyjski Iwan Groźny złożył premierowi III RP propozycję podziału Ukrainy: jej wschodnie ziemie miały wrócić do Rosji, a zachodnie – wrócić do Polski. Tusk słuchał w milczeniu tej oferty-prowokacji i nie zareagował, co oczywiście utwierdziło Putina, że Polskę może traktować instrumentalnie, bo szef jej rządu potulnie to akceptuje.

Juliusz Mieroszewski pisał w swoim czasie, że polityka polska aby była realistyczna, musi być najpierw słuszna. Polityka Donalda Tuska nie była ani realistyczna, ani słuszna: była łże-realizmem. Aspiracje Tuska wyczerpywały jednoczesne pochwały rosyjskich mediów, iż jest „naszym człowiekiem w Warszawie", a z drugiej nagrody i tytuły przyznawane przez niemieckie organizacje i instytuty. Tusk był „premierem na telefon" obu tych państw, które kiedyś symbolizowane były przez czarne orły.

Marzeniem Moskwy i Berlina jest to, aby Tusk wrócił do władzy. Nie warto spełniać cudzych marzeń... ■

eprasa.pl 0c7443f31f



Piotr Lisiewicz

TUSK,
czyli kumulacja zdrady. Studium zapadania się

Na Uniwersytecie Warszawskim dwaj profesorowie zostali obrzuceni przez studentów kaloszami, a próby rozpoczęcia przez nich wykładów udaremniała urządzana na sali tzw. kocia muzyka. Profesor Piotr Ziłow, fizyk, badacz pola elektromagnetycznego, który oberwał kaloszem w twarz, i historyk prof. Iwan Filewicz, podpisali się pod pewnym listem. Chwalili w nim Michała Murawiowa „Wieszatiela" za uwolnienie priwislanskiej prowincji „od polsko-katolickiego jarzma". 244 protestujących przeciwko temu studentów postawiono w efekcie awantury przed uniwersyteckim sądem, z czego 127 wydalono z uczelni. Cóż, inteligenckiej młodzieży nie imponował jakoś fakt, że Warszawę nazywano wówczas, a był tok rok 1897, najpiękniejszym miastem w Imperium Rosyjskim po Petersburgu. Dziś głównym wyzwolicielem „od polsko-katolickiego jarzma" w imię wyższej kultury jest Donald Tusk, lecz formowane od lat 40. i 50. nowe elity uniwersyteckie, które owo jarzmo z ulgą zrzuciły już dawno, są w awangardzie tego procesu.

eprasa.pl 0c7443f31f

Kapitulantom, hamletom, oportunistom, stańczykom oraz zwykłym zdrajcom i obcym agentom pracę tę przypisuję" – taką dedykację umieścił w swej pracy z 1948 roku, czyli w czasie, gdy formowały się owe nowe elity, płk Jerzy Niezbrzycki, ps. Ryszard Wraga, przedwojenny kierownik Referatu „Wschód" polskiego wywiadu, później sowietolog z Instytutu Hoovera i ekspert CIA od spraw sowieckich.

▶ Gdzie jest Tusk?

Gdzie na wspomnianej dedykacyjnej liście jest dziś Donald Tusk? Celowo używam tu słowa „dziś", bo mam wrażenie, że gdy w 1987 roku w słynnym tekście o polskości jako nienormalności Tusk pomstował na owo „polsko-katolickie jarzmo", ale nie potrafił się od niego uwolnić, podpadał pod inną kategorię z tej listy niż teraz. Być może zmieniła się ona po dokonanej przez jego formację wraz z komunistami rabunkowej prywatyzacji z lat 90. Zapewne nabrała ona po raz kolejny gatunkowego ciężaru po zbrodni smoleńskiej, po której urzędnicy podlegli jego rządowi podejmowali decyzje, które przyczyniały się do jej zatuszowania.

Nie mówimy o sprawach błahych i to zróżnicowanie kategorii ma ogromne znaczenie: czym innym jest na przykład, gdy były premier i szef opozycji aspirujący do rządzenia po raz kolejny kluczowym państwem w czasie wojny na Ukrainie jest oportunistą; czym innym, gdy najął się do służby obcym za pieniądze; jeszcze czym innym, gdy z jakichś powodów musi służyć obcym, nawet jeśli mu się to nie opłaca.

▶ Czy gdyby Tusk był premierem, istniałaby jeszcze Ukraina?

Niedawno podjąłem w „Gazecie Polskiej Codziennie" eksperyment, by opisać, co stałoby się, gdyby w chwili ataku Rosji na Ukrainę Tusk był premierem. Bo przecież doskonale to wiemy. Najpierw zniknąłby na jakiś czas, a na pierwszej konferencji prasowej zawieszałby głos, że niby zbiera myśli. Bo nikt bardziej niż on nie chce pomóc Ukrainie, tylko nie w taki głupi sposób, jak chcieliby jego demagogiczni przeciwnicy. Uwierzcie mi! Toczyłby groźnym wzrokiem i zapewniał, że on na pewno nie poważy się zaszkodzić Polsce. Potem wyjechałby na narty w Alpy. Wróciłby uśmiechnięty i z wigorem wypowiedział wojnę pedofilom, bo trzeba chronić dzieci. Dzieci! O tamtym nie myślmy...

I Polska nie dałaby Ukrainie na początku wojny, w kluczowych chwilach, 200 czołgów, krabów ani piorunów. Zapowiedziałaby za to, że da po szczegółowych uzgodnieniach. Oczywiście broń z innych państw NATO mogłaby przejechać przez Polskę, ale najpierw trzeba by zmienić procedury, nie na łapu-capu, nieprawomocnie. Niemcy i Francja pochwaliłyby za to Tuska.

Czy Ukraina straciłaby wtedy niepodległość? Nie wiem. Na pewno morze przelanej krwi byłoby nieporównywalne do tego, co się stało. Mówiąc obrazowo, pewnie zniknęłoby kilka miast wielkości Gdańska, zrównanych z ziemią, jak Mariupol. A gdy informacje o masowych grobach byłyby już zbyt przerażające – ale ani wcześniej, ani później – Tusk wyjechałby do Brukseli, żeby zostać, oczywiście dla dobra Polski, na przykład wodzem dobroczynnej instytucji. Żebyśmy zapomnieli... I pewnie wróciłby za kolejne osiem lat, w czasie których dorosłoby kolejne pokolenie, niepamiętające koszmaru z Ukrainy... Oczywiście jeśli byłby dla kogoś przydatny. Przecież to znamy, bo już raz tak zrobił. A konsekwencje braku narodowej pamięci w naszym miejscu na mapie bywają przerażające. Nie niepokojące czy poważne, a przerażające.

▶ Ocieplenie z Rosją i „zagłada biologiczna"

„Jak ktoś ma wizję, to niech idzie do lekarza" – mówił Tusk jako premier. Zdanie to najlepiej definiuje, czym jest „tuskizm". Tusk nie może mieć wizji z przyczyn głębszych niż te, dla których nie może mieć programu. Stawianie na Niemcy i Rosję, a po Smoleńsku, jak ujął to prof. Piotr Grochmalski, raczej na Rosję i Niemcy, nie da się przedstawić w formie wizji rozwoju państwa, bo – jak zauważył w poprzednim „Nowym Państwie" prof. Wojciech Roszkowski – oznacza wejście na drogę likwidacji Polski.

Ten problem komunikacyjny jest odwieczny w przypadku kapitulantów. Wspomniany Jerzy Niezbrzycki tak pisał o tradycji kapitulantów w Polsce, sięgającej co najmniej upadku I Rzeczypospolitej i rozbiorów: „Dla dodania sobie otuchy, a społeczeństwu wiary, celowo fałszowali historię, przypisując niepowodzenia, nieudolności Polaków, tylko nieporozumieniu ze strony społeczeństwa polskiego, jego wyłącznie błędom, a z reguły nie szukali przyczyn tych niepowodzeń tam, gdzie one są naprawdę ukryte, to znaczy po stronie Rosji".

Chyba znamy to skądś? Przecież tu „tuskizm" w czystej postaci... Jak pisał dalej Niezbrzycki, to dlatego „kapitulanci w dziejach Polski nigdy nie dążyli do rozpoznania rosyjskiego partnera, lecz wprost przeciwnie, robili wszystko, by otoczyć go mgłą tajemniczości, ukryć wobec narodu polskiego jego niewygodne dla polskiej polityki kapitulacyjnej cechy i przedstawić go w takim świetle, by sama idea kapitulacji stała się wśród szerokich mas ludu polskiego popularna".

Czy można lepiej opisać politykę resetu Tuska, Sikorskiego i Komorowskiego? I teraz chyba najmocniej-

foto. Aleksiej Witwicki/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 0c7443f31f

sze słowa Niezbrzyckiego: „Polityki kapitulacyjnej w stosunku do Rosji w ogóle stosować nie można, w szczególności nie może jej stosować naród polski [...] W stosunku do Rosji można prowadzić jedynie politykę oporu. Polityka uległości doprowadza niezmiennie do ostatecznego wchłonięcia przez Rosję obcego organizmu państwowego czy narodowego, włącznie do zagłady biologicznej, zatarcia języka i kultury". Czy po napaści na Ukrainę można mieć wątpliwości co do prawdziwości tych słów?

▶ Gdy Tusk kochał Glapińskiego

Nie znamy wszystkich uwarunkowań zapadania się Tuska, od wahań tekstu z 1987 roku do zdrady po kwietniu 2010 roku. Ale metodami „białego wywiadu" możemy łatwo opisać jawne symptomy rozchodzenia się z niepodległościową linią.

Mało kto pamięta, że Kongres Liberalno-Demokratyczny był do marca 1991 roku częścią federacyjnego jeszcze Porozumienia Centrum, bez czego nie znalazłby się w Sejmie, a Jan Krzysztof Bielecki nie zostałby premierem. Notabene współpracownikiem Tuska był wówczas atakowany dziś przez niego... Adam Glapiński.

W maju 1991 roku Tusk został przewodniczącym KLD. Mimo licznych afer gospodarczych, po wyborach z 1992 roku KLD wraz z PC i Solidarnością obsadziło prezydia Sejmu i Senatu, ale do rządu Jana Olszewskiego już nie weszło. A potem Tusk „liczył głosy" i organizował „nocną zmianę". W wyborach 1993 roku KLD, obciążone wizerunkiem „aferałów", uzyskało 3,99 proc. głosów i zniknęło ze sceny, łącząc się z Unią Demokratyczną w Unię Wolności.

Środowisko KLD przejęło potem powstałą w 2001 roku PO. I znów zaistnieniu Tuska na scenie politycznej towarzyszyła niepodległościowa podpórka. Zapowiadano powstanie PO-PiS-u, ale gdy okazało się, że wybory wygrał PiS, Tusk wycofał się z tego projektu i wściekle atakował rząd.

W wyborach z 2007 roku nie było już niepodległościowej podpórki, Tusk parł do władzy, by obalić PiS i zrobić to, w co mało kto wierzył: tak głęboki reset w relacjach z Rosją, że wymagał on odrzucenia linii deklaratywnie nawiązującej do Giedroycia „Gazety Wyborczej". Po 2010 roku była już tylko nienawiść do PiS, która po 2015 roku przekształciła się w ideologię totalnej opozycji, a wraz z powrotem Tuska do kraju w jej zradykalizowaną wersję, w której pokonanie absolutnego zła, jakim jest PiS, pozostaje jedynym ważnym celem.

▶ Patriotyzm ponad intelektualne i moralne siły

Czym jest więc dzisiejszy „tuskizm"? Kontynuacją linii XIX-wiecznych kapitulantów, czyli „realistów"? Niewątpliwie, ale w XX wieku istniał silniejszy nurt „realistyczny", odrzucający dziedzictwo polskości, czyli zainstalowani na ziemiach polskich od 1944 roku w roli ośrodka władzy komuniści.

Jedną z pierwszych wydanych przez Instytut Literacki Giedroycia w Paryżu książek była „Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej", zawierająca wygłoszony w PRL tekst socjologa Józefa Chałasińskiego, którego kariera rozwinie się później wspaniale: będzie członkiem zarządu TPPR, Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, a nawet Komitetu Obchodu 70-lecia urodzin Józefa Stalina. Zgodnie z komunistyczną linią pisał on o przedwojennych elitach jako „getcie inteligenckim", wyizolowanym od ludu. To był manifest o „polskości nienormalności" napisany 40 lat przed artykułem Tuska.

Książka zawierała też odpowiedź publicysty „Kultury" Jana Ulatowskiego, która brzmi dziś jak miażdżąca krytyka „tuskizmu". W „Kulturze" (nr 2–3,1947) Ulatowski pisał: „Nie można chcieć przestać być tym, kim się jest. A kim jest naród, dowiadujemy się z jego historii. Przekreślać dzieje narodu, to gest nihilistyczny, a robić z siebie sędzię narodowych dziejów, który nie widzi nic poza nikczemnością i głupotą, to grzeszyć pychą".

Z krytyką romantyzmu polemizował: „Gdybyśmy byli kornie poddali się rosyjskiej opiece, może jeszcze żyliby dziś potomkowie Polaków mówiący jakimś zruszczonym narzeczem polskim, ale – pozbawieni literatury, która na tej legendzie wyrosła, pozbawieni doświadczeń, jakie porobili niepodległościowcy i realiści XIX w. [...] nie bylibyśmy się więcej obudzili do niepodległości". Dodawał, niczym później prezydent Lech Kaczyński: „Jako naród jesteśmy funkcją naszego położenia geopolitycznego, które na całej przestrzeni dziejów europejskich wymagało w tym miejscu gdzie jest Polska, państwa wielkiego i silnego".

Stwierdzał też kategorycznie, że „wynarodowienie znacznie szybciej kradnie narodowi substancję, niż tysiące poległych w szaleńczych walkach". Trudno nie przyznać temu racji, patrząc na wynarodowioną część elit w roku 2023. Tym, którzy atakowali polską historię, potępiając „nacjonalizm", Ulatowski odpowiadał, jakby mówił do Tuska: „Inteligent, którego nacjonalizm obarcza zadaniami ponad jego intelektualne, a często i moralne siły, staje się kosmopolitą". ■

***

Na wydarzenia z 1897 roku, od których zacząłem niniejszy tekst, odpowiedział wówczas na łamach nielegalnego „Robotnika" jego młody redaktor naczelny Józef Piłsudski, który napisał o ugodowcach, że „wyzbywszy się ostatków godności ludzkiej, w wyobraźni już zmieniają swą pokorę na ruble, ordery i posady".

eprasa.pl 0c7443f31f

Marcin Wolski

Instynkt lokaja

Czy można mieć do lokaja pretensje, że przepaja go duch lokajstwa, że na wszelkie sposoby usiłuje dobrze służyć i przypodobać się swemu panu? Ależ skąd – on tak ma. Gorzej jeśli dawny reżim mija, czasy się zmieniają i jesteśmy już, mówiąc obrazowo, sami panami odzyskanego śmietnika, a lokajski instynkt pozostał. Czasami jest to śmieszne, czasami straszne, tym bardziej że owa potrzeba podległości może mieć różne powody. Przeważnie niewiarę we własne możliwości i konieczność podpierania się siłą zwierzchnią, może także wypływać z obawy, że ktoś jemu albo jego przodkowi – owo lokajstwo wypomni. To powoduje, że syndrom lokajstwa należy uznać za chorobę dziedziczną i trudno uleczalną. Jedyną znaną terapią jest długotrwała izolacja od władzy, najlepiej w karnym ośrodku penitencjarnym.

Oczywiście honor, godność, uczciwość też mają swoją cenę i pewnie w jakimś kantorze w Moskwie, Brukseli czy Waszyngtonie istnieje odpowiedni taryfikator. Lokajstwo jednak można nabyć za pół darmo, na kredyt – w euro – choć spłacać go przyjdzie przez całe życie. W dodatku zbyt mocno rozwinięty instynkt zależności może przeszkadzać w targowaniu się. Co więcej, lubi się on włączać nawet tam, gdzie jest zbędny, psuje wiarygodność, ba, szkodzi pośrednio nawet mocodawcom.

Lokajczyk w odróżnieniu od swych antenatów, którzy dawno temu (na przykład za Stalina) dumnie nosili swoją liberię, przyznaje się do niej niechętnie i zawsze potrafi przytoczyć tysiąc powodów, przeważnie wysoce rozsądnych i moralnych, dlaczego w Parlamencie Europejskim głosuje tak jak Niemcy, a amerykańskiego hegemona, gdyby ten mu pozwolił, najchętniej ucałowałby w... (potrzebne dopisać!). Żeby było jasne, lokaj wyższej rangi – taki majordomus z tytułem premiera albo kamerdyner, czytaj eurodeputowany – z pogardą patrzy na lokajskie pospólstwo, choć chętnie używa go do własnych celów. Naprawdę jednak nienawidzi ludzi wolnych, niezależnych, będących wyrzutem sumienia albo wrzodem na tyłku (zależy kto gdzie ma to sumienie). Gdzieś w głębi ducha podziwia ich, zazdrości im odwagi, której sam nie ma. Stąd emitowany przezeń codzienny bluzg jest właściwie próbą wyrzucenia tego wszystkiego, co sam myśli o sobie. Dlatego więc najgłośniej oskarża patriotów o putinizm (mimo że całkiem niedawno należał do ulubieńców Władimira Władimirowicza), a ludzi, którzy całe życie walczą z nieuczciwością, próbuje wrobić w korupcję.

> Lokaj wyższej rangi z pogardą patrzy na lokajskie pospólstwo, choć chętnie używa go do własnych celów. Naprawdę jednak nienawidzi ludzi wolnych.

Czy wynika z tego, że nasz mentalny lokaj nigdy niczego się nie uczy? Ależ skąd. Nauczył się odgrywać pana, przyswoił wielkopańskie maniery, przynajmniej tak jak sobie je wyobraża, nauczył się parę obcych słów i emanuje też poczuciem wyższości... Niestety na wielu ludzi, którzy nigdy w życiu prawdziwego pana nie widzieli, to działa i podróbkę przyjmują za oryginał. W dodatku kasta lokajów, żrąc się między sobą jak wściekłe psy, na zewnątrz potrafi być niezwykle solidarna. Czasami też mam wrażenie, że najlepsi z nich przeszli korespondencyjne szkolenia w szkole im. psa Pawłowa, tradycyjnie mieszczącej się przy placu Stara Łubianka. Można więc sobie wyobrazić taką sytuację: upojna brukselska noc, gęsta od cygar i szampana, wokół klakierzy i dziennikarskie odaliski, w pryzmach petrodolary i wartości europejskie, aż tu nagle dzwoni dzwoneczek. Nasz lokajczyk zrywa się, ślini i melduje: „Dzwoniliście, towarzyszu Put..., pardon, profesorze Pawłow?”. ■

eprasa.pl 0c7443f31f



Ewa Polak-Pałkiewicz

Żal za tamtą Ukrainą albo „pańskie wytrybeńki”



W moim domu rodzinnym słyszało się dumki kozackie, zwłaszcza gdy dopisywał dobry humor. Mama, przedwojenna harcerka, często je nuciła. Lubiliśmy ich melodie i tajemnicze słowa, które się powtarzały: „ataman”, „kurhan”, „liman”. Odgadywało się intuicyjnie, że dumki mówią o jakiejś wyjątkowej krainie, gdzie nade wszystko kocha się wolność, swobodę, bezkresną przestrzeń. Treść tych pieśni rzadko była naiwna i słodka, były one nawoływaniem do jakiegoś nieodgadnionego zrywu, przypomnieniem dawnego bohaterstwa, jakiejś odległej utraconej więzi. Ich podtekstem była tęsknota.

FOT. WIKIPEDIA

prasa.pl

Któż z nas nie przepadał za dumkami? One nas wykołysały. Często górują melodyjnością, a nawet finezją nad śpiewami polskimi" – Anna Saryusz-Zaleska w książce „Niezapomniana Ukraina" (pisanej w latach 70. i 80. ubiegłego wieku w Paryżu i w Warszawie) potwierdza, że Polacy z Ukrainy w czasach zaborów i w międzywojniu byli mocno zżyci z kulturą ludu ukraińskiego.

W pamięci wielu Polaków tamtych pokoleń Ukraina pozostała jako wspomnienie miejsca nie tylko urzekającego urodą krajobrazu, cieszącego obfitością wszelkiego rodzaju dóbr natury i żyznej, wdzięcznej w uprawie ziemi. Ludzie tu żyjący posiadali jakiś szczególny urok. Dobrze było z nimi przebywać, pracować, wojować, żartować, spieszyć im z pomocą, gdy potrzebowali, zawsze odwzajemnioną. Wielu z nich to urodzeni artyści.

Melodia ukraińskiego języka trafiała do serca polskich ziemian; było w dobrym tonie mówić po ukraińsku. „My, dzieci mojowickie, byliśmy trójjęzyczni: mówiliśmy po polsku, po małorusku i po francusku" – podkreśla z dumą Anna Saryusz-Zaleska wychowana we dworze w pobliżu Czerniejowiec. „Służba doskonale władała językiem Bolesława Prusa, a jej chlebodawcy – językiem Tarasa Szewczenki. Ojciec stale cytował porzekadło małoruskie: »Jak skażu jej Bohu«, to czasem zbreszu. A jak skażu »prysiagaj Boh – to jej Bohu sze ne zbreszu«. Co znaczy: »Jak powiem, na miły Bóg«, to czasem skłamię, ale jak powiem: »przysięgam Bogu – to na miły Bóg, nie skłamię!« Albo: »Ne tańcuj tak duże dribno, bo ce tobi nepotribno!«; »Ne haj bude hirsze, aby insze«. Zamiast: »pańskie zachcianki« powiadaliśmy – »pańskie wytrybeńki«; zamiast: »dosyć tego!« – »hodi!«; zamiast: »blagujesz« – »breszesz«, co brzmiało prawie pieszczotliwie. W ustach matki najczulszym zwrotem nie było: »moja dziecino«, tylko »moja detyno«".

▶ Zostaniesz pampuszkiem!

Wśród co barwniejszych wspomnień z dzieciństwa i wczesnej młodości spędzonej przez Annę Saryusz-Zaleską w Mojówce, na ziemi leżącej między Kijowem, Żytomierzem i Humaniem, jest i to: „Późna jesień 1909 roku. W pokoju dziecinnym siedzi w kucki przy rozgrzanym piecu niania, stara Ukrainka w chłopskim stroju, Jawdocha albo Jawdoszka. Na ręku trzyma dwuletnie ciężko chore dziecko, Anusię. Piastunka chciałaby za wszelką cenę pomóc maleństwu. A ono wie o tym i mimo okropnego bólu odczuwa błogość, jaka daje przekonanie, że jest się przedmiotem miłości. [...] To ja byłam tą chorą Anusią. I doskonale pamiętam swoją nianię Jawdoszkę: wzorzysta chusta wysoko upięta na siwych włosach, biała koszula z bombaku (lekkiej bawełnianej tkaniny), pokryta haftem w krzyżyki, fałdzista ciemna spódnica. Rysy mojej piastunki są dość pospolite, ale ma wysokie czoło, wspaniałe wschodnie czarne oczy i pełną godności postawę. Trudno uwierzyć, że była zwykłą wieśniaczką, która nie umiała czytać. Mnie wydawała się istotą niezwykłą, uosobieniem dobroci i miłości". W rodzinie Zaleskich utrwaliło się przekonanie, że najwątlejsze niemowlę przemieni się bezwarunkowo pod jej opieką w pampuszka, jak mówiono, czyli rumianego grubaska. U Zaleskich, tak jak w wielu rodzinach podolskich ziemian, zaufanie było podstawą w traktowaniu ukraińskiej służby.

Gdy czyta się opis familiarnych stosunków panujących w mojowickim dworze, to dzisiejsza demokracja może wydać się blada i nieprzekonująca. Dzieci uczone były od najmłodszych lat szacunku wobec tych, którzy tu usługiwali – i zarazem solidarnie współpracowali z właścicielami. Ci prości ludzie byli lojalni, opiekuńczy, a przy tym bystrzy i bardzo praktyczni; w wielu sytuacjach podbramkowych niezawodni, co odczuwała zwłaszcza siódemka dzieci Saryusz-Zaleskich. „Cały personel domowy – począwszy od Francuzek, a skończywszy na Dmytrze, świniarzu – był z nami, bo nas kochał. [...] Mamusia mogła nas spokojnie wyprawić bryczką do lasu z furmanem Mikołajem. Tak jakby był naszym wujkiem. Dmytro, ten od świń? Po prostu uważaliśmy go za wzór wszelkich cnót. Co prawda kucharz czasem za długo zaglądał do kieliszka albo się pobił z lokajem, ale to się nie działo na oczach dzieci [...]. Było zapowiedziane, że jeśli któreś z nas zachowa się impertynencko w stosunku do Maksyma, to musi go w rękę pocałować. Śmieszne. A któż by chciał obrażać Maksyma? Pocałować go w rękę? Wielka mi kara! Tym bardziej, że urzędował w nicianych rękawiczkach niepokalanej bieli".

Matka autorki, Aniela z Lipkowskich, nie poprzestawała na byciu panią i chlebodawczynią. W ukraińskich chatach nieopodal dworu spędzała „całe godziny", zabierając ze sobą sakiewkę i pakunki, a zostawiając w powozie małą Annę. Nie bała się zarazków, osobiście doglądała chorych; lekarstwa, które przynosiła, były sporządzonymi przez nią osobiście ziołowymi mieszankami i maściami. Leczenie chłopów ziołami było specjalnością pań Lipkowskich.

▶ Odeski dywan z sienniczek

Na nadmorskie wakacje (Zalescy wynajmowali w Odessie okazałą willę blisko wybrzeża) rodzina

eprasa.pl 0c7443f31f

zabierała ze sobą kucharza Grzegorza. Był sześćdziesięcioletnim jowialnym grubasem, którego talent kulinarny i dusza artystyczna przejawiały się m.in. w wielce kunsztownych deserach. Anna Zaleska z młodszą siostrą co wieczór przymilały się do niego: „– Grzegorzu, niech Grzegorz zrobi lody albo krem parfait. Lepiej parfait! – Kiedy pannuńcie trudno o lód. – Eee, Grzegorz wszystko potrafi. Więc niech będą przynajmniej koszyczki!... Ach, te koszyczki! Były zrobione z biszkoptu, wypełnione kremem, a rączki miały z karmelu. Grzegorz kręcił głową, trochę mruczał, ale ulubiony deser pojawiał się na stole".

Odessa kojarzyła się panience Zaleskiej jednak przede wszystkim z ziarnami słonecznika, które żuło na potęgę całe miasto; Odessa to „sienniczki". „Nie przepyszne aleje z rozmachem, nie esplanady i pompatyczne gmachy – coś à la opera paryska. [...] Ani wreszcie wspaniałe schody wsławione filmem »Pancernik Potiomkin« Siergieja Eisensteina. A dużo wcześniej – co prawda na podolsko-ukraińską tylko skalę – mówiono o nich za sprawą dziadka Lipkowskiego. W jaki sposób mógł wsławić te schody? Ano wjechał po nich konno w okresie swoich studiów w odeskim liceum.".

Tymczasem na peryferyjnym bulwarze przed plażą Średni Fontan Zalescy spotykali nieodmiennie „mrowie matrosów spacerujących pod rękę z dziewojami. Całe to towarzystwo żuło i wypluwało sienniczki. [...] stąpało się po nich jak po dywanie".

▶ Gdy Potoccy nie cierpią Sapiehów...

Choć dwory i rezydencje na Podolu opisywane przez autorkę wspomnień drobiazgowo, z czułością ich mieszkanki i stałej bywalczyni, bo prawie wszędzie miała kuzynów, odznaczały się prawie bez wyjątków patriotyzmem, bogobojnością, wyjątkową troskliwością, jeśli idzie o wychowanie i edukację dzieci, serdeczną gościnnością, środowiskową lojalnością, to przecież kłótnie i animozje między szlachtą były na porządku dziennym. Swady i dąsy przechodziły z pokolenia na pokolenie. Jak to utrwalił Mickiewicz, cytowany przez Annę Zaleską, wadzili się ze sobą aż miło „Krepsztułowie z Kupściami, Putrament z Pikturną, /Z Odyńcami Mackiewicz, z Kwileckimi Turno...". Tę listę autorka uzupełnia (za Krzysztofem Morawskim) bliższymi sobie rodami: „Morawscy nie lubili Łubieńskich (tu grała rolę polityka), Mańkowscy Lipkowskich, choć byli najbliższymi krewnymi, Potoccy nie cierpieli Sapiehów. Broel-Platerowie – Zyberków, itd., itd.". Przyczyny bywały często trudne do określenia, by nie powiedzieć dziwaczne. „Mańkowscy byli co się zowie correct i rozsądni. Dbali o decorum. A niektórzy potomkowie starego Henryka Lipkowskiego z Krasnosiółki [...] nie zawsze tego decorum przestrzegali. [...] Jan i Stanisław wzięli za żony piękne panny Kozakowskie z Kraczówki, które szczęścia pod dach mężowski nie wniosły. Te panie były, jak powiadał generał Zaza-Podhorski, skrzyżowaniem damy pikowej z szampanem...".

Lud ukraiński swoim rozsądkiem, twardością i stałością charakterów nieraz kontrastował z podobnymi postawami. Zarówno Polacy, jak i Ukraińcy zawsze silnie reagowali na niesprawiedliwość. A Ukraińcy byli wyjątkowo skorzy do nazywania po imieniu zło i dobro. Nie dawało ich się oszukać, nie brnęli w niuanse i dwuznaczności. Dziś także „Nie uchylają się od obowiązku przetrwania i dawania świadectwa", jak określa to dziś eufemistycznie i dyplomatycznie, jakby mówił o jakimś zasuszonym motylu czy innym naukowym preparacie jeden z amerykańskich slawistów.

W tamtej przedrewolucyjnej epoce ujawniali przywiązanie wobec swoich polskich „panów" wbrew gorącym oczekiwaniom Rosjan, zwłaszcza gdy rozpoczęły się represje popowstaniowe. Przypominało to stosunek dzieci do rodziców albo podopiecznych do opiekunów i dobroczyńców. W Borówce Mańkowskich włościanie w latach 30. XIX wieku nie chcieli przyjąć warunków uwłaszczenia, tzw. hramot. A w nieodległej Krasnosiółce Lipkowskich chłopi ukraińscy chcieli koniecznie, by hramoty zostały podpisane w ich imieniu osobiście przez dziedzica Henryka Lipkowskiego. „A gdy papa powiedział, że nie ma do tego prawa" – pisze w jednym z listów jego córka, Teresa Lipkowska – „bo już podpisał jako obywatel, wtedy włościanie zwrócili się do Benusia [syna Henryka–E.P.P.]: »Koły stary pan ne może podpisaty za nas, prosymo panycza«". Właśnie: „włościanie" – nigdy nie „chłopi"; ziemianie przestrzegali zasady, żeby – zwłaszcza w słowie pisanym – nigdy nie używać tego pogardliwego (jednak) określenia. Staroświecka rewerencja wobec tych, których się szanuje. Henryk Lipkowski po 1831 roku uwolnił swoich poddanych i przekazał im ziemię na własność. Nie był wyjątkiem wśród podolskich ziemian.

▶ Tylko nie do rosyjskiej szkoły!

W poszukiwaniu przygód, w wyprawach myśliwskich, wtedy, gdy trzeba było popisać się kunsztem zdobywcy czy uporać się z przeciwnikiem, trafiał swój na swego. Anna Saryusz-Zaleska poświęca roz-

eprasa.pl 0c7443f31f

dział wspomnień „wujowi generałowi", Józefowi Lipkowskiemu, urodzonemu w Rososzu na Humańszczyźnie, słynnemu w latach międzywojnia konstruktorowi, zasłużonemu zwłaszcza dla kolejnictwa i lotnictwa wynalazcy, ochotnikowi w wojnie bolszewickiej (gdy już dobiegał sześćdziesiątki). Jego ojciec, także Józef Lipkowski, ekszesłaniec, poświęcał edukacji obu synów – Józef miał brata bliźniaka Jana – niemało czasu. Jako nieletnie szkraby mieli oni osobne drewniane domki na kółkach. Stawiało się je to w parku, to pod lasem, to na łące. Dzieci miały w nich same gospodarzyć. Jako sześciolatkowie jeździli konno i strzelali „jak kowboje". Byli zuchowaci i przedsiębiorczy. Otaczali się kozakami z majątku rodziców jako przyjaciółmi i powiernikami. Józef – późniejszy generał – zapisał w swoich pamiętnikach: „Ileż to razy na przykład wyjeżdżając na polowanie z chartami, ruszaliśmy w stepy na kilka dni, nie uprzedziwszy o tym nikogo, z wyjątkiem towarzyszących nam kozaków, którzy zabierali wtedy do swoich toreb chleb, słoninę, no i czosnek. Spaliśmy na stepach, przy koniach wraz z chartami, dbając więcej o nich, niż o nas samych".

Ojciec nie zamierzał wysyłać synów do szkół rosyjskich, sprowadził guwernerów i jako jedenastolatkowie obaj mówili już i pisali po francusku, angielsku i niemiecku. Najście na dom w Rososzu urzędników rosyjskich, których niepokoił ten bojkot rosyjskich uczelni, skończyło się polubownie. Lipkowskim udało się jakoś zneutralizować czujność władzy, przekonali kontrolerów, że nie opłaca się skórka za wyprawkę; chłopcy mają zbyt żywe temperamenty i gorące uczucia wobec Polski, by nie doszło za ich sprawą do awantur w gimnazjach rosyjskich.

Anna Zaleska ze skrupulatnością późniejszej wielbicielki i ukochanej siostrzenicy „wuja generała" notuje w swych wspomnieniach: „Do awantur dochodziło już i wcześniej. Oto pod nieobecność rodziców bliźniaki wraz ze starszym bratem Kazimierzem wyruszają do Połohu, majątku dziadka, marszałka Karola Lisowskiego. Chcą zapolować na nury, które gnieżdżą się w dużym stawie" (nur czarnoszyi – Gavia arctica – to gatunek dużego, wędrownego wodnego ptaka z rodziny nurów; nury były na Ukrainie wielkim rarytasem i atrakcją dla myśliwych i przyrodników, rzadko spotykano je poza Syberią i Azją wschodnią). Generał Lisowski wspomina w swoim pamiętniku: „»Połoh, nad rzeczką Udyczem, był oddalony od nas o dwieście wiorst, przyjechaliśmy tam z wieczora, aby raniutko zapolować. Jakież było więc nasze zdumienie, a zarazem oburzenie, gdy wstawszy przed świtem dowiedzieliśmy się, że dziadunio kazał w nocy nasze strzelby pochować. Po krótkiej naradzie nasz starszy brat jedzie co koń wyskoczy do domu i po półtorej godziny wraca z zapasowymi strzelbami, przywożąc ze sobą również trzech uzbrojonych kozaczków [„kozaczek" to ukraiński chłopak do pomocy służbie we dworach – E.P.P.]. Ledwie słońce wstało, ustawiliśmy się pod oknami pokoi, w których mieszkał dziadek, i na komendę rozpoczęliśmy palbę: pam!, pam!, a wiedzieliśmy, że dziadek zawsze bał się strzałów. Potem zdobyliśmy istnym szturmem podwórze gospodarcze, gdzie wystrzelaliśmy wszystkie napotkane indyki, gęsi, kaczki, kury – i nie raczywszy nawet spożyć rannego śniadania, wyjechaliśmy obrażeni do domu, nie pożegnawszy się z dziaduniem«". Generał Lisowski dodaje, że „ojciec zareagował jak należy na ten nasz dziki wybryk...". Niepoślednią uciechę z tego wybryku mieli owi „kozaczkowie".

▶ Polować, hulać, wyczyniać brewerie...

O tym, jak lojalna była służba wobec ziemian na Ukrainie, świadczy zanotowana przez Annę Zaleską przygoda Aleksandra Jełowickiego (późniejszego wydawcy Mickiewicza w Paryżu i księdza zmartwychwstańca) i Leona Lipkowskiego – pradziadka Anny, serdecznych przyjaciół, dwudziestokilkulatków, gdy po słynnych „kontraktach kijowskich" (tradycyjnych targach połączonych z balami i wieloma innymi rozrywkami, gdzie sprzedawało się i kupowało głównie zboże i płody rolne, gdzie szlachta robiła kokosowe interesy), wracali do siebie wraz z wozem, który załamał się pod ciężarem pszenicy – gdzieś między Kijowem a Odessą – a bryka pękła z powodu przeciążenia kruszcem. „Asygnaty jeszcze nie istnieją, monety są ciężkie. Aleksander wychwala »poczciwość ludu ukraińskiego«, bo kiedy bryka z kruszcem załamała się o kilkanaście mil od dworu, w szczerym stepie, zostawił ją tam i pojechał spokojnie do domu. Nawet mu przez myśl nie przyszło, że słudzy mogliby drapnąć z worami wypchanymi monetami".

Z kolei dziadek autorki, Władysław Lipkowski z Rohów, był z tych dziedziców, którzy lubili wspólne z Ukraińcami zabawy kosztem Rosjan. Wykorzystał każdą okazję, by sobie z nich podworować. Cytowany przez Annę Zaleską generał Zygmunt Podhorski „Zaza", w „Pamiętnikach" poświęca Władysławowi Lipkowskiemu malownicze wspomnienie: „Za swoich młodych lat uganiał się w towarzystwie kilku kozaków, polował, hulał, robił brewerie. [...] Gdy się spotkał z prystawem [prystaw to rosyjski poborca podatków, stale odwiedzający dwory, nigdy jednak nie zapraszany do wnętrza – E.P.P.], z którym popijali, Moskal zwrócił

eprasa.pl 0c7443f31f

się do niego z pytaniem, po co trzyma kozaków. Ot, gdyby on, prystaw, kazał, to oni by go (Władysława) związali i daliby mu w skórę. Władysław zaproponował zakład, który stanął. Zawezwano kozaków i sprawnik z groźną miną kazał im wuja związać. Chłopcy popatrzyli po sobie, pokiwali głowami i nie ruszyli się z miejsca. Wówczas wuj powiedział: »No, widzi pan, teraz moja kolej«. Zwrócił się do kozaków: »No, chłopcy, zwiążcie sprawnika i wsypcie mu parę batów!«. Kozacy z uśmiechem rzucili się na urzędnika, w powietrzu go rozciągnęli i dali mu w skórę. Jasne, że wuj miał wiele nieprzyjemności z tego powodu i wiele go musiało kosztować, żeby nie być zesłanym".

▶ Sługa zagląda przez dziurkę od klucza, dziedzic – pod pokrywkę

Dom „dziadunia Władysława" w Rohach był prowadzony po wielkopańsku. Wspaniała kuchnia, mrowie służby, niemal codziennie goście. „Samej męskiej obsługi – kozaków i lokajczyków – było osiem dusz" – notuje Anna Zaleska. Specjalną pozycję zajmował wśród nich stary Maksym, który za jej życia nie krzątał się już po pokojach, tylko czyścił srebra w kredensie. „Miał rany na nodze, opatrywała go dwa razy dziennie ciocia Mańcia. Na czele lokajów stał Iwaś, przywiązany jak nikt do swoich chlebodawców. »Nasze dzieci«, powiadał o domowych panienkach". Lubiano go, ale wciąż utyskiwano i napominano, że wchodzi do ich sypialni bez pukania. Na gorzkie wymówki odpowiadał z godnością: „»Ja zawsze zajrzę najpierw przez dziurkę od klucza. Jak można wejść – to wejdę«, odpowiadał. Dodawał przy tym sentencjonalnie: »Ech, co tam pannuńcie. Ja żeniaty człowiek...«".

U Lipkowskich z Piatyhor kwitło porozumienie z Ukraińcami po linii prac rolniczych i porad gospodarczych. Leon Lipkowski, społecznik, sędzia przysięgły, opiekun sanitarny w czasie epidemii, utrzymywał z Ukraińcami liczne przyjacielskie stosunki. „Jeden ze starych Ukraińców składał mu stałe wizyty, a każdą z nich rozpoczynał zapytaniem o zdrowie »staruchy korolewy Wiktorii«. Drugi – oburzał się, gdy dziedzic namawiał go do nawożenia gleby i uchwalenia odpowiedniej rezolucji na zebraniu gromadzkim: »Jakże to świętą ziemię bezcześcić!« – powiadał".

Podobnie Franciszek Zaleski z Pustowarni (Pustowarnia – ukr. Pusta warownia), który przemyśliwając stale o czynie zbrojnym przeciwko Rosji trzymał w swoim majątku drużynę kozaków, „którzy razem z paniczami odbywali regularną musztrę wojskową". Na potrzeby przyszłej walki miał dużą stadninę. Był unitą. W obawie, by prawosławni nie wkroczyli do okazałej katolickiej kaplicy przy jego dworze i nie zaczęli w niej urzędować, kazał ją zburzyć, gdy car zdelegalizował unię. Nigdy nie przyjął prawosławia. Był fanatykiem porządku i czystości – także w obejściach ukraińskich włościan. Domagał się, by przy okazji ślubu obowiązkowo sadzone były przy chatach drzewa owocowe. Potrafił zaglądać do chat, żeby sprawdzić, czy jest tam czysto, a nawet i do garnków nie omieszkał zapuszczać żurawia. Przygadywał gospodyni, gdy barszcz mu nie smakował: „To ty tak pro swoho czołowika i ditej dbajesz?".

▶ Powrócić myślą do pustej warowni

Jak polscy ziemianie z Ukrainy radzili sobie ze stratą majątku i wszystkich bliskich sercu przedmiotów, w tym starych mebli, dzieł sztuki, księgozbiorów podczas rewolucji? Autorka wspomina kuzynów Lipkowskich z Wołodyjowiec. Ich dwór („niewymyślny, szlachecki") nad urwistym skalnym brzegiem Murafy, z pięknym, pieczołowicie utrzymanym ogrodem, był umeblowany cennymi antykami. Zagadnęła kiedyś, już po zagładzie ziemiańskiego Podola, o te meble właścicielkę Irenę Skarżyńską-Chacińską, matkę ośmiorga dzieci. „Ach, meble z Wołodyjowiec?" – odparła, machając niedbale ręką, jakby chodziło o błahostkę. „Dziadkowie lub pradziadkowie Skarżyńscy kupili je w Warszawie. Stały przedtem w Łazienkach czy w Belwederze". Okazało się, że ktoś z rodziny zobaczył je po wojnie w jednym z kijowskich muzeów. Autorkę ta wiadomość uradowała niezmiernie. „Ocalał więc od zagłady okruch polskiej kultury. I cząstka mego dzieciństwa".

Wojciech Zaleski z Pustowarni, kuzyn Anny Saryusz-Zaleskiej, który prowadził po wojnie sekcję polską Radia Madryt, w swoich wspomnieniach i refleksjach ukraińskich, publikowanych w „Kulturze" paryskiej, pisze: „Trzeba było dopiero długich lat drugiej emigracji, by wrócić myślą do pustej warowni, by podjąć próbę zrozumienia i wytłumaczenia w świetle wspomnień dzieciństwa tego, co się tam naprawdę stało, tej zdumiewającej ruiny dorobku materialnego i kulturalnego, tworzonego wysiłkiem wielu pokoleń i utrzymanego przez kilkadziesiąt lat pod obcą władzą". Zaleski ocenia, że dwory polskie na Ukrainie, które były „jednym wielkim sąsiedztwem", mimo tak silnych więzów ze wsią, nie mogły zapewnić Ukraińcom awansu społecznego. Rosja dążąc do zlikwidowania wpływów polskich na Ukrainie, skrzętnie wykorzystała „połączenie swej polityki narodowej z przewrotem społecznym". Nie dla dobra Ukraińców bynajmniej. Z kolei Ukraińcy

eprasa.pl 0c7443f31f

z powodu braku elit społecznych, które mogłyby stanowić zalążek kadr zdolnych do administrowania krajem i utrzymania w nim porządku „mieli po swojej stronie tylko żywioł". W rezultacie „nie mieli innego sposobu wywalczenia niepodległości niż pełne poparcie dążeń społecznych chłopa". Kolejna odsłona historycznego dramatu narodu bez tradycji własnej państwowości, z gotowym zawsze do skoku, zaborczym sąsiadem.

Tylko dla orłów

Ważniejsza stokroć od rzeczy materialnych, od posiadania wspaniałych dóbr była ta specjalna, trudna do naśladowania umiejętność życia na Kresach. Wywodzący się z Podola znakomity historyk Władysław Wielhorski scharakteryzował chyba najlepiej rodzaj życia i zarazem wzajemnej więzi łączącej na przestrzeni paru wieków polskich „panów" i ich poddanych – a często w gruncie rzeczy współpracowników i przyjaciół – w warunkach surowych, pełnych niebezpieczeństw, o skali niespotykanej na innych obszarach Rzeczypospolitej.

„Zarówno posiadacz drobnego chutoru jak magnat, którego obszary liczyły tysiące kilometrów kwadratowych, mieli podówczas wspólne troski życia codziennego, wzajemnie od siebie uzależnione. Przede wszystkim, jak wyciągnąć jak najwięcej zysku z posiadanych dóbr, jak obronić siebie, swe rodziny i gromadzony dobytek – od możliwych w każdej chwili najazdów tatarskich. Toteż trwać tam mógł jedynie typ człowieka o nieprzeciętnej woli, odwadze, zdrowiu, wytrwałości, zacięciu żołnierskim. [...] Wytrwać w tamtejszych warunkach zdołał najczęściej człowiek, o którym historyk, Aleksander Czułowski, powiada, że »obóz był mu domem, zbroja odzieniem, koń siedzeniem, ziemia posłaniem zaś bitwa igraszką«".

Ukraina z jednej strony zaludniała się nieustannie przybyszami z zachodu i północy, najczęściej ludźmi hardymi, niepokornymi, pragnącymi swobody, w dużej części włościanami uciekającymi od niesprawiedliwego prawa, energicznymi, odważnymi, przedsiębiorczymi, z drugiej zaś wyludniała się w rytm kolejnych najazdów ord tatarskich „z tych, którzy tracili fortunę, odwagę i wolę dalszego trwania". Istniały dwie możliwości: „[...] osobnik o zuchwałej postawie, wytrwałości i pomysłowości, który się lubował w bezustannych bojach i miał pogardę dla śmierci – znajdował w stepach Ukrainy bądź własną mogiłę, bądź kraj nie kończącej się wielkiej przygody, który darzył wielu i bogactwem i rozgłośną sławą".

Paradoksalnie im bardziej przybywało osiadłej, coraz zamożniejszej ludności, lepiej uzbrojonej i zahartowanej w walce z napastnikami, „tym częstsze i natarczywsze bywały zagony tatarskie, polujące i na ludność osobiście (jasyr) i na jej mienie ruchome, którego rosnąca ilość i jakość w Ukrainie zaostrzała jeszcze apetyty ordyńców krymskich, zaś od wieku XVI – i bezpośrednio władców Imperium Ottomańskiego".

Wiem doskonale...

„Wiem doskonale" – pisze w końcowej części książki Anna Saryusz-Zaleska – „że pławienie się w szlachetnych sentymentach i rozwodzenie się nad ludzką poczciwością nie wychodzi na dobre takiej jak moja pisaninie". Nie omieszka więc umieścić tu zarówno swojej refleksji na temat Tarasa Szewczenki – którego „Jęczy i wyje Dniepr szeroki..." sama tak często nuciła – o jego pełnego ambiwalencji stosunku do Polaków – nienawidził ich za „ciemiężenie chłopów", podziwiał za „umiłowanie wolności, męstwo, talent do konspiracji" – jak i opisu spotkania z pewną Ukrainką, już po ostatniej wojnie. Rozmowa dotyczyła wojennych lat i utraty najbliższych.

„– Mój ojciec był księdzem prawosławnym. Został spalony w cerkwi razem z wiernymi.

Pytam:

– Przez Niemców?

– Nie, przez Polaków. Ojciec się śmierci spodziewał, bo przedtem Ukraińcy wymordowali kilka polskich rodzin.

Milcząc, popatrzyłyśmy na siebie bez nienawiści. Nawet ze zrozumieniem. Bo – jak długo można?".

Anna Zaleska nigdy nie wróciła do miejsc swojego dzieciństwa. Intuicyjnie szukała w dorosłym życiu jakiegoś odbicia, repliki tego „dawnego cichego raju", do którego tęsknił także Taras Szewczenko, aby wskrzeszona tam została jedyna w swoim rodzaju więź między Polakami i Ukraińcami. Znalazła jego namiastkę w mieszkaniu kuzynów, przy tej samej warszawskiej ulicy, przy której sama po powrocie z emigracji zamieszkała. Można tu było wspólnie zanucić – od wielkiego święta – jedną z tych melodii, łagodnych i tęsknych: „Czerez riczeńku, czerez bołoto,/Podaj ruczeńke, ty moje złoto...".

Jej bliska kuzynka, także ziemianka bez ziemi, zapisała nawet, staroświeckim pochyłym pismem, cały zeszyt – taki w ozdobnej okładce – wszystkimi dumkami, które z tamtych lat zostały jej i jej bliskim w pamięci. ■

_____

Cytaty za: Anna Saryusz-Zaleska „Niezapomniana Ukraina", Warszawa 2007;
Władysław Wielhorski „Ziemie ukrainne Rzeczypospolitej. Zarys dziejów", Londyn 1959.

eprasa.pl 0c7443f31f

Małgorzata Matuszak

Czym jest... spór

Zgoda między ludźmi niewątpliwie jest wartością, dzięki której możemy doświadczyć stabilności życia publicznego i prywatnego. Nie zawsze jednak jest ona możliwa – niekiedy mimowolnie, a czasem z własnej woli, wdajemy się w spory z innymi ludźmi, wynikającymi nie tyle z samej z różnicy przekonań i poglądów, ile z chęci udowodnienia własnej racji na gruncie racjonalnym oraz pokazaniu drugiej stronie, że to właśnie nasz punkt widzenia jest słuszny. Czasem spór wynika również z pragnienia pokazania komuś drugiemu, że jesteśmy od niego lepsi, z chęci wyrażenia swojej wyższości. Wtedy trudno jest nam dojść do zgody, żadna ze stron bowiem nie chce okazać się gorsza, co może manifestować się w irracjonalnym wywyższaniu się i atakowaniu drugiego. Taki spór rzadko jest konstruktywny i nie prowadzi do pojednania, lecz eskalacji konfliktu między zaangażowanymi w niego stronami.

W życiu publicznym spory oparte na racjonalnym dowodzeniu własnego stanowiska i szukaniu na jego rzecz adekwatnych argumentów mogą być jednak ważnym elementem urzeczywistniania się demokratycznych ideałów dialogu społecznego i negocjowania stanowisk w życiu politycznym.

W starożytnej Grecji spór zwany „agonem" był ważnym elementem życia publicznego. „Agon" obejmował zarówno współzawodnictwo w dziedzinie myślenia, jak i sztuki. Pierwotnie odnosił się do greckiej sztuki dramatycznej, w której bohaterowie wchodzili ze sobą w spory i walczyli o swoje racje. Racjonalnie prowadzone spory były formą nauki dla narodu greckiego i jednocześnie wspaniałym przykładem umiejętne prowadzonego dyskursu między spierającymi się rozmówcami, w którym wygrywał ten, kto nie tylko wykazał swą rację, lecz także sprawność na polu retorycznym i erystycznym. W ten sposób ćwiczyli swoje umiejętności myślenia wybitni przedstawiciele życia publicznego starożytnej Grecji – politycy, myśliciele oraz artyści. Szlachetna walka, w myśl ideału łączenia prawdy z pięknem, była domeną ludzi wybitnych w starożytnej Grecji i ważnym elementem życia publicznego.

Również w naszej demokratycznej tradycji ważne jest kultywowanie uczciwych i mądrych sporów na gruncie życia społecznego. Spór bowiem, przeprowadzony zgodnie z regułami racjonalności, może obie strony uczynić osobami bogatszymi i może pomóc im lepiej poznać oraz ugruntować własne stanowisko w obliczu jego antagonisty, a także uczynić bardziej przejrzystymi przesłanki przekonań własnych i rozmówcy. Kwestie sporne w życiu publicznym powinny być niewątpliwie podejmowane z poszanowaniem dla różnych stanowisk, a spory prowadzone tak, aby można było wypracować wspólne stanowisko w oparciu o zasadę konsensusu. W przypadku, gdy taki konsensus nie jest możliwy, warto utrzymać otwartość na różnicę zdań, tak ważną w demokratycznym państwie. Demokracja, opierając się na godzeniu różnych stanowisk i uznając ich współistnienie, nie tylko nie wyklucza sporu, lecz także czyni go wręcz nieuniknionym, gdyż tam, gdzie istnieje różnica racji, tam pojawia się również spór o te racje.

> Powszechność hejtu wskazuje na patologiczną odmianę sporu, który nie jest prowadzoną według zasad walką między dwiema stronami, lecz próbą sił i dążeniem do wygrania nawet nieczystymi metodami.

Niestety, w życiu publicznym coraz częściej mamy do czynienia z negatywną formą sporów, które mają na celu nie tyle udowodnienie słuszności własnej racji, ile zniszczenie oponenta. Powszechność hejtu wskazuje raczej na patologiczną odmianę sporu, który nie jest prowadzoną według zasad walką między dwiema stronami, lecz próbą sił i dążeniem do wygrania nawet nieczystymi metodami, także poprzez obrażanie przeciwnika. Taka forma sporu na pewno nie przynosi niczego dobrego oponentom, a wyraża jedynie ich wzajemną frustrację i negatywne emocje, które mówią raczej, że – parafrazując znane powiedzenie malarza hiszpańskiego Francisca Goi – ich rozum śpi i dlatego budzą się w nich demony. Takie spory nie mają już nic wspólnego ze szlachetną walką prowadzoną w ramach greckiego „agonu" i na pewno nie służą ugruntowaniu demokracji. Dlatego warto dbać o jakość i formę tego, w jaki sposób się z kimś spieramy, aby nasz spór był formą komunikacji, a nie tylko wyrazem chęci destrukcji. ■

eprasa.pl 0c7443f31f

Wybitny uczony i filozof, erudyta i humanista, który swoim umysłem przeniknął wiele problemów oświecenia, ale jego rozwiązania nie były utopijne i nie zachęcały do zamordyzmu i nie fałszowały historii, jak to było u „postępowych" myślicieli. Dlaczego więc o nim tak niewiele wiemy? Ach, racja, był przecież intelektualistą katolickim.



Jakub Augustyn Maciejewski

BÓG OPIEKUJĄCY SIĘ NIESFORNĄ LUDZKOŚCIĄ

Giambattista Vico (1668–1744) miał życie raczej ciężkie i nieszczęśliwe, więc nikt nie mógł przypuszczać, że stworzy takie dzieło jak „Nauka nowa" (1724). Syn księgarza z Neapolu nie miał wielkich szans, by zostać filozofem, a wypadek w wieku 7 lat uczynił go słabym i chorowitym. Na domiar złego chirurg operował dziecko tak nieprofesjonalnie, że chłopiec prawie zmarł, a później do końca życia miał różne bóle i kryzysy psychiczne. Uczył się raczej w domu, z korepetytorami, na uniwersytecie w Neapolu zdobył dyplom prawnika, ledwo przeżył zarażenie tyfusem, a przez całe życie z trudem znajdował prace nauczyciela czy wykładowcy (zwłaszcza retoryki), które dawały mu mierną pensję. W jego autobiografii jest sporo rozżalenia na niezrozumienie współczesnych, obojętność mecenasów, cenzurę drukarzy i wydawców, trudności zdrowotne i techniczne w pracy akademickiej. Vico nie wyglądał na zadowolonego z życia, jednak z jego pracach historycznych i pracach nad poezją, mitologią i religią widać entuzjazm i zachwyt nad dziełem ludzkiej tradycji i kultury. Jedyne, co dawało mu radość, to stare księgi, utwory antycznych i średniowiecznych autorów i dorobek europejskiej cywilizacji. Jego elastyczny umysł i pasja humanistyki doprowadziły go do odczytania sensu dziejów ludzkości w zupełnie inny sposób niż robili to dotychczasowi kronikarze i dziejopisarze, oraz do stworzenia odkrywczego i wcześniej nieznanego spojrzenia na tradycję, mitologię i literaturę. To właśnie spojrzenie, warsztat badacza, rozumienie dzieł artystów z przeszłości zawarł w kilkukrotnie wydanej pracy „Nauka nowa", gdzie wyłożył swoje poglądy i rozległą erudycję.

Na progu nowej epoki

Innowacyjność myśli neapolitańskiego prawnika ma swój rozmach także dlatego, że powstała w szczególnych czasach. Luminarze XVIII-wiecznego oświecenia tacy jak Rousseau (1712–1778) czy Wolter (1694–1778) byli jeszcze młodzieńcami, gdy w trzeciej dekadzie stulecia Vico wydał po raz pierwszy, wówczas jeszcze mocno okrojoną, pracę. Myśliciele „wieku postępu" będą zastanawiać się, jak człowiek może stworzyć ustrój idealny, jak będzie wyglądała kraina szczęśliwości, w czym człowiek jest upośledzony i zły i co z niego trzeba usunąć, szukając rozwiązań w różnych fantastycznych wizjach literackich, zachwycając się „Utopią" Tomasza Morusa czy „Miastem Słońca" Tomasza Campanelli. Filozofie tamtego okresu będą uważali człowieka za zdeprawowanego, zniszczonego rozwojem cywilizacji, działalnością religii (zwłaszcza Kościoła katolickiego), potrzebującym gruntownej przebudowy, zapisania go od nowa niczym czystej kartki papieru.

To właśnie oświecenie dało fundament późniejszym totalitaryzmom, które rozwinęły myśl XVIII wieku, że społeczeństwo trzeba zbudować od podstaw i w imię postępu zniszczyć niektóre jego części: na przykład Żydów (nazizm) czy właścicieli środków produkcji (marksizm). Oświecenie pełne było pogardy wobec dorobku Europy, uważało, że dzicy Indianie czy plemiona Afryki są lepsi od Europejczyków, że trzeba wiele z dziedzictwa cywilizacji po prostu odrzucić i oni wiedzą lepiej, co to powinno być. Wierzyli, że wszystko da się policzyć, zbadać i ogarnąć rozumem. Choć większość tych myślicieli nie dożyła krwawego spełnienia ich fantazji – rewolucji francuskiej (1789) – to jednak już ich czytelnicy – władcy z Berlina czy Sankt Petersburga – wprowadzali zamordystyczne wizje swoich ulubionych autorów.

Giambattista Vico wydaje się być na przeciwległym biegunie tych błędów. Owszem, też się zastanawiał nad najlepszą formą ustroju społecznego, też szukał lepszych rozwiązań dla ludzkości, dla państw i narodów, to jednak nie odrzucał przeszłości, lecz ją badał, zachwycał się nią i uważał, że rozwój społeczeństw z ich zakrętami, zawirowaniami, okresami barbarzyństwa czy regresu, jest naturalny i zawiera swoisty sens. Neapolitańczyk dodatkowo studiował tradycyjne przekazy przeszłości, analizował mity i wierzenia, by z nich wyczytać, jak ludzkość żyła w zamierzchłych czasach i co z tamtych epok powtarzało się w jego współczesności. Tak oto otrzymaliśmy obraz bez pychy, uznający wagę i rozumu, i wiary, i nauki, i subiektywnych przekonań, opisujący mechanizm funkcjonowania wspólnot, które w sposób naturalny przybierają swoje epoki: bogów, herosów i ludów. „Nauka nowa" to podsumowanie kilku dekad przemyśleń włoskiego wykładowcy.

Zakodowana przeszłość

Giambattista Vico twierdził, że w dawnych ludowych podaniach, legendach, kodeksach prawnych i mitach zakodowane są pradawne historie. „Tradycje ludowe zawierały w sobie powszechne pierwiastki prawdy, toteż powstawały one u różnych narodów i trwały przez długie okresy czasu" – pisał filozof z Neapolu. Czytając o Herkulesie, widział nie opowieść o jednym synu boga Zeusa, który walczył z bestiami, lecz historię wybitnych jednostek w krajach greckich, które stworzyły tamtejsze miasta, państwa i sojusze. Neapolitańczyk przekonywał, że autorzy w początków pierwszego tysiąclecia przed narodzeniem Chrystusa nie mieli odpowiednich słów i aparatu pojęciowego, by napisać na przykład, że na wyspę przybył wojownik, który pokonał lokalnego wodza i kazał założyć miasto i port, więc tamtejsi pieśniarze ubierali to w mityczne

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 0c7443f31f

akty: syn boga, heros, pokonuje bestie i zamienia konkretny obszar w życiodajny ogród.

Autor „Nauki nowej" niekoniecznie we wszystkich szczegółach miał rację (nie było jeszcze wówczas archeologii, która dała nam tak dużo faktów o starożytności), ale jego metodologia była na wskroś przenikliwa. We wszystkich znanych sobie religiach Vico dopatrzył się wspólnych opowieści: na przykład o potopie, o wężach (w Chinach: smokach) czy o jabłku czy złotym jabłku. Gdy intelektualiści czytali to jeszcze dosłownie (niektórzy więc odrzucali to jako bajanie), prawnik z Neapolu widział tam ukryte pojęcia, symbole i wydarzenia. Jego zdaniem na przykład wąż pełzający po ziemi miał być symbolem własności ziemskiej, która zaczęła się przed kilkoma tysiącami lat pojawiać i była zjawiskiem nowym, niezrozumiałym i wywołującym niepewność – jak to? Nie można tu zbierać roślin, bo ta ziemia do kogoś „należy"? I oto w mitach i podaniach ludowych pojawiają się rozmaici bohaterowie, którzy z tymi wężami walczą albo im ulegają, jak na przykład Perseusz pokonujący Meduzę mającą węże zamiast włosów jest symbolem oporu przed nowym zjawiskiem – ustrojem agrarnym. Dziś archeolodzy wiedzą, że około 4 tys. lat przed naszą erą zaczął się proces tzw. rewolucji neolitycznej, czyli przejścia od koczowniczego zbieractwa i łowiectwa do osiedlenia się na stałe w jednym miejscu, uprawy ziemi i hodowli bydła. Ale jak taki proces mieli opisać ludzie sprzed tysięcy lat, którzy nie znali słowa „własność" i nie rozumieli, że ktoś sobie zabiera ziemię i ją przemienia na swój użytek? Tak oto w ludzkich wspólnotach zaczęły powstawać legendy i opowieści, które pod takimi metaforami ukrywały złożone dzieje ludzkości.

W tym sensie Vico był więc humanistą, który we wszystkich owocach ludzkiej kultury widział głębszy sens – poezja, język czy bajki dla dzieci były nie tylko rozrywką czy miały nie tylko funkcję użytkową, lecz także chroniły zbiorową wiedzę pokoleń.

Z tego właśnie powodu autor „Nauki nowej" uważał, że nie było wcale jednego Homera, autora „Iliady" czy „Odysei", lecz to wielu bardów greckich wyśpiewywało pojedyncze epizody i różne wersje walk o Troję czy powrotu Odysa, a późniejsze pokolenia wyobraziły sobie jednego autora tych wielkich eposów.

▶ Epoka bogów, herosów i ludzi

Zdaniem Vico cywilizacje przechodzą przez trzy fazy historii: bogów, bohaterów i ludów. Pierwsza jest czasem rządów religijnych, często nierozumianych ani przez współczesne społeczeństwa, ani przez potomnych. Ustrój i funkcjonowanie władzy oparte są na wykonywaniu mistycznej woli sił wyższych, a przywódcy są bogami albo kapłanami. To wtedy rodzą się rytuały religijne, w których odczytać można szczegóły polityki: kto rządził, kogo musiał trzymać w ryzach i dlaczego. Tak badacz przyglądał się na przykład składaniu ofiar przy świętach wiosny czy przesilenia zimowego.

Druga epoka to czas, z którego pamiętamy wybitne postacie, postrzegane przez lud jako bohaterów. W tym czasie herosi wygrywają wojny, ustanawiają państwa, zaprowadzają nowe porządki – ich językiem jest walka, oręż i dynamiczne zmiany polityczne. Do historii przechodzą jako królowie, synowie bogów (a więc już nie jako sami bogowie), wojownicy, w których przygodach zawierają się także prawdy o całych państwach czy narodach. Wreszcie trzecia epoka – ludów – to już realia szerszego uczestnictwa w rządach i życiu społecznym, gdy poprzez pismo można porozumiewać się w sprawie prawa, nowych reguł funkcjonowania czy handlu.

Z jednej strony Vico dostrzega ten podział oczywiście w starożytności, ale też w średniowieczu. Dawni Grecy mieli zatem swoje stulecia z Zeusami i Posejdonami, ale Homer opisuje już herosów – Minosa, Achillesa czy Odyseusza, zaś później nadchodzi epoka ateńskiej demokracji czy spartańskiego reżimu wojskowego.

Średniowiecze rodzi się na kanwie kościelnego prawa kanonicznego, a królowie pełnią też czasem funkcje religijne – Vico podaje przykład założyciela dynastii Kapetynów, Hugona (940–996), który miał się tytułować „hrabią i opatem Paryża", a wielką rolę w kształtowaniu Europy pełnili papieże i święci.

Epoka herosów jawi się tutaj jako czas wodzów wojskowych czy słynnych korsarzy, rozbójników i odkrywców (Francis Drake, Krzysztof Kolumb) lub też opowieści o takich bohaterach jak Roland czy król Artur. Autor „Nauki nowej" nie do końca wyjaśnia, czym by była epoka ludów w jego czasach – czy przewidział coś na kształt rewolucji francuskiej? A może uznawał, że rozpowszechnienie druku i powstanie prasy na Starym Kontynencie, a więc dystrybucja myśli i pojęć za pomoca języka na papierze, daje już prawo mówić o „ludzkim" charakterze ówczesnych stuleci?

W tym postrzeganiu historii jako pewnej cykliczności jest dodatkowy sens.

Do czasów Giambattisty Vico istniały tylko dwie koncepcje czasu – linearna i cykliczna. W tej pierwszej ludzkość miała wyjść z jednego punktu (na przykład ucieczka z Raju) i oddalać się od niego przez wieki, w tej drugiej (którą *de facto* stworzył Platon) ludzkość miała wiecznie powtarzać te same epoki. To ostatnie przekonanie widać na przykład w dzisiejszej Rosji (świat wschodniego chrześcijaństwa wiele czerpał z Platona), w której wierzy się, że ich imperium przeżywa nieustanne fazy: ekspansji, dalej wielkiej smuty, a później odbudowy. Neapolitańczyk z XVIII wieku niejako połączył obie wizje – co dziś nazywa się „spiral-

eprasa.pl 0c7443f31f

ną koncepcją czasu", a więc że pewne stany ludzkości są do siebie zbliżone, analogiczne (epoka herosów greckich i bohaterów średniowiecznych), ale jednak cały czas oddalają się w czasie od początkowego położenia, punktu wyjścia.

Opatrzność czuwa

Jednym z piękniejszych rysów „Nauki nowej" jest podejście autora do Boga. Jako katolik widzi on rolę Opatrzności w dziejach, ale formułuje ją tak, że również niewierzący intelektualiści mogą ją odczytywać w sposób wyrazisty i logiczny. Vico twierdzi, że wola Boga odgrywa decydującą rolę w dziejach, że ułomność ludzkiej natury także jest w nią wpisana. Ludzie mają swoje zwierzęce namiętności i skłonności do zła, ale poprzez tworzenie instytucji, praw i obyczajów, które zbliżają nas do Boga, tworzą przecież hierarchię, porządek i ład. Jakże odmienne było to od głównego nurtu oświecenia, który brzydził się dorobkiem cywilizacyjnym i wychwalał dziki stan ludów pierwotnych! „Gdy nastały rządy ludzkie, ludowe czy też monarchiczne, w oparciu o prawo narodów wprowadzono urząd heroldów, którzy wypowiadali wojny, a nieprzyjacielskie działania kończyły się zawarciem pokoju. Działo się to za sprawą szczególnej woli Opatrzności boskiej, ażeby narody w okresie barbarzyńskim, młode jeszcze i mające się rozwijać, pozostawały w obrębie swych granic i w swej nieokiełznanej dzikości nie wytępiły się w toku wojen. Równocześnie jednak rozwijając się musiały się humanizować i okazywać wzajemną tolerancję dla swych obyczajów" – pisze Vico o rozwoju cywilizacyjnym. W tym sensie konserwatywny i katolicki Neapolitańczyk umiałby znaleźć ludzkie i Opatrznościowe dobro we współczesnych instytucjach międzynarodowych, które – owszem, niedoskonałe – szukają dróg porozumienia i pokoju.

Zdaniem filozofa państwo i jego dobre ustroje są dziełem Boga. „Ustanowiona przez Opatrzność wieczna republika naturalna, przyjmuje zawsze formę najlepszą z możliwych" – przekonywał myśliciel, widząc w ewolucji państwa, w reformach i rozwoju, dobrą drogę dla człowieka. Jest to konserwatyzm w tym sensie oświeceniowy, że uznawał on zmiany za konieczne i dobre.

„Nauka nowa" zatem, jako metodologia badania przeszłości, jest – według słów samego Vico – „metafizyką, rozważającą w świetle Opatrzności Boskiej wspólną naturę narodów i wykrywającą początku spraw boskich i ludzkich u ludów pogańskich i na tym opierającą system prawa naturalnego narodów". Słowem: to Bóg kazał nam tworzyć wspólnoty, narody i cywilizacje – jest to dobre i właściwe, choć przychodzi wraz z błędami, zachłannościami i wojnami.

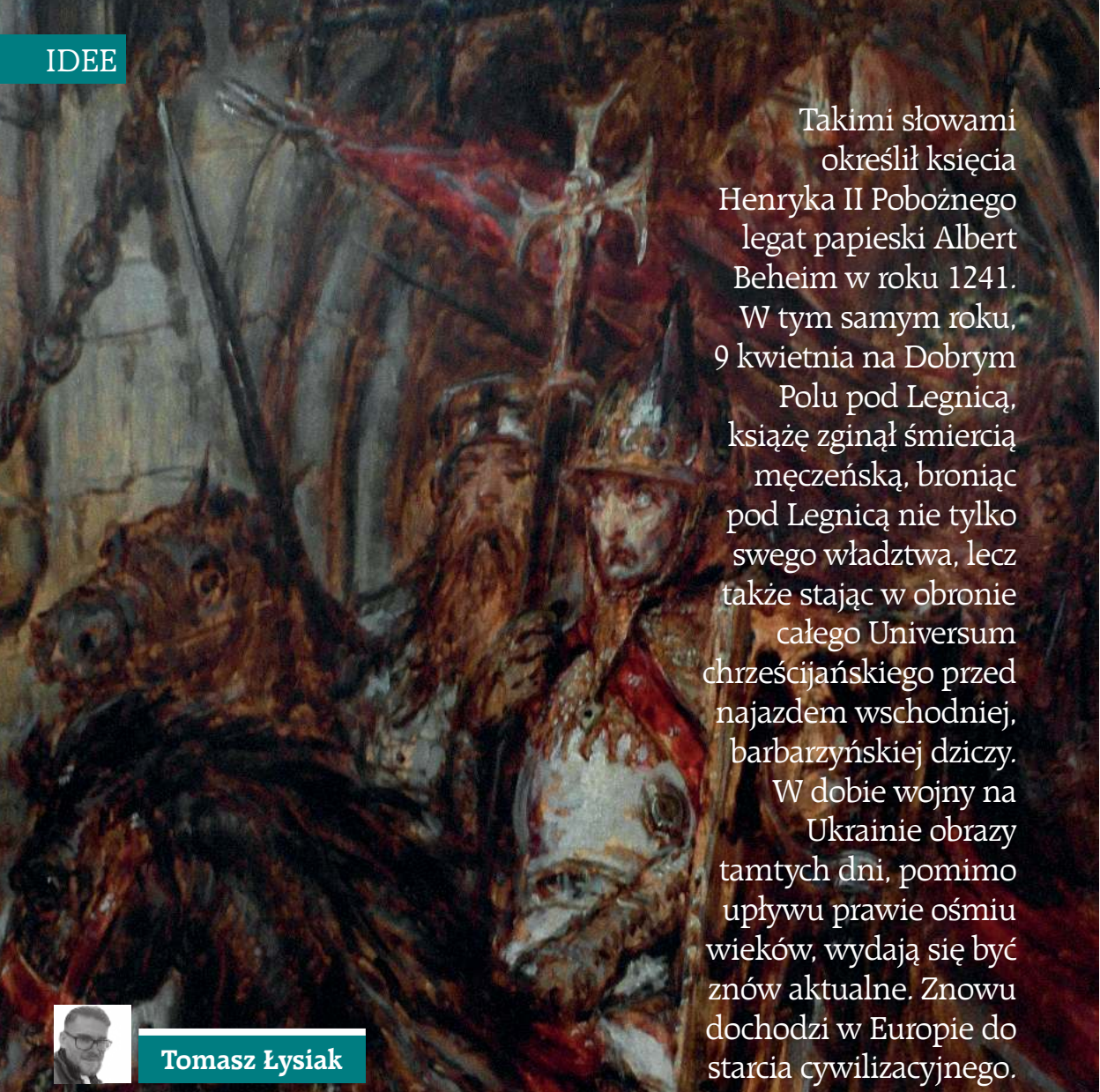
Zakopana „Nauka nowa"

Prace Giambattisty Vico zostały za jego życia przyjęte chłodno, a następnie na sto lat zapomniane. W XIX wieku zarówno Włosi doby romantyzmu, szukający rodzimych myślicieli, jak i katolicy zmagający się z rewolucyjnymi i postępowymi ideologiami, sięgnęli do „Nauki nowej", odkrywając w niej świeżość i śmiałość w formułowaniu tez. Neapolitańczyk odważnie krytykował przecież Kartezjusza, ale też miał zastrzeżenia do katolickiej edukacji, a z drugiej strony próbował utemperować pychę uczonych, zajmujących się naukami ścisłymi i myślących, że w ten sposób przenikną wszystkie sekrety świata. Vico uważał też, że intelektualny czy artystyczny dorobek indywidualny jest przeceniany, że wybitny autor czy naukowiec bardzo wiele czerpie ze swojego wykształcenia, od bliskich i od wspólnoty, by móc tak swobodnie nazywać się stuprocentowym autorem swojego dzieła. Nawet władza nie jest samoistna i wynika z oczekiwań swoich poddanych. „Rządy winny odpowiadać naturze ludzi rządzonych" – przekonywał Neapolitańczyk i dodawał: „Twierdzenie to wskazuje, że w porządku spraw społecznych publiczna szkoła władców jest moralnością ludów".

Oprócz intelektualnych i filozoficznych spostrzeżeń na temat dziejów ludzkości, Giambattisto Vico sportretował społeczeństwa przede wszystkim jako mające sens piękne dzieła Boże. Nie pałał do nich pogardą i nienawiścią, jak ideolodzy nowych ustrojów, nie pragnął wszystkiego poprawiać i nawet w błędach czy okrucieństwach widział pewien proces, po którym może przyjść coś dobrego. Filozof przestrzegał przed nadmierną pewnością siebie w opisywaniu dziejów człowieka. „Do pychy narodów przyłącza się ponadto próżność uczonych, którzy pragną, aby ich wiedza była stara jak świat" – przekonywał, jakby przewidując, że za kilka dekad nadejdzie łańcuch pokoleń filozofów, którzy będą projektowali doskonałą przyszłość dla wszystkich narodów.

Vico umarł zatem przemilczany, zgorzkniały wobec własnego życia, zaś z pełną afirmacją historii świata. Nawet w ludowych tańcach widział ukryte prawdy o pięknie przeszłości, w mitach o Jowiszu/ Zeusie pragnienie człowieka do samodzielności przeciw siłom natury, opisywał też powtarzające się błędy polityczne we wszystkich państwach i imperiach świata. W tej zawierusze dziejowej widział rękę Opatrzności i ufał jej, że na końcu człowiek nadal pozostanie oddzielony od zwierzęcia czymś szlachetnym, lepszym, pełnym nadziei na przyszłość. „Nauka nowa" pozwalała więc badać rzeczywistość z wykorzystaniem umysłu, z poszanowaniem dla wiary w Boga i pokazaniem, że jedno nie tylko nie wyklucza drugiego, lecz harmonijnie to drugie uzupełnia. ■

eprasa.pl 0c7443f31f



Takimi słowami określił księcia Henryka II Pobożnego legat papieski Albert Beheim w roku 1241. W tym samym roku, 9 kwietnia na Dobrym Polu pod Legnicą, książę zginął śmiercią męczeńską, broniąc pod Legnicą nie tylko swego władztwa, lecz także stając w obronie całego Universum chrześcijańskiego przed najazdem wschodniej, barbarzyńskiej dziczy. W dobie wojny na Ukrainie obrazy tamtych dni, pomimo upływu prawie ośmiu wieków, wydają się być znów aktualne. Znowu dochodzi w Europie do starcia cywilizacyjnego.

Tomasz Łysiak

Henryk Pobożny
– najbardziej chrześcijański władca Polski

24 sierpnia 410 roku do Rzymu wtargnęli Wizygoci pod wodzą Alaryka. Rzymianie wpadli w panikę. Barbarzyńcy niszczyli miasto, rabowali, podpalali budynki. Płonęło Forum Romanum. W Basilica Aemilia na ziemię runęły drewniane stoły kupców i leżące na nich monety. W płomieniach część z nich się stopiła, inne zaś wypaliły okrągłe ślady na kamiennej podłodze. Dzisiaj, gdy się spojrzy na kamienie przed Kurią, można dostrzec jedynie widma owych monet. Widma, pozostałość dawnego czasu to materia, z jaką zmagają się historycy: ze skrawków źródeł, ich fragmentów czy z zapisanych wiele wieków temu przez kogoś zdań – usiłują dociec całości, stworzyć obraz jak najbliższy prawdzie. Czasem jednak to poszukiwanie wymaga patrzenia szerzej i dalej, poszukiwania korzeni, procesów, kontekstów. Tak jest również w przypadku Henryka Pobożnego, którego proces beatyfikacyjny rozpoczął się kilka lat temu w diecezji legnickiej. Być może jednym z kluczy, które warto przyłożyć do postaci znamienitego księcia, jest właśnie spojrzenie głębsze. Może należy sięgnąć i do korzeni rzymskich.

Pomazaniec boży

Gdy w roku 312 przy moście Mulwijskim w Rzymie starły się armie Maksencjusza i Konstantyna, rozegrała się jedna z najważniejszych bitew świata. To wówczas bowiem nastąpił punkt zwrotny – cesarz rzymski Konstantyn, po tym, jak we śnie zobaczył wizję krzyża i usłyszał słowa: „In hoc signo vinces" („Pod tym znakiem zwyciężysz"), rozkazał umieścić na labarum tarcz swoich legionistów znak Chrystusa. Bitwę wygrał i stał się pierwszym imperatorem rzymskim, który przeszedł na prześladowaną dotąd w cesarstwie (i to przecież z jego perspektywy całkiem niedawno) wiarę. Wydał edykt zwany mediolańskim, potem zwołano sobór nicejski, a sam Konstantyn nawrócił się i przyjął chrzest tuż przed śmiercią. To przecież jego matka, św. Helena, odnalazła relikwie Krzyża, a z jednego z gwoździ kazała uczynić wędzidło do uzdy Konstantyna – władca według jej myśli miał od tej pory rządzić w imieniu Boga, podporządkować się mu, dać się prowadzić niczym koń, który musi przyjąć wędzidło między zęby, aby jeździec mógł nim kierować. Tak powstał ideał władcy chrześcijańskiego w średniowieczu – był on pomazańcem bożym, sprawował władzę nad ludem i dla ludu, ale w imieniu Najwyższego. Stąd Rzym, siedziba papieży, stał się „dawcą władzy". To Rzym koronował, a koronacja Karola Wielkiego w roku 800 była tego nie tylko potwierdzeniem, lecz także wzorem. Każdy król cesarz, książę – widział w sobie ucieleśnienie podobnej idei.

Dziedzictwo Piastów

Jak ją widział i rozumiał „najbardziej chrześcijański" książę Polski, który poległ śmiercią męczeńską pod Legnicą? Po pierwsze, wiedział i pamiętał, skąd jest – był potomkiem Piastów. Jego dynastia miała swoją historię, której jasny i czytelny wykład został spisany przez kronikarza anonimowego zwanego Gallem. W kronice Anonima znalazł się opis „punktu zwrotnego" w dziejach Polski – zjazdu gnieźnieńskiego w roku 1000, w trakcie którego Otton III, młodziutki cesarz niemiecki (a zatem dziedzic Imperium Rzymskiego), nie tylko modlił się u relikwii św. Wojciecha, lecz także w sposób szczególny uhonorował i wyróżnił Bolesława Chrobrego – wręczając mu włócznię św. Maurycego. Włócznia ta, będąca swego rodzaju chorągwią bitewną, miała przynosić idącym do boju wojskom opiekę i wstawiennictwo u Najwyższego dzięki mocy relikwii – znajdował się w niej kawałek drzewa z Krzyża Świętego. Święta Helena wręczając synowi uzdę ze Świętego Gwoździa, mówiła niejako „in hoc Signo vinces". Otton dając włócznię Bolesławowi w Gnieźnie, powtarzał ten sens. Nasz Henryk Śląski był tego niewątpliwie świadom. Bo był Piastem. Bo dostał dobre, gruntowne wychowanie na dworze książęcym. I to jakie wychowanie! Jego ojciec, Henryk Brodaty, wyrastał ponad innych władców dzielnicowych umiejętnościami i wizją nowego państwa – silnego gospodarczo i zjednoczonego.

Rodzina jako spoiwo

To za czasów Henryka Brodatego ziemie śląskie zrobiły olbrzymi skok cywilizacyjno-gospodarczy. To wtedy lokowano miasta i wsie, sprowadzano osadników, uruchamiano kopalnie. A jednocześnie Brodaty realizował znakomity plan polityczny – pragnął zjednoczyć ziemie piastowskie i uzyskać koronę. Co znamienne – nie dla siebie. Dla syna. Plan był znakomity i co więcej – pomimo wielu przeszkód (Henryk ledwie uszedł z życiem w trakcie jatki, jaką urządzono w Gąsawie w roku 1227, a potem był uwięziony przez Konrada Mazowieckiego) – szedł w dobrą stronę. W dodatku Henryk dopuścił do rządów swego syna, Henryka II zwanego przez lud Pobożnym. Na dokumencie z roku 1228 dotyczącym Lubiąża widnieją pieczęcie całej rodziny – jest tam pieczęć ojca (Henryka Brodatego), matki (Jadwigi – późniejszej świętej), syna (Henryka Pobożnego) oraz jego żony,

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 0c7443f31f

Anny Czeskiej (Śląskiej). Rodzina stała się spoiwem, była źródłem. Na ducha, na stan wiary młodszego księcia miała wpływ jego matka – Jadwiga, niezwykła osobowość, której silna wiara odcisnęła mocne piętno na całym Śląsku. Książę Henryk wyrastał na „najbardziej chrześcijańskiego", mając wokół siebie najlepsze wzorce. Wyrastał, ucząc się tego, co oznacza być Piastem, jakie dziedzictwo władca piastowski ze sobą niesie. I że nie tylko dba o swój lud tu na ziemi, lecz także prowadzi go do zbawienia...

Nowoczesna machina wojenna

Najazd tatarski, który spadł na ziemie polskie w roku 1241, był kataklizmem, z którym trudno było cokolwiek sobie zestawić, porównać. To nie była zwykła wojna. W stronę Europy ruszyły trzy potężne uderzenia armii mongolskiej, z których jedna, główna, parła na Węgry, druga poszła południowym szlakiem w stronę Bałkanów, Serbii, Bułgarii, a trzecia zaatakowała na „północnym skrzydle" – runęła na dawne ziemie polskie. Tatarzy byli okrutni i traktowali okrucieństwo jako część wojennego rzemiosła – pilnowali bardzo, by ich wojsko wyprzedzały opowieści o potwornościach, jakich się dopuścili. Nierzadko puszczali przed siebie kilku ludzi ocalonych z rzezi, by opowiadali wszystkim napotkanym, co się stanie, jeśli stawi się opór Tatarom.

Na Dobrym Polu pod Legnicą Henryk stawił opór nie tylko dzikim barbarzyńcom, lecz także znakomicie zorganizowanej machinie wojennej. Miał pod swoim dowództwem rycerzy śląskich, małopolskich, wielkopolskich, opolskich, ale stawiły się też na jego wezwanie hufce złożone z ludu – to górnicy ze Złotoryi porzucili kilofy i chwycili za włócznie. A wreszcie dowodził także oddziałami krzyżowców przybyłych z Europy oraz Krzyżaków.

Jednak był w tej walce politycznie i militarnie osamotniony. Wsparcie europejskie, które otrzymał, było w przeważającej mierze ochotnicze, a nie „systemowo" wysłane przez największych władców Europy.

Osamotniony

Czy gdyby Henryk dysponował większymi siłami – mógłby zwyciężyć? Prawdopodobnie tak. Relacja Tatarów, jaką kilka lat po bitwie przedstawił papieżowi po podróży do Karakorum polski franciszkanin Benedykt Polak (w odnalezionym, w latach 60. XX wieku, manuskrypcie podpisanym przez kopistę, mnicha C. De Bridia), wygląda następująco: „Tatarzy zaś podążając dalej na Śląsk, wszczęli bitwę z księciem Henrykiem, najbardziej chrześcijańskim władcą tej ziemi, i kiedy już, jak opowiadali temuż bratu, chcieli uchodzić z pola walki, szyki bojowe chrześcijan rzuciły się niespodziewanie do ucieczki. Wtedy księcia Henryka wzięli Tatarzy do niewoli i całkowicie obrabowali, a kazali mu klękać przed martwym wodzem, który poległ w Sandomierzu. Głowę jego, jakby głowę barana zawieźli przez Morawy na Węgry do Batu i wkrótce potem rzucili ją między głowy innych poległych".

Dwie stąd płyną niezmiernie ciekawe informacje. Pierwsza jest taka, że książę nie zginął na polu bitwy, lecz został z niej wyniesiony – i dopiero w obozie wroga, po odarciu z odzienia oraz przymuszaniu do klęknięcia, zabity. Poniósł śmierć męczeńską. A druga – że w kluczowym momencie bitwy Mongołowie mieli już zamiar odstąpić, czuli swoją przegraną. Niewiele zatem brakowało. Czegóż zabrakło? Wsparcia! Wsparcia z Zachodu.

Brzmi to tak niebywale aktualnie – w kontekście wojny na Ukrainie – że nie sposób o takim współczesnym kontekście tych rozważań nie napisać.

Kto mógł Henrykowi udzielić tego wsparcia? Król węgierski Bela IV w tym samym czasie bił się z Mongołami u siebie (bitwa pod Mohi rozegrała się 11 kwietnia 1241 roku, dwa dni po starciu legnickim). Czesi – Wacław, choć ruszył w stronę Legnicy, to zatrzymał się ze swym wojskiem i czekał... Na co? Pozostał cesarz niemiecki Fryderyk II. Jednak on był głuchy na prośby o pomoc. Siedząc w bezpiecznym niemieckim leżu, rozpisywał się w listach kierowanych do najważniejszych postaci ówczesnego świata, jak to Europa jest zagrożona wschodnim najazdem. W piśmie do króla angielskiego Henryka III Plantageneta opisał najazd tatarski, a także śmierć Henryka Pobożnego: „Ponieważ jedna [z trzech mongolskich armii – przyp. T.Ł.] została wysłana w stronę Prusów i tam przybyła, władca i książę tej ziemi, zaraz po ich zgładzie [tych ziem – przyp. T.Ł.] zginął (został zabity), a potem całe to władztwo przez nich zostało zniszczone".

Henryk II Pobożny, władca i książę (*princeps et dux*), podjął wyzwanie. Był „tam, gdzie trzeba" i „zachował się, jak trzeba". Zginął za swój lud, za wiarę. Zginął za Polskę – czyli wspólnotę ludzi zjednoczonych przez tożsamość, pamięć przeszłości i przez głęboką wiarę. Wreszcie – zginął osamotniony. Zginął za chrześcijańską Europę. Pozbawiony wsparcia i odpowiedniej pomocy. Dobrze, że – na co się zanosi – będzie wyniesiony na ołtarze. Potrzebujemy takich Polaków na ołtarzach. Bardzo. ■

eprasa.pl 0c7443f31f



Małgorzata Matuszak



Jeśli nie szacunek, to co?

Jeśli w przestrzeni międzyludzkiej nie okazujemy sobie nawzajem szacunku, oznacza to, że nasze poczucie wartości osoby ludzkiej uległo erozji. Czego zaś doświadczamy w zamian?

FOT. ADOBE STOCK.

eprasa.pl 0c7443f31f

Szacunek i jego okazywanie jest szczególną ludzką zdolnością jako istoty żyjącej w kręgu wartości, odgrywa bowiem rolę potwierdzającą i uznającą ważność kogoś lub czegoś. Szacunek dla siebie jest uznaniem własnej wartości, a dla kogoś drugiego – uznaniem wartości drugiej osoby. Trudno nie odnieść wrażenia, iż żyjemy w czasach, w których doświadczamy kryzysu tej wartości – coraz mniej mamy poważania dla siebie i dla innych, coraz rzadziej przejawiamy go w swym najbliższym otoczeniu i w przestrzeni publicznej. To bardzo niepokojące.

Szacunek a godność

Pierwszym etapem świadomości wartości istoty ludzkiej jest uznanie dla wartości samego siebie jako osoby. To w szacunku do siebie należy upatrywać zdolności do okazywania szacunku innym. Przejawy braku szacunku dla innych świadczą źle o nas samych, sprawiając, że czynimy samych siebie osobami niezasługującymi na szacunek.

Pamiętać trzeba jednak o tym, że szacunek nierozerwalnie wiąże się z godnością i – jak ona – może być rozumiana wielorako. Tak też szacunek należy nam się z powodu samego bycia człowiekiem, z racji autonomicznej wartości i godności osoby ludzkiej, ale również możemy sobie nań zasłużyć swoim charakterem oraz przymiotami osobowości, które mogą budzić uznanie u innych ludzi. Również szlachetność uczynków i konsekwencja w realizacji ważnych celów mogą wzbudzać w innych ludziach szacunek do nas. I odwrotnie, możemy tracić poważanie w oczach innych poprzez nasze haniebne uczynki i zaniechania. Tkwi więc w szacunku pewna dwuznaczność. Z jednej strony wszyscy jesteśmy – jako ludzie – równi; tę równość gwarantuje nam choćby Powszechna deklaracja praw człowieka: „Wszyscy ludzie rodzą się wolni i równi pod względem swej godności i praw. Są oni obdarzeni rozumem i sumieniem i powinni postępować wobec innych w duchu braterstwa". Uznając godność osoby ludzkiej, winniśmy żywić szacunek względem każdego człowieka z racji tego, że jest człowiekiem, niezależnie od jego zasług i wybitności. Należy się on również ludziom zsuwanym na margines społeczeństwa, przez społeczeństwo odrzuconym, poniżanym. Z drugiej jednak strony tkwi w szacunku pewnego rodzaju wyższość tego, kto jest szacunku godzien. Obdarzamy nim właśnie ze względu na odczuwaną wyższość drugiego człowieka, czy to ze względu na jego szczególny talent w jakiejś dziedzinie, ze względu na jego reputację, zasługi, piastowany urząd, czy to mając na względzie po prostu jego wiek czy też płeć bądź wykonywany zawód.

„Mieć" zamiast „być"

We współczesnym społeczeństwie zauważamy coraz większy spadek szacunku dla siebie nawzajem. Przyczyny tego zjawiska zależne są od wielu czynników. Od tego na przykład, że niektórzy uważają, że na poważanie musimy wyłącznie zasłużyć. Także od tego, że wielu z nas straciło szacunek dla drugiego człowieka, gdyż nauczyliśmy się, że są ważniejsze rzeczy niż sam człowiek. Społeczeństwo konsumpcyjne bardziej ceni sobie nabywanie dóbr materialnych niż szacunek dla osoby ludzkiej jako takiej. Jednostka ludzka nie plasuje się na zbyt wysokim miejscu w naszej hierarchii wartości. Wartość człowieka wydaje się oczywista i nie możemy jej kupić czy nabyć, dlatego w społeczeństwie kapitalizmu nie przedstawia takiej wartości jak choćby wymierna wartość pracy, jaką ów człowiek wykonuje, a którą możemy uznać za wartościową o tyle, o ile przynosi zyski przedsiębiorstwu, dla którego pracuje.

Szacunek dla człowieka jako wartości samej w sobie został zastąpiony przez szacunek dla jego pracy, osiągnięć czy prestiżu, jakim się cieszy w społeczeństwie. Te wszystkie oznaki bycia osobą wartościową traktujemy z szacunkiem, ale nie uznajemy już wartości osoby ludzkiej samej w sobie. Dlatego łatwo stracić uznanie społeczne w naszej kulturze, tracąc stanowisko, dochody czy prestiż wynikający z pełnionej roli w życiu społecznym.

Utrata szacunku w oczach drugiego człowieka jest zaś największym ciosem w nasze poczucie własnej godności, które pozwala nam czuć się ważnymi. Może ona wynikać z naszych czynów, z powodu których możemy zostać uznani za osobę niegodną szacunku, ale może wynikać również z tego, że w naszych czasach nie cenimy już tak bardzo człowieka jako takiego. A przecież wartość osoby ludzkiej nie może być tylko zredukowana do jej czynów. Szacunek, ten elementarny, powinien być przecież tym, czym obdarzamy człowieka bezwarunkowo, na mocy tego, że jest człowiekiem. Często jednak o tym zapominamy. Tak jak sami zapominamy o godności osoby ludzkiej, która nie jest zależna od naszej roli społecznej i zasobów materialnych, ale zasadza się na tym, że jesteśmy ludźmi, co samo w sobie stanowi wartość nieusuwalną i nieutracalną.

Uczenie się szacunku

„Kiedyś nauczyciel był szanowany, dzisiaj już nie" – to stwierdzenie słyszymy nader często. Co takiego

eprasa.pl 0c7443f31f

zmieniło się w naszych szkołach, że nauczyciel nie cieszy się już takim jak kiedyś szacunkiem? Przyczyn tego zjawiska można wymienić wiele. Już w pierwszych latach nauki szkolnej nauczyciel, który jawi się uczniom jako pewien autorytet, musi wzbudzić również szacunek dla swojej osoby, a dzieje się tak wtedy, gdy on sam okazuje szacunek swoim uczniom. Nauczyciel posiadając pewną wiedzę, nie powinien ośmieszać czy upokarzać uczniów z powodu ich braków w tym zakresie, a jedynie skutecznie prowadzić ich do tego, aby mogli z jego pomocą, dzięki odpowiedniemu nauczaniu, zdobyć wiedzę i umiejętności, których im brakuje. Szacunek dla osiągnięć ucznia i dla niego jako osoby ludzkiej, może być również narzędziem do tego, aby nauczyciel utrzymał swój autorytet i był zwrotnie szanowany przez uczniów. Nauczanie w szkołach odbywające się w atmosferze szacunku może okazać się dużo korzystniejsze dla nauczyciela i ucznia niż nierównowaga w tym zakresie i oczekiwanie przez nauczyciela szacunku w sytuacji, gdy sam go nie przejawia wobec uczniów. Traktowanie drugiego człowieka, tym bardziej słabszego, z pozycji siły, nie uczy niczego dobrego, oprócz tego, że tak można. Nauczyciele, którzy o tym wiedzą, którzy pamiętają o tym, że to oni są w szkole dla uczniów, nie zaś odwrotnie, są przez uczniów szanowani – szanując uczniów, jednocześnie uczą ich, jak szanować innych.

Niezwykle ważne jest to, abyśmy młode pokolenie uczyli szacunku. Musimy jednak pamiętać o tym, że dzieci uczą się od nas dorosłych, obserwując, jak my się zachowujemy. Odnosi się to również do świata wirtualnego, w przestrzeni którego nader często dochodzi do zachowań, w których odczuwalny jest brak szacunku do drugiego człowieka. Internet to medium specyficzne, rozmywa się w nim bowiem poczucie kontaktu z drugim człowiekiem po drugiej stronie łącza, sprawiając wrażenie, że wchodzi się w relację nie z osobą, a z maszyną. Dlatego tak łatwo w jego przestrzeni stracić z pola widzenia właściwe zasady odnoszenia się do siebie nawzajem i przestać dbać o etyczny sposób porozumiewania się z kimś drugim. Musimy jednak zawsze pamiętać o tym, że również w trakcie komunikowania się przez Internet, po drugiej stronie znajduje się człowiek, który czyta nasze słowa, którymi możemy go urazić, a nawet odebrać mu poczucie godności. Przestrzeń wirtualna wcale nie zwalnia nas z odpowiedzialnej i opartej na wzajemnym szacunku komunikacji, a wręcz powinniśmy o niej wtedy tym bardziej pamiętać, gdyż w tej formie komunikacji najłatwiej nam stracić poczucie granic między sobą a partnerem naszej rozmowy. Przestrzeń wirtualna jest przepełniona zjawiskiem hejtu i cyberprzemocą, co dowodzi tego, że właśnie w niej powinniśmy bardziej zadbać o świadomą i ujętą w ramy wzajemnego szacunku komunikację. Mówi się wiele o zagrożeniach, jakie niesie z sobą Internet, odnosząc je do zachowań w sieci dzieci i młodzieży. Czyż jednak my, dorośli, nie powinniśmy zacząć od siebie? Jeśli chcemy uczyć młodych ludzi kultury szacunku w sieci, to sami musimy najpierw ją przejawiać. Że z tym bywa różnie, możemy się przekonać zbyt często.

▶ Szacunek dla życia

Istotne w naszym świecie, w którym panuje model konsumpcyjny, jest to, aby przywrócić uznanie dla wartości życia jako takiego – dla życia osoby ludzkiej, którą jesteśmy od poczęcia do śmierci. Musimy kultywować szacunek dla ludzkiego życia, nie zaś kulturę śmierci, która przesiąknięta jest cyniczną i kwestionującą wartość życia nihilistyczną postawą utraty szacunku dla wszelkich wartości. Jest to aż nazbyt widoczne, kiedy przyglądamy się choćby dzisiejszych dyskusjom dotyczącym aborcji dzieci niepełnosprawnych czy eutanazji osób chorych i towarzyszącym im dywagacjom na temat, które życie jest godne i warte przeżycia, a które nie, i kiedy, jeśli zostanie negatywnie ocenione, można je zakończyć. Starość, niepełnosprawność, cierpienie – trudno znaleźć w dzisiejszym przesyconym kultem zdrowia, witalności i młodości świecie na nie miejsce, tym bardziej więc dla szacunku, który byłby kierowany w stronę życia doświadczającego właśnie starości, niepełnosprawności czy cierpienia.

Szacunek dla wartości i życie w kręgu wartości jest tym, co wyróżnia nas jako ludzi i pozwala nam tworzyć kulturę opartą właśnie na wartościach, którymi żyjemy i dzięki którym nasze życie ma sens. Szacunek dla naszego życia wyraża się zaś w tym, że potrafimy wnieść należyty sens w naszą egzystencję, żyjąc w zgodzie z zasadami i wartościami, które są przez te zasady chronione. Szacunek jest jedną z tych wartości dotyczących odnoszenia się do siebie i do innych ludzi, którą musimy nieustannie w swoim życiu okazywać sobie i promować wobec innych ludzi, gdyż właśnie dzięki niej możemy potwierdzić nasze i innych poczucie godności. Tego potwierdzenia poczucia własnej godności i godności drugiego człowieka nieustannie potrzebujemy i powinniśmy go wymagać w naszym życiu społecznym wobec i od innych ludzi. Szacunek możemy określić bowiem jako jedną z najbardziej podstawowych zasad umożliwiających dobre życie, zarówno nas samych, jak i z innymi ludźmi, w kręgu najbliższych nam osób i w całym społeczeństwie. Jeśli w naszym życiu zabraknie szacunku, to co nam pozostanie? ■

eprasa.pl 0c7443f31f

Piotr Lisiewicz



Pchał kulę ziemską, by starczyło miejsca na Polskę

Biało-czerwony znicz i chorągiewkę z herbem klubu Resovia umieścili 1 listopada 2022 roku kibice tego klubu na grobie Józefa Barana-Bilewskiego na zabytkowym cmentarzu komunalnym Pobitno w Rzeszowie. „Kapitan Wojska Polskiego. Mistrz sportu. Olimpijczyk" – głosi napis na skromnym rodzinnym grobie, w którym szczątki polskiego bohatera pojawiły się dopiero pół wieku po jego śmierci. Prawie nikt poza kibicami nie pamięta już, że spoczywa tu ten, który na Olimpiadzie w Los Angeles w 1932 roku tryumfalnie poprowadził do złotych medali Stanisławę Walasiewiczównę i Janusza Kusocińskiego, czym żyła cała Polska. Bo pamięć o ich trenerze, który sam wcześniej był sześciokrotnym mistrzem Polski, była długo zakazana, ponieważ zginął on w Katyniu.

FOT. WIKIPEDIA.

eprasa.pl 0c7443f31f



Sześciokrotny mistrz i wielokrotny rekordzista Polski w rzucie dyskiem oraz pchnięciu kulą, sportowiec, instruktor, sędzia, trener słynnych polskich lekkoatletów, kapitan Wojska Polskiego" – tak jego dokonania podsumował przywracający pamięć o legendzie polskiego sportu dr Bartłomiej Bydoń, pracownik Muzeum Katyńskiego w Warszawie, w specjalnym wydaniu „Polski Zbrojnej" z kwietnia 2020 roku. Możemy dodać, że właściwie to już nie kapitan, a major, bo 5 października 2007 roku minister obrony w rządzie Jarosława Kaczyńskiego Aleksander Szczygło awansował zamordowanego przez Rosjan olimpijczyka. Sam miał trzy lata później zginąć w Smoleńsku...

▶ Z wielodzietnej rodziny kolejarskiej

Pierwsze próby przywracania pamięci o wielkim sportowcu pojawiły się w latach 90. W 1992 roku Małgorzata Jarosińska pisała o swoim odkryciu w rzeszowskich „Nowinach": „Postać to mało znana dzisiaj w naszym mieście...". Dziennikarka starała się czegoś dowiedzieć o dzieciństwie sportowca urodzonego 4 marca 1899 roku w Racławówce koło Rzeszowa. Jak pisała, Józef Baran (nazwiska Bilewski używać będzie dopiero od 1937 roku) urodził się w rodzinie kolejarskiej, która w 1908 roku przeprowadziła się do Rzeszowa, gdzie dzieci Baranów chodziły do szkoły, a Józef, wcześniej uczeń szkoły ludowej w Racławówce, ukończył II Gimnazjum, w którym naukę rozpoczął w roku 1911.

Jak pisze dr Bartłomiej Bydoń, Józef urodził się w wielodzietnej rodzinie Tomasza i Zofii z Gubernatów. Trzech z czterech ich synów walczyło o niepodległość Polski w czasie I wojnie światowej bądź w obronie jej granic. Jednak najpierw było gimnazjum i Józef „już wówczas, stawiając swoje pierwsze kroki na boisku i bieżni Resovii w Rzeszowie, związał swoje życie ze sportem".

▶ Resovia – jeden z najstarszych polskich klubów, ale bez boiska

Resovia, jeden ze starszych polskich klubów, tyle co wówczas powstała, bo za jej rok założenia przyjmuje się 1910. Choć niektóre źródła mówią, że zalążki klubu były już w roku 1905. Wiadomo coś o „klubie footballowym" działającym wśród gimnazjalistów C.K. Gimnazjum w Rzeszowie i toczącym piłkarskie boje w ogrodzie miejskim już wcześniej, a koła sportowe w I i II Gimnazjum miały działać już od roku 1903, w tym drużyny o nazwach Championy, Czerwono-Czarni i Resoviacy. „Zawiązkę drużyny piłkarskiej Resovii należy szukać w drużynie Czerwono-Czarnych. Rok 1907 jest rokiem reorganizacji klubów na wzór klubów krakowskich" – pisano w biuletynie Lwowskiego OZPN w artykule „Krótki rys historyczny rozwoju piłkarstwa na terenie okręgu lwowskiego" z 1934 roku.

A w 1910 roku pada w prasie pierwszy raz nazwa Resovia, która w lipcu 1910 roku wygrywa 6:1 derbowy mecz z żydowskim klubem Bar Kochba Rzeszów. W październiku tego samego roku doszło do jej zwycięstwa nad Wisłoką Dębica 8:4. „Przypatrując się w ostatnim meczu pięknej grze Resovii, śmiało stwierdzić można, że drużyna ta w krótkim czasie mogłaby rywalizować z najlepszymi drużynami Krakowa i Lwowa, ale brak odpowiedniego boiska jest przeszkodą do dalszego rozwoju tak pod względem gry, jak też ilości członków tej dzielnej drużyny" – pisał „Głos Rzeszowski". Własnego boiska Resovia doczekać się miała w 1912 roku. Ale jeszcze przed powstaniem boiska, w Resovii pojawiła się lekkoatletyka. Jak ubolewał dziennikarz tejże gazety, lekkoatletyczne zmagania w lipcu 1910 musiały być przerwanie z powodu ulewnego deszczu.

W takich to niełatwych warunkach pierwszy raz kopał piłkę i ścigał się w bieganiu przyszły olimpijczyk i największa gwiazda Resovii...

▶ Pierwszorzędne chłopaki z Odrzykonia i Potoka

Jak pisze dr Bydoń, w związku z wojną Józef wyjechał 21 października 1914 roku do Styrii, skąd powrócił 15 maja 1915 roku i ponownie podjął naukę na kursie gimnazjalnym, będącym kontynuacją nauki w gimnazjum, kierowanym przez dyrektora Jana Lebiedzkiego. Już jako nastolatek działał w strukturach Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) w Rzeszowie.

Jak wielu rówieśników 18-letni Józef Baran wcielony został – podobnie jak choćby starszy o siedem lat generał Stanisław Maczek – do armii austro-węgierskiej. Powołany został 10 marca 1917 roku i wcielony do Pułku Piechoty Obrony Krajowej Nr 17 w Rzeszowie. „Od 10 IV 1917 r. służył w ciężkiej artylerii austro-węgierskiej, od 10 VIII do 14 XII walcząc na froncie rosyjskim. W październiku 1917 r. ukończył szóstą klasę gimnazjum jako prywatysta, czyli ekstern. Od 2 VIII do 2 XI 1918 r. był słuchaczem w Szkole Oficerów Rezerwy Artylerii w Ołomuńcu" – wylicza historyk.

Okazja, by te doświadczenia spożytkować wreszcie w tej właściwej armii, pojawiła się 5 listopada 1918 roku, kiedy to Baran zgłosił się jako ochotnik do polskiego 1. Pułku Piechoty Ziemi Rzeszowskiej,

eprasa.pl 0c7443f31f

przemianowanego wkrótce na 14 pp, a następnie na 17 pp. Został w nim instruktorem rekrutów przy I batalionie. 23 grudnia 1918 roku został awansowany na stopień sierżanta.

Maczek tak wspominał owego podkarpackiego rekruta, który pragnął bić się o niepodległą Polskę: „Co za pierwszorzędnych chłopaków w niej zastałem! Pół na pół stary żołnierz z przeróżnych frontów i zdarzeń armii austriackiej czy legionów, i chłopcy nieletni, niedorostki, wprost z ławy szkolnej lub spod opiekuńczych skrzydeł matki. Chłopacy z Krosna i Odrzykonia, Potoka i Jasła". Gdy rano, witając się z kompanią, a nie znając dobrze polskich regulaminów, rzucał kompanii okrzyk: „Ochota jest – chłopcy?", to „w gromkiej odpowiedzi »ochota jest, panie poruczniku« – było tyle kapitału zaufania, że na wszystko można było się odważyć z taką kompanią".

Weteran awansowany na sierżanta

Jako stary, bo 19-letni weteran z armii austro-węgierskiej już 23 grudnia 1918 roku Józef Baran został awansowany na stopień sierżanta. Jak ustalił dr Bydoń, od 16 stycznia do 12 czerwca 1919 roku sierżant brał udział w walkach na froncie ukraińskim, początkowo w grupie bojowej mjr. Władysława Bończy-Uzdowskiego podczas walk z Ukraińcami na Wołyniu. Następnie kolejno w grupie kpt. Juliusza Meraka, Grupie Operacyjnej „Bug" płk. brygadiera Leona Berbeckiego i w grupie płk. Stanisława Palle. Za walki z Ukraińcami o Lwów otrzymał Honorową Odznakę Orląt.

Wiadomo, że wziął udział w ofensywie majowej na Ukrainie i że został ranny. Od 8 lipca 1919 roku, gdy wrócił ze szpitala, kurował się na stanowisku podoficera prowiantowego i instruktora w batalionie zapasowym 17. Pułku Piechoty. „Następnie w 6 Pułku Artylerii Ciężkiej, pełniąc funkcję ogniomistrza służbowego oraz instruktora 19 XI został mianowany chorążym, a w następnym miesiącu został skierowany do Szkoły Podoficerów Artylerii Nr 3 w Krakowie" – wylicza dr Bydoń.

Po wojnie został w wojsku, łącząc służbę z wojskowymi awansami. Od 1 sierpnia 1920 do 15 lutego 1921 roku ukończył II kurs zawodowy w Szkole Podchorążych Artylerii w Poznaniu, jednocześnie będąc instruktorem sportowym. Awansowany na podporucznika 1 marca 1921 roku, pozostał w szkole. Potem trafił do Obozu Szkolnego Artylerii w Toruniu, pełnił tam też funkcję instruktora sportowego. W 1922 roku znalazł wreszcie czas, by zdać maturę w Gimnazjum Klasycznym i Realnym w Toruniu. Stamtąd przeniesiony został do 5. Pułku Artylerii Polowej we Lwowie na stanowisko dowódcy baterii.

Rzeszów, Lwów, Poznań, Warszawa...

Miejsca służby wojskowej wiązały się też z nieuchronną zmianą sportowych klubów: po Resovii występować będzie w sekcji lekkoatletycznej Pogoni Lwów, AZS Poznań i CWKS Legia Warszawa. Jak wylicza dr Bydoń, mimo „przygotowań do egzaminu dojrzałości, w 1921 r. ppor. Józef Baran osiągał wspaniałe wyniki w zawodach sportowych – zdobył m.in. wicemistrzostwo Polski w rzucie dyskiem oraz w rzucie dyskiem oburącz, a także w pchnięciu kulą oburącz, reprezentując Pogoń Lwów".

W tym samym roku, w którym zdał maturę, został mistrzem Polski w pchnięciu kulą, ustanawiając nowy rekord Polski, oraz wicemistrzem w rzucie dyskiem. Reprezentował również Polskę w konkurencji chodu sportowego podczas Słowiańskich Mistrzostw Lekkoatletycznych w Pradze.

Uprawianie wielu dyscyplin sportowych jednocześnie było typowe dla tamtego czasu. O osiągnięciach sportowych Barana jako chodziarza czytamy w książce Jarosława Kisiela „Historia chodu sportowego w Polsce w latach 1904–1945": „W pierwszym meczu lekkoatletycznej reprezentacji Polski rozegranym w 1922 r. w Pradze z Czechosłowacją i Jugosławią, oprócz swoje koronnej konkurencji pchnięcia kulą, wystartował także w chodzie na dystansie 2 km, zajął czwarte miejsce".

Specjalizujący się w statystykach portal Olimpijski.pl tak klasyfikuje sukcesy Barana: „Specjalista w rzucie dyskiem i młotem oraz pchnięciu kulą startował w barwach: Pogoni Lwów (1921–1928), AZS Poznań (1929), AZS Warszawa (1930) i Legii Warszawa (1931). 9-krotny reprezentant Polski w meczach międzypaństwowych w latach 1922–1929 (18 startów, 5 zwycięstw indywidualnych), 13-krotny rekordzista Polski: w kuli – od 11.945 m w 1923 do 13.34 m w 1928 oraz w dysku – od 41.43 m w 1926 do 44.20 m w 1928. 19-krotny medalista mistrzostw Polski, w tym mistrz kraju w pchnięciu kulą (1922, 1923, 1926) i rzucie dyskiem (1926, 1927, 1929). Rekordy życiowe: w kuli – 13.35 (21 kwietnia 1928 Kraków) i w dysku – 44.89 (26 sierpnia 1928 Kórnik) i w rzucie młotem – 32.80 (16 października 1927 Przemyśl)".

Imponujący to bilans. Dodajmy, że w 1925 roku Baran, jako usportowiony oficer, został skierowany przez dowództwo na roczny kurs do CSWGiS, gdzie po zakończeniu szkolenia nadzorował wyszkolenie fizyczne żołnierzy.

eprasa.pl 0c7443f31f

Amsterdam 1928

W 1928 roku przyszedł czas na olimpijski debiut w Amsterdamie, po którym obiecywano sobie wiele. „Razem z nim do stolicy Holandii pojechała m.in. Halina Konopacka, która zdobyła złoty medal. Niestety, Baran-Bilewski, nie miał tyle szczęścia co koleżanka z drużyny i w konkurencji rzutu dyskiem odpadł jeszcze w fazie eliminacji. Pomimo tego zdołał zjednać sobie sympatię kibiców i wzbudzić zainteresowanie polskich i zagranicznych mediów" – czytamy relację na portalu Polskiego Radia.

Po powrocie z Amsterdamu Baran został dowódcą kompanii szermierczej w CSWGiS. Ponadto był instruktorem lekkiej atletyki, boksu i gier zespołowych. W 1929 roku trafił do Warszawy i do Legii. Powoli zaczynał łączyć uprawianie sportu z pracą dziennikarza, wykładowcy i teoretyka sportu, w których to dziedzinach miał stać się cenionym autorytetem.

„W nowoczesnym, jak na warunki doby dwudziestolecia międzywojennego Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego, nabył uprawnienia nauczycielskie, trenerskie i sędziowskie. Od 1932 roku pracował tam jako wykładowca lekkoatletyki i gier sportowych. Odbył także kilkumiesięczny kurs gimnastyczny w Danii... Często prowadził pomiary dotyczące kondycji zawodników różnych dyscyplin" – pisze portal Polskiego Radia. Wiele spośród tych jego zainteresowań miało charakter pionierski. „Jako wykładowca szczególnie interesował się metodyką sportu. Wyniki swoich badań w tym zakresie publikował w licznych pracach naukowych oraz w podręcznikach do wychowania fizycznego. Baran-Bilewski wykładał także w Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki. W 1931 roku za zasługi na polu rozwijania kultury fizycznej w Polsce otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi" – czytamy.

„Poświęcił się teorii sportu, szczególnie metodyce oraz działalności społecznej na rzecz krzewienia kultury fizycznej. W latach 1928–1931 sędziował w ponad trzydziestu spotkaniach piłkarskich, był znanym arbitrem ligowym Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Warszawie. Zajmował również stanowisko II wiceprzewodniczącego Polskiego Związku Bokserskiego" – wylicza dr Bartłomiej Bydoń.

Warto dodać, że równolegle z Józefem aktywny był w polskim sporcie także jego brat Jan, który już w 1920 roku miał brać udział olimpiadzie w Antwerpii, ale wojna z bolszewikami uniemożliwiła wyjazd polskiej drużynie. Z kolei kontuzja uniemożliwiła mu start na Olimpiadzie w Amsterdamie, przez co był tam tylko jako członek kierownictwa ekipy, choć początkowo startować miał w pięcioboju. Niestety kontuzja kolana uniemożliwiła mu start. Był kilkukrotnym mistrzem Polski i medalistą w biegach średnio- i długodystansowych oraz pięcioboju nowoczesnym. W 1925 roku wydał pierwszy, polski podręcznik dla bokserów.

Tryumf Barana i Hermesa

Olimpiada w Los Angeles w 1932 roku była chwilą największego tryumfu Józefa Barana. Wykorzystując swą ogromną wiedzę został wcześniej kierownikiem drużyny lekkoatletycznej, w której występowali Stanisława Walasiewicz i legendarny Janusz Kusociński. Oboje zdobyli olimpijskie złoto!

Bieg Kusocińskiego na 10 tys. m przeszedł do legendy. Polak zdobył złoty medal olimpijski, biegnąc w nowych butach, które obtarły mu stopy do krwi. Mimo to pokonał czołówkę światowych biegaczy, m.in. Finów Lauriego Virtanena i Volmari Iso-Hollo. „Jestem szczęśliwy, że mogłem swoim wynikiem przyczynić się do rozsławienia imienia Polski i do uświetnienia wielkości sportu polskiego" – zdołał powiedzieć po biegu Kusociński.

Na zdjęciach z warszawskiego dworca kolejowego widzimy Józefa Barana i ogromne tłumy wiwatujące na cześć polskiej ekipy. „Zostałem porwany na ręce. Stałem się niewolnikiem tłumu, który czynił ze mną, co tylko chciał. Musiałem błagać, aby mnie puszczono, gdyż ktoś mi krzyknął, że na dworcu jest moja matka. Na szczęście, choć z wielkim trudem, przedostałem się do niej, aby ją ucałować" – wspominał Janusz Kusociński, który stał się bohaterem narodowym. Poeta Jerzy Kierst napisał zaś na jego cześć wiersz „Los Angeles 1932":

Znowu Hermes prowadzi zawodników
na drugą półkulę.
Już na okręcie wpadł mu w oko
Polak, Janusz Kusociński, chociaż Herakles
polecił mu Finów: Virtanena i Iso-Hollo.
Nie omylił się Hermes.
Wielki biegacz, miłujący kwiaty,
miał wspaniałe serce i olimpijski oddech,
Bieg na dziesięć tysięcy metrów wywołał zachwyt
ludzi i bogów.
Kusy prowadząc za sobą podwójny cień - dwóch Finów - obiega stadion,
jakby to była dziecięca gonitwa naokoło klombu
w Parku Łazienkowskim w Warszawie. [...]

eprasa.pl 0c7443f31f

Obiegli stadion, jak Hektor i Achilles mury Troi...
Tym razem jednak Hektor zwyciężył,
bo Athene stanęła zdecydowanie po stronie Janusza.
– Na Zeusa! - wykrzyknęła uderzając końcem włóczni o ziemię
– biegnie nie gorzej od Hermesa!

Kazimiera Wirska skomponowała na jego cześć utwór „Kusy: marsz sportowy na głos i fortepian", słowa napisał do niego Walery Jastrzębiec, a wykonywały go często szkolne chóry.

„Przegląd Sportowy" i Radio Poznań

Baran był nie tylko trenerem, sędzią i działaczem sportowym, lecz także dziennikarzem, publikował m.in. na łamach „Przeglądu Sportowego". Notabene również dziennikarzem, i to „Gazety Polskiej", został jego podopieczny Janusz Kusociński.

Niżej podpisany, jako przewodniczący Rady Programowej Radia Poznań, przygotowując niniejszy tekst, odkrył z zaskoczeniem, że Baran był w radzie jego poprzednikiem. Radio w czasach przedtelewizyjnych odgrywało ogromną rolę, a podczas najpopularniejszych jego audycji wyludniały się ulice. W „Kurierze Poznańskim" z 24 kwietnia 1927 roku ukazał się tekst zatytułowany „Czego spodziewamy się po stacji?". Józef Baran-Bilewski mówił o potrzebie propagowania sportu: „Radjo Poznańskie, które dzięki swemu należytemu, na odpowiednim poziomie postawionemu urządzeniu technicznemu odpowie na pewno swemu programowemu założeniu propagowania rzeczy aktualnych z działu sportowego powinno swym amatorom podawać: a) najnowsze wydarzenia sportowe w kraju i zagranicą, b) aktualne wywiady z ważniejszych wydarzeń ze sportu polskiego, ale także międzynarodowego".

W 1936 roku Józef Baran ożenił się, a upamiętniający go dziś kibice z aprobatą przyjmą zapewne informację, gdzie poznał swą małżonkę. „14 kwietnia 1936 r. kapitan Bilewski wziął ślub w kościele wojskowym w Cytadeli Warszawskiej, jego wybranką została niedoszła lekkoatletka Halina, którą poznał na meczu piłkarskim odbywającym się na stadionie CWKS Legia" – pisze dr Bartłomiej Bydoń.

W ramach zawodowych zainteresowań Józef Baran ukończył kurs gimnastycznych BRUKHLA w Ollerup w Danii. Wykładał też na Wydziale Mechanicznym Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. E. Wawelberga i S. Rotwanda. Awansował na stopień kapitana ze starszeństwem. W 1939 roku pełnił służbę w Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie na stanowisku kierownika oddziału cywilnego. Na tym stanowisku zastała go wojna.

„Każą jechać w nieznane"

Pod koniec 1939 roku kapitan Józef Baran-Bilewski otrzymał rozkaz wyjazdu do Włodzimierza Wołyńskiego. 20 września trafił do niewoli sowieckiej, do obozu przejściowego w Szepietówce, a stamtąd do Kozielska. Z Szepietówki pisał do żony: „20 IX zostałem zajęty przez wojska sowieckie; przeprowadzono nas do Łucka, a dziś każą jechać w nieznane". 24 grudnia do żony dotarł kolejny list, tym razem już z Kozielska, w którym pisał, że przebywa z Rosji sowieckiej i jest zdrowy, czuje się dobrze. Są z nim jego koledzy, oficerowie – Szuszkiewicz, Grabowski, Nosarzewski oraz Znajdowski. To był ostatni list.

Wiadomo, że Józef nie załamał się i prowadził dla żołnierzy wykłady z zakresu teorii sportu. Ku pokrzepieniu serc opowiadał im też o przedwojennych sukcesach polskich sportowców. Inny współwięzień kpt Józef Trepiak zanotował 15 kwietnia 1940 roku: „Dzień pochmurny, ponury i dość zimny. Zaczęli wyprowadzać dopiero około pierwszej. Wyjechało ok. 150, od nas Bilewski". Jego nazwisko znajduje się na liście transportowej z kwietnia 1940. Rozstrzelany został przez funkcjonariuszy Obwodowego Zarządu NKWD w Smoleńsku oraz pracowników NKWD przybyłych z Moskwy na mocy decyzji Biura Politycznego KC WKP(b) z 5 marca 1940 roku.

Został pochowany w Katyniu, gdzie w 1943 roku jego ciało zidentyfikowano podczas ekshumacji prowadzonych przez Niemców pod numerem 1856. Znaleziono przy nim karty szczepień, wizytówki, fotografie.

Dziś jego szczątki spoczywają na zabytkowym cmentarzu Pobitno w Rzeszowie. Tym samym, na którym tylko symboliczny grób Łukasza Cieplińskiego... Pamięć o polskim oficerze i sportowcu przechowała wbrew zakazom PRL jego rodzina. Jak pisała w rzeszowskich „Nowinach" Małgorzata Jarosińska: „Halina z Wisłowskich Bilewska z Warszawy uratowała od zniszczenia w czasie wojny unikatowe fotografie swego męża Józefa i jego braci, a także wiele cennych wiadomości o jego rodzinie". Trafiły one do Muzeum Okręgowego w Rzeszowie.

Nie zapomnieli o nim potomkowie tych, wśród których się wychowywał. 15 kwietnia 2016 roku w podrzeszowskiej Boguchwale odbył się wernisaż wystawy „Józef Baran-Bilewski. Olimpijczyk z Racławówki". ■

eprasa.pl 0c7443f31f

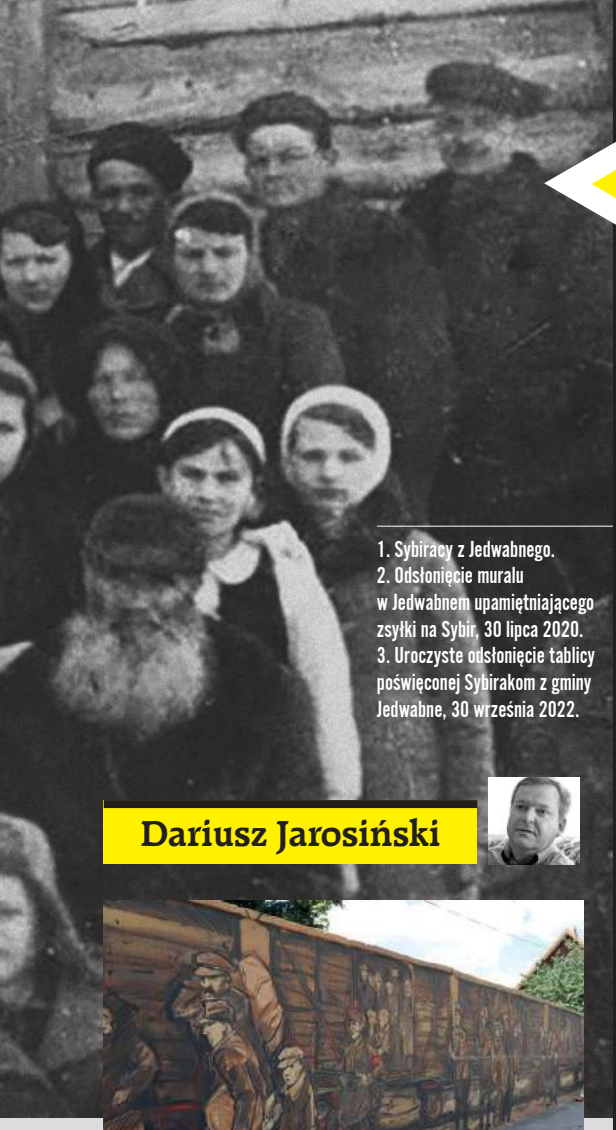


Sąsiedzi. Inna historia miasteczka

1

W nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku na rozkaz władz sowieckich rozpoczęła się deportacja mieszkańców Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej na Sybir. Od lutego 1940 roku do czerwca 1941 roku przeprowadzono cztery masowe wywózki. Po inwazji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 roku północno-wschodnią część kraju wraz z powiatem łomżyńskim włączono do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej jako tzw. Zachodnią Białoruś. Z ziemi łomżyńskiej w głąb Związku Sowieckiego wywieziono około 6,5 tys. osób. Deportacje miały na celu „oczyszczanie" terenów okupowanych przez Sowietów z „niepewnego elementu", pozyskanie taniej siły roboczej, wiązały się też z rabowaniem polskiego mienia.

eprasa.pl 0c7443f31f



1. Sybiracy z Jedwabnego.
2. Odsłonięcie muralu w Jedwabnem upamiętniającego zsyłki na Sybir, 30 lipca 2020.
3. Uroczyste odsłonięcie tablicy poświęconej Sybirakom z gminy Jedwabne, 30 września 2022.

Dariusz Jarosiński



fot. Arch., fot. A. Piekarska/ bialystok.ipn.gov.pl, Fot. Natalia Krzywicka/ bialystok.ipn.gov.pl

Wywózki na Sybir dotknęły także mieszkańców miasteczka Jedwabne i okolic. W trakcie pierwszej i drugiej – 10 lutego i 13 kwietnia 1940 roku – z rejonu jedwabieńskiego wywieziono około 500 osób, w tym siedem rodzin leśników i 77 rodzin tych osób, które zostały wcześniej aresztowane. Pierwsi deportowani byli uważani przez władzę sowiecką za szczególnie niebezpiecznych – bolszewicy oskarżali ich m.in. o działalność przestępczą w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku; leśnikom zarzucano działalność szpiegowską, dywersyjną oraz przygotowania wojskowe na wypadek wojny przeciwko ZSRS („Studia Łomżyńskie" 1996, tom 7). Trzecia deportacja z 29 czerwca 1940 roku szczególnie uderzyła w tzw. biežeńców, którzy uciekli z terenów okupowanych przez Niemców. Z rejonu jedwabieńskiego wywieziono wówczas około 150 rodzin, w tym również wiele rodzin pochodzenia żydowskiego, które zarejestrowały się jako te, które chcą wrócić pod okupację niemiecką. Czwarta wywózka na Sybir, do Kazachstanu, miała miejsce 20 czerwca 1941 roku. Czerwcowe deportacje z Jedwabnego i okolic były najliczniejsze – z wielu wiosek położonych nad Biebrzą wywieziono nawet 60 proc. mieszkańców. 22 czerwca 1941 roku Niemcy zaatakowali Związek Sowiecki, tym samym uratowali mieszkańców nadbiebrzańskiej krainy od kolejnych wywózek na Sybir, wielu Polaków mogło przestać się ukrywać i wrócić do domu.

Jak po powstaniu styczniowym

Nie były to jednak ostatnie deportacje ludności polskiej w głąb ZSRS, gdyż po wkroczeniu Armii Czerwonej w 1944 roku na teren okupowanej przez Niemców Polski, z zajętych przez Sowietów terenów wywożeni byli do łagrów żołnierze podziemia niepodległościowego oraz ludność cywilna. W rejonie jedwabieńskim funkcjonowały silne struktury podziemia niepodległościowego. To tutaj, nad Biebrzą, na uroczysku Kobielno, powstała pierwsza, największa opozycja niepodległościowa, antysowiecka partyzantka, która trwała od jesieni 1939 roku do wkroczenia armii niemieckiej w czerwcu 1941 roku. To tutaj, na ziemi nadbiebrzańskiej, najdłużej trwało powstanie antykomunistyczne po 1944 roku. 4 marca 1957 roku w walce z funkcjonariuszami SB zginął por. Stanisław Marchewka „Ryba" – był ostatnim oficerem poakowskiego podziemia, który zginął z bronią w ręku.

Wśród mieszkańców nadbiebrzańskiej krainy przetrwała pamięć o nieugiętej postawie ich przodków w czasie powstania styczniowego. Na tej ziemi toczył boje legendarny dowódca, płk Józef Ramotowski „Wawer", którego ojciec pochodził z Grądów Wiel-

eprasa.pl/c7443f31f

kich z parafii Jedwabne. Do historii przeszli młodzi, dwudziesto-, trzydziestoletni dowódcy powstańczych oddziałów, w którego szeregach walczyli ramię w ramię synowie miejscowej szlachty zaściankowej i chłopów. Niedaleko od Jedwabnego, pod Sieburczynem, 6 lipca 1863 roku powstańcy pokonali w zaciętej bitwie wojska rosyjskie. Na tym terenie walczono jeszcze wtedy, gdy w innych rejonach powstanie prawie całkiem zamarło. Mieszkańcy ziemi łomżyńskiej, w tym Jedwabnego, zapłacili wysoką cenę za udział w powstaniu styczniowym. Rodziny powstańców straciły swoje majątki. Ci, którzy nie zostali rozstrzelani w zbiorowych egzekucjach na miejscu czy też nie zmarli w czasie przesłuchań w więzieniach, zostali wywiezieni na Syberię. A zatem lutowa wywózka 1940 roku mieszkańców Jedwabnego i okolic na „nieludzką ziemię" nie była pierwszą.

W ubiegłym roku białostocki oddział Instytutu Pamięci Narodowej wydał publikację w formie albumu pt. „Zesłani na Sybir. Deportacje mieszkańców gminy Jedwabne i okolic na Syberię w latach 1940–1941". Publikacja opiera się na relacjach Sybiraków, a także świadkach, członkach rodzin osób zesłanych. Relacje pochodzą z protokołów zgromadzonych podczas przesłuchań przed Główną Komisją Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. W albumie zostały zaprezentowane fotografie zesłańców, ich rodzin oraz dokumenty z nimi związane. W publikacji zostały zamieszczone wspomnienia osób, które zostały wywiezione podczas drugiej i czwartej deportacji, czyli 13 kwietnia 1940 roku oraz 20 czerwca 1941 roku. Niektóre ze wspomnień wykorzystam przy pisaniu tego tekstu.

W czasach Peerelu nie wolno było w Jedwabnem mówić o deportacjach na Syberię, podobnie zresztą jak w całej Polsce. – Cała nasza rodzina została wywieziona. Prawie wszyscy wrócili poza pradziadkiem Leonem, który zmarł z głodu w Kazachstanie. Dla mnie niezapomnianą traumą z dzieciństwa w latach 50. stały się słowa jednego z nauczycieli, który mówił, że na Sybir nie zsyłano ludzi porządnych, tylko przestępców. Proszę sobie wyobrazić, jak się czułam – wspomina pani Irena Kuklińska, córka Sybiraczki.

Dziennikarze „Gazety Wyborczej" nadal uważają, że mieszkańcy Jedwabnego nie mają prawa wspominać dramatu wywózek na Sybir. Odmawiają im prawa do uczczenia pamięci zamordowanych na „nieludzkiej ziemi". Kiedy 30 lipca 2020 roku odbyła się w Jedwabnem uroczystość odsłonięcia muralu upamiętniającego wywózki na Sybir, następnego dnia ukazał się w białostockiej „Gazecie Wyborczej" tekst Macieja Chołodowskiego pt. „IPN i władze Jedwabnego z PiS zacierają ślady o zbrodni dokonanej na żydowskich sąsiadach". Odsłonięcia muralu autorstwa Rafała Roskowińskiego dokonał dyrektor białostockiego IPN, dr hab. Piotr Kardela, któremu towarzyszyli Sybiracy, członkowie ich rodzin, burmistrz Jedwabnego, Adam Niebrzydowski, przedstawiciele władz samorządowych.

Wątpliwa historia Grossa

O Jedwabnem zrobiło się głośno w roku 2000 za sprawą zmanipulowanej, zafałszowanej książki amerykańskiego socjologa żydowskiego pochodzenia prof. Jana Tomasza Grossa pt. „Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka". Autor oskarżył polskich mieszkańców Jedwabnego o to, że 10 lipca 1941 roku spalili żywcem w stodole 1600 sąsiadów pochodzenia żydowskiego. Wrogie Polsce i Polakom środowiska wykorzystały książkę do nagonki na Polskę. Choć tezy zawarte w książce Grossa zostały wielokrotnie zakwestionowane przez badających sprawę zbrodni polskich historyków, naukowców, na przykład Tomasza Strzembosza, Jerzego Roberta Nowaka, Marka Jana Chodakiewicza, Piotra Gontarczyka, Bogdana Musiała czy Antoniego Sułka, to w świat poszedł przekaz, że Polacy to antysemici, którzy mordowali Żydów, o czym ma świadczyć zbrodnia w Jedwabnem.

Gross napisał swoją książkę na podstawie opowieści, zeznań osób żydowskiego pochodzenia, które nie były naocznymi świadkami wydarzeń, których nie było wówczas w Jedwabnem. Na przykład główny świadek, Szmul Wasersztajn, jest całkowicie niewiarygodny, ukrywał się w tym czasie u polskiej rodziny poza miasteczkiem. Wyniki nawet niepełnej ekshumacji, przerwanej na wniosek strony żydowskiej, dowodzą, że w stodole zamordowano 300–450 osób, a nie 1600. Obecnie nawet historycy początkowo przychylni Grossowi są krytyczni wobec tez jego książki.

Jako że nie jest moim celem polemika z książką Grossa, odsyłam zainteresowanych poznaniem wydarzeń w Jedwabnem do dwutomowej monografii wydanej w roku 2021 autorstwa prof. Marka Jana Chodakiewicza, dr. Tomasza Sommera oraz red. Ewy Stankiewicz pt. „Jedwabne. Historia prawdziwa. Zbrodnia z 10 lipca 1941 r.". Autorzy, przeprowadziwszy profesjonalne, żmudne badania, dowodzą, że zbrodni dokonali niemieccy żandarmi polowi z miejscowego posterunku do spółki z grupą specjalnego komanda niemieckiej policji bezpieczeństwa dowodzonej przez Hermanna Schapera. Udział kilkunastu mieszkańców Jedwabnego w zbrodni był nieznaczny. Należy też mieć na uwadze, że Polacy wykonywali polecenia okupantów niemieckich.

Według spisu powszechnego z 1931 roku, Jedwabne liczyło 2167 mieszkańców, w tym było 60 proc. Po-

eprasa.pl 0c7443f31f

laków i 40 proc. Żydów. Ówczesną liczbę Żydów szacuje się na około 870. Natomiast dokumenty sowieckie z 1940 roku informują, że na 2385 mieszkańców były 562 osoby narodowości żydowskiej. Duży spadek liczby jedwabieńskich Żydów w latach 1931–1940 zdaniem prof. Marka Wierzbickiego, autora książki „Polacy i Żydzi w zaborze sowieckim. Stosunki polsko-żydowskie na ziemiach północno-wschodnich II RP pod okupacją sowiecką 1939–1941", mógł być spowodowany emigracją z Polski przed wojną oraz wyjazdami w głąb Związku Sowieckiego.

Przed wojną relacje między Polakami i Żydami były w miasteczku poprawne, dopiero wraz z inwazją Sowietów sytuacja się zmieniła. Bolszewicy byli serdecznie witani w wielu miasteczkach, wsiach przez środowiska żydowskie.

Kiedy przyszli Sowieci

29 września 1939 roku wkroczyli do Jedwabnego żołnierze Armii Czerwonej, funkcjonariusze NKWD. Żydzi byli organizatorami uroczystości powitania bolszewików, choć nie zabrakło i polskich komunistów w komitecie powitalnym.

9-letnia wówczas Leokadia Błaszczak tak zapamiętała ten dzień: „Ja widziałam ich powitanie w mieście. [...] Na ulicy Przestrzelskiej wisiał czerwony transparent z napisem »Witamy«. Dalszego ciągu napisu nie pamiętam. [...] Na ulicy stał stół z chlebem i solą. Stały pod stołem butelki z bimbrem. [...] Rosjan witały rodziny Kupieckich i Krystowczyków oraz Żydzi. [...] Rosjanie grali na bałałajkach, tańczyli kazaczoka, niektórzy robili popisy cyrkowe stając na głowach. Dla mnie, dziecka, to była duża frajda. Potem zapamiętałam, że Żydzi jedwabieńscy w średnim wieku zaczęli chodzić z karabinami i czerwonymi opaskami na rękawach. Zaczęło się rozkazywanie z ich strony, bo miały przyjechać do nas rosyjskie rodziny. Także byli w naszym domu, ale ojciec wytargował, że do nas mieli przydzielić tylko jedną nauczycielkę. W zimie saniami zaczęły nadjeżdżać rodziny rosyjskie. Były one niedomyte, zawszone, w różnych ubraniach [...]. Tak opowiadali różni sąsiedzi, do kogo przydzielono te rodziny. Do nas przybyła nauczycielka rosyjska Żydówka Marusia Szej. To był bardzo dobry człowiek".

Jadwiga Kordas z Jedwabnego była jedynaczką, miała 17 lat w 1939 roku: „Po mojego ojca Franciszka Ksawerego Wąsowskiego w dniu 20 października 1939 r. przyszli Rosjanie, ponieważ mój ojciec przed wojną był policjantem, ale nie służył w tym rejonie. Przypuszczam, że musiały być sporządzone wcześniej listy, bo aresztowano wszystkich emerytowanych policjantów. Skąd mogli wiedzieć? Nadmieniam, że po ojca przyszło trzech Żydów, jednym był Janowicz – szklarz, drugi – chyba nazywał się Chileński czy Cholowy – krawiec i trzeci, którego nie znałam, i jeden rosyjski funkcjonariusz z karabinem. Oni prowadzili go".

Inna z mieszkanek miasteczka, Janina Biedrzycka, również siedemnastolatka, relacjonowała: „Ja pamiętam, że do wojny w Jedwabnem żyło się zgodnie z Żydami. Niesnaski zaczęły się za Sowietów. Kiedy przyszli Sowieci, zaraz usunęli proboszcza z plebanii. Tam zaraz zakwaterowały się dwie Żydówki z Jedwabnego. Ich nazwisk nie znałam. W tej plebanii na parterze była duża sala. Ten budynek stoi do dziś. Ja w czasie wojny mieszkałam w sąsiednim domu, gdzie dzisiaj jest dom pogrzebowy. Na parterze w tej sali urządzano natomiast zabawy w końcu tygodnia – na piątek wieczór i całą sobotę. Bawili się tam tylko Żydzi i Sowieci – cywile i wojskowi. Urządzano tam też seanse filmowe. Polacy na te zabawy nie chodzili".

Wkrótce po zajęciu przez Sowietów Jedwabnego powstał komitet miejski, któremu przewodniczył polski komunista Czesław Krystowczyk. W skład komitetu wchodzili żydowscy komuniści. Szefem jedwabieńskiej milicji został przedwojenny polski komunista Czesław Kurpielewski, ale członkami byli Żydzi. Uzbrojenie ich stanowiły karabiny, na rękawach cywilnych ubrań nosili czerwone opaski. Predsiedatielem gminnego komitetu wykonawczego został Henryk Krystowczyk, brat Czesława.

W Jedwabnem aresztowano w pierwszej kolejności burmistrza Piotra Chodnickiego, wójta gminy Jedwabne Ludwika Konopkę, kilku urzędników starostwa i magistratu oraz Jana Ożarowskiego, prezesa miejscowego Stronnictwa Narodowego i rejenta Romualda Radgowskiego, związanego z OZON-em.

Polakom nie przysługiwały żadne prawa – w każdej chwili mogli być aresztowani, deportowani na Syberię lub do Kazachstanu, pozbawieni majątku.

Denuncjacje, rewizje, wywózki

O represjach stosowanych przez sowiecką władzę pisał m.in. prof. Marek Wierzbicki w przytoczonej już książce „Polacy i Żydzi w zaborze sowieckim...": „Z aresztowaniami związane były dwa pokrewne elementy represji: denuncjacje i rewizje. Te ostatnie często stanowiły preludium do aresztowania, ale w wielu przypadkach stawały się jednym ze sposobów terroryzowania miejscowej ludności. Rewizje przeprowadzano niejednokrotnie w sposób brutalny, bijąc rewidowanych, strasząc ich bronią, zastraszając rodzinę podejrzanego. Rewizje najczęściej przeprowadzali milicjanci, funkcjonariusze NKWD, niekiedy żołnierze Armii Czerwonej lub członkowie komitetów włościańskich i miejskich. To oni decydowali

eprasa.pl 0c7443f31f

o życiu i mieniu osób rewidowanych, którym zresztą nie przysługiwały żadne prawa. Większość źródeł podkreśla brutalne i wrogie zachowanie milicjantów wobec rewidowanych i ich rodzin. Jak dowiadujemy się z relacji Antoniego Bledziewskiego, rolnika z gminy Jedwabne: »Przed każdym aresztowaniem, które były wyłącznie nocą, przyjeżdżało kilku bojców (tzn. żołnierzy sowieckich – M.W.) i miejscowa milicja, składająca się przeważnie z naszych żydków, otaczała dom aresztowanego, kilku wchodziło do mieszkania, aresztowanemu każą położyć się na podłogę; jeden przykłada broń do głowy, reszta natomiast przeprowadza szczegółową rewizję, zabierają wszystkie dokumenty, fotografie i wszystkie papiery, na których mieści się pieczęć«".

Częstokroć jeden donos decydował o gehennie całej polskiej rodziny, która została w rezultacie denuncjacji skazana na deportację na Syberię. Profesor Tomasz Strzembosz w artykule „Przemilczana kolaboracja", „Rzeczpospolita" (3.02.2001) przedstawił kilka z setek relacji świadczących o wysługiwaniu się Żydów ludobójczej machinie NKWD: Kazimierz Sokołowski (relacja nr 1559): „Utworzyły władze sowieckie milicję, przeważnie z Żydów komunistów, rozpoczęły się aresztowania gospodarzy i robotników, na których milicja naskarżyła. Na ludność nałożyli wysokie podatki, na kościoły nałożyli podatki i aresztowali księdza. Rozpoczęły się masowe rewizje u ludzi nieprzychylnych, wrogów ludu [...]. Miejscowa ludność przeważnie w większości odmówiła się od głosowania (22.10.1939 roku – T.S.). Przez cały dzień milicja przemocą sprowadzała pod karabinami do lokalu wyborczego. Chorych przemocą przywożono do głosowania. Niedługo po wyborach urządzili nocą obławę i aresztowali całe rodziny i wywieźli do ZSRR". Józef Karwowski (relacja nr 2589): „W październiku 1939 r. NKWD zarządziło zebrania i mityngi przedwyborcze. Na te zebrania NKWD i milicja przymusowo ludzi wyganiała. Kto się tylko sprzeciwiał, natychmiast został aresztowany i od tego czasu zginął bezpowrotnie". Józef Makowski (relacja nr 2545): „Aresztowali, wiązali ręce, wrzucali do piwnic i chlewów, głodzili, nie dawali wody do picia, bestialsko bili i w ten sposób zmuszali do przyznania się do winy należenia do organizacji polskich. Ja sam byłem zbity do utraty przytomności podczas badania przez NKWD w Jedwabnem, Łomży i Mińsku". Józef Rybicki (relacja nr 8356): „Rewizje odbywały się u zamożniejszych gospodarzy, zabierali meble, ubrania i rzeczy wartościowe, a po kilku dniach w nocy ich aresztowali. Na zebrania zabierali siłą – opornych uznawali za tzw. wreditiela, aresztowali. Sołtys robił spisy chodząc po mieszkaniach i spisując wiele osób i rocznik. Komisja składała się z wojskowych i Żydów i tamtejszych komunistów. Kandydatów do zgromadzenia narzucali z góry, byli to Żydzi, przybyli z ZSRR i tamtejsi komuniści".

Sowieci posiadali silnie rozbudowaną siatkę donosicieli, szpicli. Donosicielami w nadbiebrzańskiej krainie byli Żydzi, którzy dobrze znali polskich mieszkańców – sąsiadów, w przeciwieństwie do przybyłych ze Związku Sowieckiego bolszewików. Profesor Wierzbicki przytacza w swojej książce fragment wypowiedzi na temat kolaboracji Żydów Bena-Ciona Pinchuka, amerykańskiego historyka żydowskiego pochodzenia, który swoją opinię ukształtował na podstawie żydowskich źródeł: „W ciągu 3 lub 4 tygodni NKWD rozciągnęło swoją sieć na całym terytorium. Było dosyć łatwo zlokalizować i wyeliminować najważniejszych przywódców politycznych, ponieważ ci, którzy nie zdołali zbiec na niesowieckie terytoria, zostali zatrzymani w pierwszych kilku tygodniach. [...] Dobra sieć informatorów została rozciągnięta na całym podbitym terytorium, w każdej instytucji, fabryce, przedsiębiorstwie, kamienicy".

Dziadek też miał pojechać...

Żydzi mieli dużą władzę w okupowanej przez Sowietów Polsce, zważywszy, że to oni sporządzali imienne listy sąsiadów do wywózki na Syberię, oni decydowali o ich życiu i śmierci, oni też uczestniczyli w całym procederze wywózek polskich rodzin na Syberię. Ich udział był wielostronny – rozpoczynał się od pomocy w tajnym aresztowaniu Polaków skazanych na wywózkę, poprzez rabowanie mienia deportowanych, ich transportowanie do pociągów deportacyjnych i nadzór nad samym przejazdem eszelonami na Syberię.

Czasami zdarzało się, że któryś z Żydów ostrzegł znajomego Polaka o planowanej wywózce. Różne były też reakcje mieszkańców Jedwabnego czy okolic żydowskiego pochodzenia na dokonywane zbrodnie na Polakach. Profesor Marek Jan Chodakiewicz w książce „Żydzi i Polacy 1918–1955. Współistnienie – Zagłada – Komunizm" przytacza świadectwo mieszkańca z Jedwabnego, który znalazł się na stacji kolejowej w Łomży: „[...] załadowali tych ludzi do wagonów towarowych jak bydlaków. Żydzi zaczęli bić kolbami karabinów, żeby ten załadunek był szybki. [...] Córki Pani Kuropatowej, która była Żydówką, Pesa i Chaja, stały i płakały, widząc, w jak okrutny sposób zachowywali się Żydzi i enkawudziści".

Mieszkanka Jedwabnego, Genowefa Malczyńska, opowiedziała księdzu Eugeniuszowi Marciniakowi, autorowi zbioru relacji pt. „Jedwabne w oczach świadków", o wywózce swojej rodziny na Syberię: „[...] po nas przyszli Sowieci 20 czerwca 1941 r. Było już po północy. W nocy o pierwszej trzydzieści przyszło dwóch enkawudzistów, a dwóch Żydów stało przy bramie. Nie wiem

eprasa.pl 0c7443f31f

dlaczego oni nie weszli do domu. Może nie chcieli przyjść tu do mieszkania, bo nas znali. Przecież przed wojną tutaj mieszkałam. Jestem tu w Jedwabnem narodzona. Znałam wszystkich i wszyscy mnie znali. Żydzi też. [...] I jak przyszli ci enkawudziści, to jeden wyjął dużą listę, a drugi poszedł po mamusi bratową, która mieszkała zaraz przez ścianę i miała dwoje dzieci, córkę, która urodziła się w marcu, a 20 czerwca nas zabierali. [...] Dziadek miał konia pod Nową Wsią. To jest jakieś półtora, dwa kilometry. Kazał dziadkowi iść po konia i dziadek poszedł. [...] w międzyczasie, jak mama rozmawiała z tym enkawudzistą, co on tę listę trzymał i mówił tak, że oni ze sobą psów nie przywieźli, tylko ci miejscowi, to znaczy »Żydzi na wasze życie nastają«. No bo skąd on, spod Moskwy, mógł wiedzieć, że dziadek ma konia pod Nową Wsią. [...] I później, po południu, do Łomży, do tych wagonów bydlęcych nas zawieźli. Wnieśliśmy to, co ze sobą wieźliśmy, trochę pościeli, bielizny, ubrań. Dziadek z nami się pożegnał i już wsiadł na wóz i zaczął jechać, a Żyd zobaczył i zaraz enkawudzistę zawołał. Ten enkawudzista przybiegł i mówi: »Ty dziadek też pojedziesz razem«. A dziadek mówi: – Ja chory człowiek, ja już stary. [...] W 1942 roku dziadek zmarł w dniu 40. Męczenników. Zaraz w maju zmarł brat. [...] to wszystko z głodu. Krwawa dezynteria doczepiła się do tego [...]".

Danuta i Aleksander Wroniszewscy są autorami reportażu „Aby żyć", który ukazał się w łomżyńskich „Kontaktach", organie KW PZPR, 19 lipca 1988 roku. O dziwo, że ten tekst puściła cenzura. Zamieścili oni relację mieszkańca Jedwabnego: „Pamiętam, jak wywozili Polaków do transportu na Sybir, na każdej furmance siedział Żyd z karabinem. Matki, żony, dzieci klękały przed wozami, błagały o litość. Ostatni raz dwudziestego czerwca 41 roku".

Na stepie Kazachstanu

13 kwietnia 1940 roku do drzwi domu Halinki Haraburdy (z domu Mocarskiej), wówczas pięcioletniego dziecka, załomotało trzech sowieckich żołnierzy z karabinami i nakazało szybkie spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Po czym Halinka z matką i dwojgiem rodzeństwa zostali przewiezieni furmanką na stację kolejową w Łomży. Ojca nie było w domu, Sowieci już wcześniej go aresztowali i ślad po nim zaginął. Kiedy tylko brat ojca, Józef Mocarski, kawaler, dowiedział się, że wywożona jest na Sybir jego bratowa z dziećmi, natychmiast dotarł na stację kolejową i dobrowolnie zgłosił się na wyjazd z nimi. Matka Halinki przed deportacją była w zaawansowanej ciąży, w czasie podróży na zsyłkę urodziła dziecko, które wkrótce po porodzie zmarło. Sowiecki żołnierz wyrzucił noworodka przez okno z wagonu.

Docelowym miejscem podróży okazał się Kazachstan, wioska niedaleko Aktiubińska. Zamieszkali na stepie w lepiance. Dopóty, dopóki był z nimi zaradny stryj Józef, jako tako im się żyło. Źle zaczęło się dziać, kiedy stryj Józef wyjechał do armii Andersa. Któregoś dnia, w lutym 1942 roku, matka nie wróciła z pracy, najprawdopodobniej zmarła na tyfus. Halinka pozostała na świecie z siostrą Helenką i bratem Witkiem. Musieli sami sobie radzić. Aby przeżyć, łapali susły na stepie i po ugotowaniu jedli.

Później trafili do domu dziecka. Panował tam potworny głód. Niektóre dzieci chowały chleb pod materac łóżka na zapas. Halinka zabrała jednemu z dzieci kromkę chleba, bo była głodna. Powstał z tego powodu wielki płacz i rozpacz. Halinka bardzo to przeżyła. Przyrzekła wtedy sobie, że już nikomu nic nie zabierze.

Dzieci były obyte ze śmiercią, przychodziła ona prawie codziennie do ich domu dziecka. Któregoś dnia zabrała siostrę Halinki – Helenkę. Po latach wspominała pożegnanie z nią: „Po śmierci siostry ciała nieżyjących dzieci rzucano rozebrane na plac przed budynek domu dziecka, pamiętam, że kiedy siostra zmarła, musiało być zimno i mróz, bo te ciała były skostniałe i zamarznięte. Potem te ciała ładowano na sanie i ja usiadłam na tych saniach, gdzie znajdowało się ciało mojej siostry Heleny Mocarskiej, i jechaliśmy dosyć długo, po czym dojechaliśmy na jakieś miejsce, na którym były pokopane długie rowy, do których wrzucano te ciała. Pamiętam, że ciał tych nie przysypywano w ogóle ziemią i po wrzuceniu ciała mojej siostry wraz z innymi ciałami widziałam, że było w tych rowach bardzo dużo martwych ciał dzieci".

Dzięki starszej Polce, wychowawczyni, nauczyła się w domu dziecka pisać, czytać po polsku, rachować. W jakieś trzy miesiące po pogrzebie Helenki, śmierć zabrała też czteroletniego braciszka Halinki, Witka. Zmarł na jej rękach. Nawet nie wiadomo na co. Nikt tego przecież nie dociekał. Przy jego pochówku już nie była.

Halina wróciła do Polski w roku 1946 wraz z ocalałymi dziećmi z domu dziecka z Kazachstanu. Kiedy przyjechał pociąg do Polski, do Gostynina, nikt na nią nie czekał. Trafiła do domu dziecka w Elblągu. Choć początkowo nie potrafiła żyć poza domem dziecka, to po długich namowach uległa poznanej przypadkowo rodzinie kolejarza i związała się z nią.

***

Kiedyś, dawno temu, usłyszałem od jednego z Sybiraków, że stamtąd, czyli z „nieludzkiej ziemi", się nie wraca. Tam się pozostaje na zawsze. Na zawsze myślami, emocjami. Nie sposób otrząsnąć się z sybirackich przeżyć. ■

eprasa.pl 0c7443f31f



Agnieszka Kowalczyk

GDY OTWARŁY SIĘ BRAMY AUSCHWITZ

Książka Szymona Nowaka „Lekarz z Auschwitz" to nie tylko wstrząsające świadectwo zbrodni niemieckiego ludobójstwa. To zarazem prawdziwa historia człowieka, który zimą 1945 roku w niewyobrażalnie trudnych warunkach podjął się ratowania ludzkiego życia.

Poświęcam pamięci mojej prababci Antoniny Dudek, jej siostry i męża, którzy zginęli pod Ścianą Straceń w KL Auschwitz w 1943 roku

fot. Ze zbiorów Rodziny Bellertów

Lekarzem-bohaterem był doktor Józef Bellert (1887–1970), niegdyś żołnierz Legionów Polskich, sanitariusz brygady Józefa Piłsudskiego, konspirator AK i powstaniec warszawski. Ten idący w zawody ze śmiercią bojownik ze stetoskopem stworzył w największym obozie zagłady na świecie szpital dla prawie 5000 ocalonych. Prowadząc go przez osiem miesięcy, dokonał prawdziwego cudu – spośród 4800 chorych przywrócił do życia 4400 pacjentów! Nie zrażał się brakiem wody, kanalizacji, jedzenia i leków. Liczył się dla niego tylko człowiek – były więzień, ważący zwykle 30 kilogramów, cierpiący na dur brzuszny, gruźlicę i biegunkę głodową, panicznie bojący się ludzi w kitlach i strzykawek, przypominających o śmiertelnych zastrzykach z fenolu.

Swojej książce Szymon Nowak nadał formę beletrystyczną, opartą na relacjach naocznych świadków, dokumentach archiwalnych i publikacjach historycznych, czyniąc jej bohaterem nie tylko jednego człowieka, lecz cały zastęp ofiarników – lekarzy, pielęgniarek i ochotników, którzy po oswobodzeniu obozu jako pierwsi ruszyli, by wydrzeć śmierci tysiące ludzkich istnień.

Latem 1944 roku w KL Auschwitz-Birkenau i jego podobozach uwięzionych było ponad 135 tys. osób, co stanowiło liczbę rekordową w historii tego miejsca zagłady. W chwili jednakże, gdy hitlerowskie zbrodnie zdawały się osiągać swe apogeum, na linii rzek Wisły i Wisłoki stanęła Armia Czerwona, którą od Oświęcimia dzieliło wtedy 200 kilometrów. Na Niemców padł blady strach. Natychmiast przystąpili do likwidacji wszelkich możliwych śladów swej zbrodniczej działalności – począwszy od niszczenia kartotek i rejestru więźniów, a skończywszy na wymordowaniu tych zatrudnionych w Sonderkommando przy obsłudze komór gazowych i pieców krematoryjnych. W sierpniu 1944 roku ruszyły z Auschwitz w głąb III Rzeszy transporty zdolnych do pracy fizycznej, w większości Polaków, Rosjan i Czechów. W Birkenau likwidowano doły śmierci – wybierano z nich prochy spalonych ludzi, zasypywano ziemią i maskowano darnią. W listopadzie zaprzestano masowego zagazowywania Żydów i niezdolnych do pracy. Jedno z krematoriów rozebrano do fundamentów, a w pozostałych zdeponowano materiały wybuchowe, by móc je w każdej chwili wysadzić. Do Rzeszy wysyłano zrabowane mienie niemieckich ofiar.

W marszu śmierci

W połowie stycznia 1945 roku w KL Auschwitz-Birkenau znajdowało się 32 tys. więźniów, a w podobozach – kolejne 35 tys. W tym właśnie czasie wydano rozkaz ostatecznej ewakuacji i likwidacji obozu. Od 17 do 21 stycznia 1945 roku wyprowadzono z obozu macierzystego i jego podobozów około 56 tys. więźniów

eprasa.pl 0:7443f31f

konwojowanych w pieszych kolumnach przez uzbrojonych esesmanów. Pędzono ich w stronę Wodzisławia Śląskiego i Gliwic. Tych, którzy nie nadążali bądź próbowali uciec, mordowano. Szacuje się, że w marszach śmierci mogło zginąć nawet 15 tys. ludzi.

Wśród poganianych bykowcem znalazła się 25-letnia Zofia Stępień z Radomia, członkini Szarych Szeregów i Związku Walki Zbrojnej. Jej zdrętwiałe z zimna ciało smagał ostry styczniowy wicher, a ona choć przemarznięta do szpiku kości, jak zahipnotyzowana wpatrywała się w tańczące płatki śniegu. Z zamyślenia wyrwał ją dopiero rozdzierający zimową ciszę krzyk esesmana, na głos którego wynędzniałe kobiece szkielety w biało-granatowych pasiakach wyprostowały się machinalnie i przyspieszyły kroku. „Przeciskając się przez wąską bramę – odtwarza tę scenę Nowak – więźniowie skupili na sobie uderzenia pałek kapo i kolb esesmanów, a do szybszego marszu zagrzewało ich ujadanie psów wyrywających się ze smyczy [...]. Niemcy mocno się spieszyli. [...] Czołgi z czerwoną gwiazdą mogły lada dzień wjechać na rynek w Oświęcimiu i gąsienicami zgruchotać ogrodzenia KL Auschwitz".

Tuż obok Zofii jeden z półżywych nieszczęśników, nie wytrzymując marszu, ukląkł na zamarzniętej ziemi, tak jakby prosił Boga o ratunek. Esesman przyłożył mu do głowy karabin i oddał śmiertelny strzał. Kula „wyrwała pokaźny kawałek czaszki, chlapiąc śnieżnobiałe pobocze na czerwono". Po pierwszej ofierze przyszedł czas na następne. Ciężarna kobieta, kurczowo schwyciła się pnia drzewa, nie mając już sił iść dalej. Esesman oddał do niej dwa strzały: pierwszy – wymierzył w brzuch, drugi – w głowę.

Zofia była świadkiem wielu jeszcze makabrycznych scen – „maszerując jak automat, równocześnie spocona na plecach, ale ze zmrożonymi dłońmi i stopami, skupiła się teraz na liczeniu padłych i dobijanych jak zwierzęta więźniów". Do pierwszego postoju naliczyła ich 114.

Polowanie

Tymczasem w samym obozie rozpoczęło się polowanie na ludzi. Esesmański gefrajter zarzucił na wojskowy płaszcz ciepłe sobole futro, pochwycił karabin i pośpiesznym krokiem opuścił wartownię. Pod magazynem żywności czekał już na niego feldfebel w czarnym, skórzanym płaszczu. Na piersiach błyszczał mu pistolet maszynowy i nożyce do cięcia drutu. Energicznym ruchem przeciął łańcuch na drzwiach magazynu, za którymi kryły się kosze z burakami i piętrzyły bochenki czerstwego chleba. Część żywności obaj Niemcy rozrzucili przed wejściem, wdeptując ją ciężkimi butiorami w ziemię, po czym jeden schował się za rogiem budynku, a drugi wdrapał na wieżyczkę strażniczą. Polowanie zaczęło się w momencie, gdy „sinoszare chude szkielety, obleczone jedynie w niebiesko-białe pasiaki, zwiedziały się o jedzeniu dostępnym w otwartych drzwiach baraku. Nawołując się nawzajem w najróżniejszych językach Europy, jak sępy poczęły zlatywać się do otwartego magazynu żywności [...]. Coraz liczniejszy tłum zaczął wybierać kawałki chleba i buraków ze śniegu. Niektórzy jedzenie wkładali od razu do ust, inni uciekali szybko ze zdobyczą w ręku". Esesmani czekali tylko na ten rodzaj zabawy – „pierwszy wystrzelił siedzący na wieżyczce kapral. Starannie przymierzył i z satysfakcją pociągnął za spust, eliminując jednego z podludzi. Wysoki chudzielec z poszarpaną pasiastą kapotą szeroko rozłożył ręce i padł twarzą w śnieg. Na ten sygnał zza ściany wyskoczył sierżant i puścił całą serię do kłębiących się, całkowicie zaskoczonych strzałami więźniów".

Kilka ciał poszarpanych kulami padło bez ruchu. Nie odstraszyło to jednak wygłodzonych. Pełzali dalej tuż przy ziemi wśród gradu kul w nadziei zdobycia kawałka chleba. Silniejsi porywali po dwa bochenki i pędzili co tchu do swojego baraku, inni zajadali się nim na miejscu. Do magazynu doczołgała się też drobna, wycieńczona kobieta, która schwyciwszy zmarznięty bochenek, próbowała rozłamać go na pół. Niemiecki snajper „uśmiechnął się radośnie, pakując do komory karabinu ostatni nabój [...]. Kula wpadła do pomieszczenia i uderzyła kobietę prosto w serce, po drodze dziurawiąc przyciskany do piersi twardy kawałek chleba".

Podczas wielkiej ewakuacji, w styczniu 1945 roku, w obozie Birkenau zarządzono apel, wzywając wszystkich Żydów do wystąpienia z szeregu. „Juden vortraten. Raus!" – krzyknął złowrogo niemiecki oficer. Wkrótce ruszyła kolumna 200 ludzi. Ze wszystkich stron otoczyli ich uzbrojeni esesmani, prowadząc w stronę ruin wysadzonego ostatnio krematorium. Gdy opadły klapy ciężarówek, hitlerowcy chwytali co się dało – młotki, łopaty i zaostrzone metalowe pręty. Rozpoczęła się bezgłośna masakra – „krew lała się obficie i spływała wąskimi strumykami na dno wykopanego dołu [...]. Trupy leżały w nieładzie w najróżniejszych dziwnych pozycjach głowami na dół albo ze sterczącymi nienaturalnie nogami. Zwłoki były pocięte, pokłute, z pogruchotanymi kośćmi i rozbitymi czaszkami [...]. Na wierzchu leżało ciało nastoletniej Kazi z Łodzi, całe odarte z ubrania, z rozprutym brzuchem i przebitą piersią".

Obozowe znaleziska

Gdy Niemcy masowo opuszczali Auschwitz, gnając przed sobą kolumny więźniów, ci, którzy zostali za jego drutami, musieli walczyć o przetrwanie. Kilka wychudzonych kobiet o pomarszczonych twarzach i wzroku głodnego wilka wyruszyło w miejsce niedostępne do-

eprasa.pl 0c7443f31f

tąd dla nich – do koszar i kantyny SS. Wczołgały się tam na czworakach. W śmieciach odkryły stertę zgniłych i zmarzniętych kartoflanych obierek. Na ten widok oczy błysnęły im radością. Dwudziestoletnia Zofia Jankowska zarządziła, by zamiast opychać się surowymi resztkami, ugotować z nich zupę. Wzmocnione nieco takim posiłkiem, postanowiły udać się na dalsze poszukiwania. I w taki oto sposób dotarły do ruin wysadzonego w powietrze przez Niemców krematorium. Błądząc po gruzowisku, wśród rozwalonych ścian i kominów, stanęły przed nietkniętą siłą wybuchu komorą, która w swym wnętrzu ukrywała krematoryjne piece z niedopalonymi zwłokami. „To było za dużo jak na sterane kobiece nerwy – pisze Szymon Nowak – pierwsza do ucieczki rzuciła się Zofia. Za nią ruszyły pozostałe niewiasty, szybko znajdując drogę do wyjścia. Ich głód był niemiłosierny, ale nie aż tak okropny, żeby jeść podsmażane ludzkie mięso".

Jak się okazało, to potworne znalezisko nie było ostatnim. W jednym z najbardziej odległych rewirów Birkenau szukające jedzenia usłyszały jakieś skomlenie i zawodzenie za drzwiami jednego z baraków. Gdy ostrożnie uchyliły drzwi, ich oczom ukazały się drżące z zimna, półnagie, wychudzone i wygłodzone dzieci. Niektóre, zwłaszcza małe, nie były w stanie wydać z siebie ani jednego dźwięku, starsze wypowiadały słowa w obcych językach, wszystkie zaś były „zaropiałe na ciele i zaszczute przez oprawców". Zwykle nie wiedziały, jak się nazywają i z jakich krajów pochodzą. Kobiety zatroszczyły się o nie, jak najlepiej potrafiły. Zabrały je do swojego baraku, nakarmiły i przyodziały w znalezione w magazynie ubranka i koce. Gdy pod kolczastymi drutami opustoszałego obozu zaczęły zjawiać się co odważniejsze mieszkanki okolicznych wiosek, więźniarki błagały je, by zabrały stąd maluchy. Na ogół nie odmawiały. Potem przychodziły kolejne, gotowe przygarnąć obozowe sieroty.

Śmiertelna grochówka z sowieckich garkuchni

Obóz Auschwitz-Birkenau został wyzwolony 27 stycznia 1945 roku po zdobyciu Oświęcimia przez sowiecką 100. Dywizję Piechoty. Oswobodzono wówczas 7 tys. więźniów przetrzymywanych w Auschwitz, Auschwitz-Birkenau i Monowitz. Oprócz tego uwolniono 500 innych z sąsiednich podobozów. Na terenie obozów, jak podaje Nowak, Sowieci znaleźli około 600 ciał ofiar ostatnich niemieckich mordów, a także tych, którzy zginęli z głodu, zimna i wycieńczenia. Pośród ludzkich szczątków były i te częściowo spopielone, zalegające na stosach, których ogień nie zdołał strawić w całości. Obraz zagłodzonych i fizycznie wyniszczonych ludzi był porażający. Sowieci podsuwali im chleb, suchary, smalec, smażone końskie mięso. To pozorne dobrodziejstwo najedzenia się do syta stanowiło w istocie śmiertelne niebezpieczeństwo dla wycieńczonych. Katastrofalne skutki wśród przymierających dotąd głodem wywołały sowieckie kuchnie polowe, które podawały chorym tłustą grochówkę.

„Czy wyście oszaleli?! – krzyczała wniebogłosy więźniarka-pielęgniarka Anna Chomicz, miotając się pomiędzy kuchnią a stojącymi w kolejce więźniami. Ona jako jedna z nielicznych chyba słusznie przewidywała, jakie spustoszenie może wywołać nadmiar tłustej strawy w przegłodzonych organizmach". Własnym ciałem broniła więc dostępu do kotłów, z trudem odganiając od kalorycznej strawy tych, którzy znajdowali się na granicy życia i śmierci. Z pomocą przyszły jej inne lekarki i pielęgniarki, bezwzględnie nakazujące kucharzom wlewać tylko jedną czwartą zupy do podstawianych misek i garnczków. Nie wszyscy jednak zdołali uratować się od męczeńskiej śmierci z przejedzenia – „wili się w kątach baraków, cierpiąc na bóle żołądka, skręty jelit i wtórny durchfall".

Samarytanie z kopalni „Brzeszcze"

Jako pierwsi z pomocą oswobodzonym przyszli samarytanie z kopalni „Brzeszcze" z Tadeuszem Mleko na czele. Najpierw zabrali się za wynoszenie z baraków ciał pomordowanych. Ponaciągali więc na twarze chusty, bowiem fetor nie do zniesienia bił od „rozkładających się zwłok, starego kału i moczu, gnijącego drewna, zbutwiałych łachów, koców oraz drażniącej woni wszędobylskich tutaj gryzoni [...]. Z dzikim wrzaskiem podskoczyli do prycz z nieboszczykami [...] i tłukli na oślep łopatami uciekające po kątach szczury. Kiedy już je przepędzili, zajęli się wynoszeniem trupów na zewnątrz". Po pogrzebaniu zmarłych w ogromnym dole pozostawionym przez Niemców, przystąpili do oczyszczania baraków, w których całymi dniami leżeli obłożnie chorzy. „Ramię w ramię w jednej linii zaczęli łopatami zrywać z klepiska zeschnięte i wdeptane w podłoże stare ekskrementy zmieszane z trocinami i innymi odpadkami [...]. Czasami trzeba było głęboko zdzierać całe połacie gliny, lub w innych wypadkach precyzyjnie pracować nożami czy [...] czymś na kształt szpachelek". Niektórzy z nich, zwłaszcza młodsi, nie wytrzymywali i targani torsjami wybiegali na zewnątrz.

Ci sami ochotnicy z Brzeszcz wymieniali zabrudzone sienniki i koce, szorowali podłogi i myli prycze, po czym cięli je na pół, przerabiając na jednokondygnacyjne łóżka. Sami karmili najciężej chorych, przenosili leżących do łaźni lub na prześwietlenie rentgenowskie, podawali leki, a nawet robili zastrzyki. W samej zaś kopalni „Brzeszcze" urządzono mały szpital dla potrzebujących natychmiastowej pomocy medycznej. Na ratunek okaleczonym fizycznie i psychicznie ruszyli także

eprasa.pl 0c7443f31f

wolontariusze z Oświęcimia pod przewodnictwem ofiarnej grupy tamtejszego Polskiego Czerwonego Krzyża z lekarzami Tadeuszem Müllerem i Bogumiłem Pietrzykiem.

W największym szpitalu świata

W styczniu 1945 roku, wkrótce po wyzwoleniu KL Auschwitz-Birkenau, najtęższe krakowskie głowy zastanawiały się, co dalej począć z siedmioma tysiącami żywcem wyrwanych z piekła. Doktor Mieczysław Bilek, kierownik Wydziału Zdrowia Województwa Krakowskiego, stanowczo przeciwstawiał się pomysłowi przetransportowania wszystkich byłych więźniów do krakowskich szpitali ze względu na ogromne niebezpieczeństwo wywołania masowej epidemii. W obozie szerzyły się przecież choroby zakaźne, w tym dur brzuszny i gruźlica, a więźniowie poddawani byli okrutnym pseudomedycznym eksperymentom, podczas których wszczepiano im najróżniejsze zarazki, jak choćby tyfus plamisty.

Argumenty te nie przekonały niedawnych więźniów Auschwitz – lekarza Jana Grabczyńskiego i posła II RP Adama Kuryłowicza, wysłanych, by zbadali sytuację na terenie obozu. Fakty przedstawione przez doktora Grabczyńskiego, który dowodził, że chorzy nie mają tam sił wstać, że umierają w swoich odchodach, że nie ma tam wody, latryn, światła, ogrzewania, słowem zupełnie niczego, poraziły słuchaczy, a zwłaszcza warszawskiego lekarza Józefa Bellerta, który postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Oznajmił wówczas stanowczo, że podejmie się zorganizowania szpitala polowego w miejscu zagłady – w samym KL Auschwitz-Birkenau. Oświadczył, że może liczyć na pomoc swojego zespołu zaufanych i doświadczonych medyków, na których nigdy się nie zawiódł. „Reprezentuję grupę lekarzy i pielęgniarek z warszawskiego szpitala Polskiego Czerwonego Krzyża, który Niemcy po kapitulacji powstania ewakuowali razem z chorymi do Krakowa. Ja już byłem w obozie koncentracyjnym. Durchgangslager Pruszków. Po powstaniu. Naprawdę nie trzeba komór gazowych, żeby uśmiercać hurtowo ludzi. Brak fachowej pomocy lekarskiej, brak higieny wystarczy w zupełności" – przekonywał. „Chcę tam pójść – zakomunikował ostatecznie.

I tak Józef Bellert został kierownikiem szpitala PCK w Oświęcimiu i jednocześnie lekarzem naczelnym tej placówki medycznej. Pociągnął za sobą takich samych ofiarników, „takich samych wariatów jak on", wśród których znaleźli się doktorzy: Jan Perzyński, Jan Jodłowski, Jadwiga Magnuszewska, Zdzisław Makomaski; absolwenci studiów medycznych – Józef Grenda i Andrzej Zaorski, kilkanaście pielęgniarek z przełożoną Genowefą Przybysz, grupa dwudziestu sanitariuszy i sanitariuszek oraz kierownik kancelarii szpitalnej Henryk Kodź.

Szkielety pokryte skórą

5 lutego 1945 roku zespół doktora Bellerta dotarł rozklekotaną ciężarówką do Oświęcimia i od razu przystąpił do działania. Na pomoc czekało według wstępnych wyliczeń od 4,5 tys. do 4,8 tys. ludzi – 2,5 tys. na terenie KL Birkenau, 1,5 tys. – w KL Auschwitz, 600 – w Monowitz-Dwory. Największą część wyzwolonych stanowili Żydzi z różnych stron Europy, w przeważającej mierze z Węgier. Polaków było blisko tysiąc. Wielu spośród nich to żołnierze Armii Krajowej, którzy teraz z dumą mówili o sobie: „My z powstania! My z Warszawy!".

Czym prędzej przystąpiono do mycia i przebierania chorych układanych w czystym posłaniu. Badano ich skrupulatnie, ważono, spisywano dane osobowe. Wszyscy prawie byli zagłodzeni i wycieńczeni. Przed Bellertem stawały „szkielety pokryte skórą ziemistego koloru, dorośli wagi 25 do 35 kilogramów". Taka na przykład Zofia Palińska – osiemnastoletnia dziewczyna – ważyła zaledwie 19 kilogramów. Powszechne były wśród wyzwolonych obrzęki, ropiejące rany, odleżyny, odmrożenia rąk i nóg. Pomna na słowa doktora Bellerta pielęgniarka-ochotniczka Marianna Rogoż, przystępując do rozdzielania dietetycznej strawy z przecieranych kartofli, wlewała wygłodniałym tylko jedną czwartą menażki, a tym przypominającym żywe kościotrupy zaledwie kilka łyżek. Wciągnięta w niekończący się wir obowiązków myła i opatrywała chorych, zmieniała pościel i zanieczyszczone koce, które zastępowała przyniesionymi z niemieckich magazynów. „Będąc sama na nocnym dyżurze nie miała nikogo do pomocy. Musiała [...] obsłużyć swoich 80 podopiecznych [...]. Najgorsza jednak była śmierć pacjentów. Podczas jej pierwszego nocnego dyżuru z 80 chorych na jej sali kobiet zmarło jedenaście. Po stwierdzeniu zgonu [...] musiała [...] niemało się naszarpać, aby ściągnąć nieboszczyków z łóżka i wytargać na korytarz. Dopiero rano przychodzili sanitariusze i zabierali zwłoki z bloku, dziwiąc się, że aż tylu chorych odeszło z tego świata w ciągu jednej nocy".

Wielu z nich zapadło na gruźlicę płuc i dur brzuszny. Największą zmorą była jednak ostra biegunka oraz choroba obozowa (distrophia alimentaris), objawiająca się tym, że wycieńczony do granic organizm z zanikłymi organami trawiennymi mimo dostarczania mu pokarmów nie przyjmował ich, a chory stale tracił na wadze i w końcu umierał.

Pewnego dnia do gabinetu Bellerta przyszła zaniepokojona Marianna Rogoż, oznajmiając, że nie może zrobić chorej zastrzyku, ponieważ „nie ma ani grama mięśni, w które mogłaby się wkuć igłą". Doktor nie mógł w to uwierzyć. Gdy osobiście poszedł obejrzeć więźniarkę, „przed sobą widział tylko kości i żyły obciągnięte szczelnie szarą ziemistą skórą. Pacjenta w takim

eprasa.pl 0c7443f31f

stanie, pomimo wieloletniego wojennego doświadczenia, to nawet on, doktor Bellert, nigdy nie widział".

Najbardziej dramatyczną dla niego była chwilą było żegnanie się z małą Julką, o której wiedział, że umrze. Cierpiącą na chorobę obozową, a w konsekwencji zapalenie płuc żydowską dziewczynkę pokochał jak własne dziecko, pocieszał i przynosił zabawki, obiecując, że niebawem wybiorą się razem na krakowskie Planty. I w tę ostatnią noc, która w leczeniu miała być przełomowa, czuwał przez długie godziny przy bliskiej skonania, a gdy śmierć po nią przyszła, ukląkł przy łóżku i modlił się za jej duszę, po czym wziąwszy w ramiona drobne ciałko, „z ogromnym namaszczeniem zniósł je na dół i złożył na platformie konnego wozu. Z okna szpitala wszyscy widzieli, jak zgarbiony od ciężaru boleści lekarz szedł tuż obok furmanki, nie odstępując ani na krok zmarłej".

O wiele gorsze jeszcze od okaleczonych ciał zdawały się niezabliźnione rany odciśnięte w ludzkiej psychice. Bellert od razu zauważył, że wszyscy więźniowie panicznie bali się głodu i chowali pod swoimi siennikami dodatkowe porcje chleba. Wielkim lękiem przejmował ich widok białych fartuchów, aplikowanych zastrzyków czy też konieczność udania się do łaźni, którą identyfikowali z przedsionkiem komory gazowej. Nękani przez nocne koszmary budzili się z krzykiem, zlani potem, przerażeni, że ich gehenna się nie skończyła.

Wiele jeszcze mrocznych tajemnic krył porzucony przez Niemców obóz. Kiedy któregoś razu pielęgniarki przeszukiwały opustoszałe kwatery nazistów w nadziei znalezienia tam potrzebnych leków, w jednej z nich dokonały makabrycznego znaleziska – obok stosu medykamentów setki wielkich szklanych słojów z niemowlętami pływającymi w formalinie i rozmaitymi preparatami wytworzonymi z ludzkich szczątków. W pobliskim Rajsku natomiast natknięto się na nazistowskie laboratorium, w którym przetrzymywano bakterie dżumy i cholery, by wszczepić je następnie więźniom.

„Jezus też był w Auschwitz"

Gdy powiał ciepły wiosenny wiatr, spod topniejącego śniegu wyłoniły się szczątki pomordowanych zakopane w płytkich dołach, a te przechowywane w bloku nr 11 pod wpływem rosnącej temperatury zaczęły ulegać szybkiemu rozkładowi. Aby zapobiec zarazie, postanowiono, że trzeba złożyć je do jednego wielkiego grobu w obozie macierzystym. Biorący udział w tych czynnościach Zdzisław Bosek natknął się w zlodowaciałej zmarzlinie na coś dziwnego – na szarobure rozciągnięte koce. „Jedynie przez chwilę trwała konsternacja robotników, bowiem ktoś ściągnął pierwszy koc, odkrywając całe zwały pomieszanych ze sobą nagich szarych rąk, nóg, torsów i głów". Wkrótce jasne stało się, że Niemcy nie zdążyli pozbyć się trupów i ukryli je w płytkim masowym grobie na końcu obozu, pod samym ogrodzeniem. W tej sytuacji postanowiono odwieźć ludzkie szczątki na furmankach do jednego z baraków, gdzie przeprowadzano sekcje zwłok. W tym czasie inna grupa ochotników zbijała duże, drewniane skrzynie, do których wkładano zwłoki – po trzy, cztery, a nawet pięć, po czym transportowano je na konnych wozach do bloku nr 11 w Auschwitz. W taki to sposób przygotowano do pochówku około siedmiuset ciał. Zdzisław Bosek twierdził, że było ich znacznie więcej, nawet tysiąc.

„Długi rząd niezliczonych trumien ustawionych równo obok siebie robił niesamowite wrażenie. Zdawało się, że tylko nagła jednorazowa katastrofa mogła pochłonąć aż tyle ofiar". Ich szczątki miały spocząć w jednej ogromnej mogile – w sercu ziemi przesiąkłej krwią tysięcy niewinnych, w obozie macierzystym Auschwitz. Wśród nieprzeliczonych tłumów żałobników, którzy w ciszy i skupieniu oddawali cześć ofiarom hitlerowskiego ludobójstwa, byli duchowni i zakonnicy, mieszkańcy Oświęcimia, Brzezinki, sąsiednich miast i wsi, byli muzycy orkiestry dętej z kopalni „Brzeszcze", był polski personel medyczny. W tym wyjątkowym kondukcie szli też ci, którzy przeżyli – więźniowie KL Auschwitz-Birkenau.

Kondukt zziębniętych ludzkich widm szedł wolno za jadącymi konnymi platformami, na których spoczywało ponad sto trumien wypełnionych szczątkami około tysiąca więźniów. „Pogrzebowy korowód ciągnął się długą i grubą ludzką wstęgą, począwszy od bramy obozu Birkenau, poprzez drogi i pola Brzezinki, a skończywszy na przedmieściach Oświęcimia". Przekroczywszy bramę Auschwitz z pamiętnym napisem „Arbeit macht frei", uczestnicy konduktu stanęli nad gigantycznym dołem, w którym spocząć miały po wieczne czasy ofiary niemieckiego ludobójstwa.

Długo potem w uszach tych, którzy znaleźli się w najstraszniejszym miejscu świata, brzmiały jeszcze słowa ks. Jana Skarbka, żegnającego pomordowanych: „I Jezus też był w Auschwitz... Jezus też był w Birkenau. Jezus Chrystus był w każdym niemieckim obozie śmierci. I jego również niemieccy oprawcy mordowali zastrzykiem z trucizną, gazowali na śmierć i palili w krematorium. I jego głodzili, wieszali i bili pałkami. Z jego włosów hitlerowcy robili sienniki, z jego skóry wykonywali abażury do lamp i okładki do książek. Jego kości służyły Niemcom do robienia makabrycznych mebli, a jego czaszka ozdabiała biurka esesmańskich dygnitarzy. To jego Najświętszą Krew germańscy barbarzyńcy wykorzystywali do swoich pseudomedycznych doświadczeń, wstrzykując do niej zarazki najbardziej wymyślnych i okropnych chorób. On był tutaj. Był pośród was...".

Źródło: Szymon Nowak „Lekarz z Auschwitz", Warszawa 2020.

eprasa.pl 0c7443f31f

Piotr Lisiewicz

Gdy 26 marca 2022 roku, miesiąc po ataku Rosji na Ukrainę, prezydent Joe Biden przyleciał do Warszawy, przemówienie na Zamku Królewskim rozpoczął od słów: „»Nie lękajcie się!«. To pierwsze słowa, które padły podczas pierwszego publicznego wystąpienia pierwszego papieża Polaka w październiku 1978 roku. To słowa, które zdefiniowały pontyfikat Jana Pawła II; słowa, które zmieniły świat. Jan Paweł II z tym przesłaniem przybył do Warszawy podczas swojej pierwszej pielgrzymki w czerwcu 1979 roku. Było to przesłanie o sile wiary, sile oporu i sile ludzi w obliczu okrutnego, brutalnego systemu władzy. Było to przesłanie, które 30 lat temu pomogło położyć kres sowieckim represjom na centralnym obszarze Europy Wschodniej. To przesłanie przezwyciężyło okrucieństwo i brutalność tej niesprawiedliwej wojny".

Po tych słowach na lewicowych portalach zagotowało się: jak to, my tu właśnie walczymy z ciemnym dziedzictwem Jana Pawła II, stajemy na głowie, żeby połączyć patologie w Kościele z jego osobą, żeby zohydzić go w oczach najmłodszego pokolenia, które go nie znało za życia, a tu taki cios w plecy? I to od kogo?! Od naszego, lewicowego prezydenta, dla którego odsądzaliśmy Donalda Trumpa od czci i wiary?! „To nie jest typowy dla Amerykanów nietakt i popis ignorancji – to policzek dla nas, Polaków walczących o wolną Polskę. To odrażający i żenujący ekscesy!" – napisał Jan Hartman z tygodnika „Polityka".

No więc właśnie: Ameryka jest bezspornie inna od Europy. Ksiądz prof. Dariusz Oko stwierdził niedawno w wywiadzie dla „Gazety Polskiej", że jest ona drogowskazem dla nas: oto można być krajem, który jest najsilniejszy na świecie, a jednocześnie Pan Bóg i religia odgrywają w nim ogromną rolę.

Zdzisław Dębicki, młodopolski poeta, aresztowany za upamiętnianie insurekcji kościuszkowskiej i zesłany do Orska na Uralu, opublikował ponad 100 lat temu, w 1920 roku, artykuły, które są kluczem do zrozumienia tej odmienności. Pokazują, jak historycznie kształtowały się Stany Zjednoczone, gdzie „przychodźcy bowiem amerykańscy wszystkich narodowości należeli niemal wyłącznie do mas ludowych, te zaś masy są zawsze najkonserwatywniejsze". Czym są wartości amerykańskie, w tym ta najważniejsza – wolność? Jak to ma się do obecnej Ameryki, która ma być gwarantem naszej niepodległości? Po lekturze tych tekstów lepiej zrozumiemy Amerykę.

Zdzisław Dębicki

„Naród" amerykański

Społeczeństwo zaś, choćby najbardziej różnolite pod względem rasowym, jeżeli umie jedno czcić i jedno kochać, jest narodem i nie potrzebuje obawiać się odśrodkowego ruchu składowych swoich czynników, które, nie wyrzekając się swoich przywiązań, potrafią podporządkować się jednej idei dzisiaj państwowej, jutro może już narodowej.

„Zgoła wszystko przeciwnie" wydało się panu Kazimierzowi Pułaskiemu w Ameryce, gdy tam przybył w r. 1777-ym.

Wiele minęło od tego czasu lat, a każdy Polak, bodaj także każdy Europejczyk, przybywający po raz pierwszy na drugą półkulę, ma wrażenie podobne.

„Obyczaje tutejsze nie mogą się zgadzać z moim humorem" – pisał w niespełna rok potem ostatni szlachcic polski, ostatni konfederat barski, do siostry w liście z dnia 24 lutego 1778 roku, datowanym z Trentonu.

I tu zachodzi już różnica pomiędzy nami a Pułaskim.

Pstrokacizna rasowa po amerykańsku

Jeżeli bowiem „obyczaje" amerykańskie nie zgadzają się z „naszym humorem" w pierwszych chwi-

eprasa.pl 0c7443f31f

lach pobytu na nowym lądzie, to nie trzeba dużo czasu na to, aby się przekonać, że, chociaż odmienne, mają one swój sens.

Budowa życia amerykańskiego jest inna od budowy życia europejskiego. Inna, bo na innych to życie wytwarzało się podstawach, a chociaż kolonizatorami Ameryki byli Europejczycy, to jednak kolonizacyi tej nie dokonała wyłącznie rasa anglosaska, ale przy dużym, a w drugiej połowie wieku XIX-go już ogromnym dopływie wszystkich nacyi. W tym wielkim tyglu, jakim są dzisiaj Stany Zjednoczone, dorównywające obszarem swoim całemu niemal lądowi Europy, spotkały się z sobą narody Zachodu i Wschodu europejskiego.

Kolejno przybywali tam i osiadali Holendrzy, Francuzi, Irlandczycy, Duńczycy, Niemcy, Włosi, Grecy, Węgrzy, Litwini, Łotysze, Rumuni, Polacy, Czesi, Kroaci, Rusini, Rosyanie, Słowacy, Słoweńcy, wreszcie potężną falą w ostatnich dziesięcioleciach napływać poczęli Żydzi.

Każdy z tych narodów przynosił z sobą coś z własnego swojego zwyczaju i obyczaju, przynosił zaś przedewszystkiem to, co jest najtrwalsze, co utrzymuje się najdłużej, jako rys fizyognomii narodowej, co często nawet pod pokostem zupełnego zamerykanizowania daje się odszukać i dostrzec, jako cecha niezniszczalna, świadcząca o pochodzeniu, o tej dalekiej, własnej ojczyźnie, o której niejeden przestał już wiedzieć, do której wielu przestało tęsknić, a która przecież jeszcze świadczy o swojem istnieniu choćby w postaci „potrawy narodowej", zjawiającej się na stole w imię tradycyi w dzień święta rodzinnego.

Ta pstrokacizna rasowa musiała nadać Ameryce specyalne w porównaniu z Europą cechy, musiała stworzyć obyczaj, oparty na tem, że każdy czynił, co mu kazał jego „duch narodowy", a całość „sama się złożyła".

Całość – powiedzmy odrazu – dzisiaj już jednolita o tyle, że wszyscy „Amerykanie", bez względu na swoje pochodzenie narodowe, na swoich dziadów czy ojców, posiadają mnóstwo cech wspólnych, które wyróżniają ich zdecydowanie od Europejczyków, a upodobniają pomiędzy sobą.

Dokonała tego siła asymilująca kultury anglo-saskiej, która stopniowo podporządkowała sobie wszystkie inne kultury, jako słabsze na gruncie amerykańskim.

Trzeba jednak zauważyć, że słabość tych kultur innych była zarazem ich siłą, przychodźcy bowiem amerykańscy wszystkich narodowości należeli niemal wyłącznie do mas ludowych, te zaś masy są zawsze najkonserwatywniejsze, najtrudniejsze do obyczajowego zasymilowania.

Podwójność obywatelstwa

Miała więc kultura anglosaska, asymilująca lud innych krajów, zadanie do wykonania trudne.

Musiała poprostu zrezygnować z prób asymilowania przychodźców w pierwszem pokoleniu, odkładając całą pracę do pokoleń następnych, już na ziemi amerykańskiej urodzonych.

Tu wielkim warsztatem asymilacyjnym była przedewszystkiem szkoła ludowa, szkoła powszechna, w której uczyły się dzieci wszystkich narodów nie tylko mówić, czytać i pisać po angielsku, ale przedewszystkiem kochać Amerykę, jako swoją ojczyznę.

Dzieci te, różne sobie pochodzeniem, śpiewając chórem hymn narodowy amerykański, czuły, że istnieje pomiędzy niemi jedna wspólność, coś, co je łączy w jedną całość.

Na dalszych i wyższych stopniach życia społecznego i obywatelskiego asymilacyi współdziałała w niemałym także stopniu konstytucya Stanów.

Powietrze wolności, którem oddycha Ameryka, miało swój podbijający urok dla wszystkich Europejczyków, a zwłaszcza dla przedstawicieli narodów uciśnionych. Poddawały się one mimowoli amerykanizacyi, bez żadnego zgoła nacisku na to czy to ze strony czynników państwowych czy społecznych.

Zachowując swoją narodowość, swój język, nawet miłość dla swojej ojczyzny i pamięć o niej, immigracya poczuwała się jednocześnie do wdzięczności dla Ameryki, przyjmowała z dumą obywatelstwo amerykańskie, dające jej „pozycyę" w świecie międzynarodowym, poszanowanie i prawa szersze, niż te, jakie mieli, będąc „poddanymi" swoich czy cudzych monarchów w starym kraju.

W ten sposób wytworzył się w Ameryce nieznany gdzieindziej na świecie typ obywatela o dwóch prawowitych i prawdziwych ojczyznach.

I am Americaner – jestem Amerykaninem – mówi o sobie każdy obywatel Stanów, co mu nie przeszkadza jednocześnie do żywienia w duszy głębokiego nieraz uczucia dla ojczyzny swoich przodków i do służenia jej sprawom.

Ta podwójność obywatelstwa nie budziła dotychczas żadnego niepokoju.

Amerykanina rzeczywistego, który miał tylko jedną ojczyznę, bynajmniej nie drażniło to, że Niemiec amerykański uważał się za Niemca, Irlandczyk za Irlandczyka, Polak za Polaka. Nie dziwiło dlatego, że na zewnątrz różnic wybitnych pomiędzy nim a jego współobywatelami nie było.

Pytania w obliczu wojny

Amerykański szablon, panujący w ubiorze, w mieszkaniu, w całem życiu, urobił, jak już mówili-

eprasa.pl 0c7443f31f

śmy, wszystkich według jednego wzoru i przetworzył w masę, w której zatarły się powierzchowne odrębności narodowe. Przy języku wspólnym i obyczaju wspólnym w społeczeństwie, zajętem pracą i pościgiem za pieniądzem, nie było czasu na to, aby sięgać komuś w głąb duszy i wydobywać stamtąd starannie pielęgnowane albo drzemiące uczucia.

Dopiero wybuch wojny europejskiej postawił tę sprawę na porządku dziennym w Stanach i postawił ją odrazu tak ostro, ze sformułowała się ona w zagadnienie wielkiej wagi i doniosłości. Powstało mianowicie pytanie, czy Amerykanie są wogóle narodem?

Pytania zgoła nowe dla Ameryki, która nie znała u siebie ruchu nacyonalistycznego, roznamiętniającego Europę w ostatniem ćwierćwieczu, i która zaledwie w chwili, kiedy rozstrzygała o swojej zbrojnej interwencyi, spostrzegła, że Niemcy amerykańscy używają wszystkich swoich wpływów, ażeby do tej interwencyi nie dopuścić, że Irlandczycy, jako wrogowie Anglii, zajmują również stanowisko przeciwne wojnie, natomiast Polacy, jako wrogowie Niemców, całą siłą popierają wojnę, wstępując do armii chętnie i z zapałem.

Ta niejednolitość opinii w „narodzie", wychodząca daleko poza ramy partyjnych różnic w zapatrywaniach, istniejących pomiędzy rządzącem stronnictwem demokratycznem a zwalczającem je stronnictwem republikańskiem, nie mogła nie obudzić czujności zmysłu narodowego wśród tych, którzy się do „narodowości" amerykańskiej bez żadnych zastrzeżeń poczuwali i którzy, jako natives, mieli za sobą jedną już tylko amerykańską tradycyę.

– Więc jak to? – zapytywano – nie wszyscy jednakowo rozumiemy interes i obowiązek naszej wspólnej ojczyzny? Nie wszyscy czujemy się Amerykanami?

Bieg wypadków odpowiadał na to twierdząco: tak, nie wszyscy.

Niemcy podnosili głowę coraz wyżej, robili coraz więcej hałasu. Irlandczycy nie taili swoich uczuć nienawistnych dla Wielkiej Brytanii. Jedni Polacy zachowywali się lojalnie, ale i oni nie ukrywali, że idą walczyć pod chorągwią amerykańską za wolność Polski, za wolność swojej ziemi ojczystej.

Wojna nie pozwalała jednak na bliższe rozważanie tego zagadnienia.

Prowadził ją nie naród amerykański, ale państwo amerykańskie i państwo, któremu każdy obywatel winien był posłuch, przezwyciężyło wszelkie przeszkody.

▶ Flaga gwiaździsta – res sanctissima

Dzisiaj jednak, po zwycięstwie, sprawa „narodu amerykańskiego" wraca na porządek dzienny. Amerykanin, który nie lubi rozważań teoretycznych, a rozstrzyga rzeczy praktycznie, rad jest sądzić, że przyszłość zdecyduje sprawę na rzecz „jednolitości narodowej", ale na wszelki wypadek zaczyna już mówić coraz głośniej o potrzebie „amerykanizowania" przychodźstwa. Europejczyka, który wie, że metody walki z narodowością doprowadzają do wręcz przeciwnych wyników, nie przekonywa to jednak. Rozumuje on w sposób odmienny i odpowiedzi szuka gdzieindziej. Interesuje go przedewszystkiem stosunek Amerykanina do ziemi. Stosunek ten w Europie oparty jest na głębokiem i bezinteresownem uczuciu. Każdy Europejczyk kocha swoją ojczyznę, kocha ziemię, jako substrat swojej narodowości. My, Polacy, kochamy ją fanatycznie. Kocha ją nie tylko chłop-rolnik i ziemianin, ale kocha ją również robotnik i mieszczanin. Nie chcę twierdzić, żeby Amerykanie ziemi swojej nie kochali, ale – niewątpliwie – kochają ją inaczej, naprzód dlatego, że nie jest ona dla nich, tak jak w Europie, podłożem narodowości, potem, że mniej w nią wsiąkło potu i krwi przodków, wreszcie, że duch merkantylny całego społeczeństwa patrzy na nią, jako na warsztat wytwórczy, bez tego sentymentu, jaki ma rolnik dla swego zagona ojczystego na starym lądzie.

W ogromnej większości wypadków farmer amerykański w pierwszem dopiero pokoleniu siedzi na swojej ziemi. Nie wrósł więc w nią jeszcze, nie wkorzenił się tak, jak rolnik europejski. Stąd rzuca ją łatwiej. Opuszczenie „zagrody ojczystej" nie jest dla niego tragedyą, a częste w ostatnich czasach porzucanie ferm i przenoszenie się do miast, gdzie robią się większe businessy, świadczy wymownie, że nie ziemia, jak u nas, rozstrzyga w Ameryce o poczuciu narodowem.

Istotnie, bliższe przyjrzenie się życiu amerykańskiemu poucza, że wchodzą tam w grę inne czynniki, które jednak uprawniają do optymistycznych na przyszłość „narodu" amerykańskiego poglądów.

Miłość ziemi zastępuje tam miłość wolności, a wyobrazicielka tej wolności, flaga gwiaździsta, jest ową res sanctissima, przed którą każdy Amerykanin z szacunkiem głowę pochyli.

Społeczeństwo zaś, choćby najbardziej różnolite pod względem rasowym, jeżeli umie jedno czcić i jedno kochać, jest narodem i nie potrzebuje obawiać się odśrodkowego ruchu składowych swoich czynników, które, nie wyrzekając się swoich przywiązań, potrafią podporządkować się jednej idei dzisiaj państwowej, jutro może już narodowej.

O tym powinniśmy wiedzieć. ■

_____

Przedruk za: „Tygodnik Ilustrowany", 21.08.1920, Warszawa, Rok 61, Nr 32.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 0c7443f31f

Równość amerykańska

Wróćmy jednak do „równości" amerykańskiej. Podzielona na „klasy" według dochodu, nie czuje ona zgoła tego podziału w życiu niemateryalnem, bo nawet ludzie bardzo bogaci nie wynoszą się ponad innych i nie mają żadnych przywilejów. Każdy urząd – od najniższego do najwyższego – dostępny jest dla wszystkich. Żadne „rangi" nie odgrywają tam roli, żadne „stosunki" nie otwierają drzwi zamkniętych.

Stany Zjednoczone uchodzą w Europie za kraj klasycznej równości demokratycznej. Taką opinię wyrobił im wielki nauczyciel Francyi i Europy, de Tocqueville i opinia ta utrzymuje się do dnia dzisiejszego wśród ogółu europejskiego, mimo, że należałoby już oddawna ustalić i rozpowszechnić – nie bez pożytku dla krańcowych odłamów demokracyi starego a żądnego odmiany i przebudowy społecznej lądu – zgoła inne zapatrywanie, bo... nie ulega już dzisiaj wątpliwości, że Stany Zjednoczone są właśnie klasycznym przykładem tego, że równość w społeczeństwie jest nie do osiągnięcia.

Równość obywatelska – Equality – jest kamieniem węgielnym konstytucyi amerykańskiej. Żaden Amerykanin nie pozwoliłby ruszyć tego kamienia, w przekonaniu, że pociągnąłby on za sobą cały gmach wolności amerykańskiej do ruiny. I słusznie.

Ale, jeżeli przyjrzeć się bliżej stosunkom, to owa słynna równość redukuje się za oceanem tak samo, jak w republikańskiej Francyi, do równości wobec prawa.

Równości faktycznej w życiu amerykańskiem niema i być nie może, bo nie dopuści do tego druga zasada konstytucyi – Wolność. Właśnie ona.

Bez jej pogwałcenia, bez odebrania obywatelowi swobody urządzania sobie życia według własnych upodobań i środków, zrównanie warstw społecznych za pomocą jednego strychulca nie da się przeprowadzić.

A gwałt bolszewicki jest wstrętny każdemu człowiekowi wolnemu, cóż więc dopiero najwolniejszemu z wolnych Amerykaninowi! [...]

Dlatego może zasada „niezaglądania bliźniemu w garnek" nigdzie nie jest tak szanowana, jak w Ameryce, gdzie zawsze „grobla" jest „wedle stawu".

Każdy żyje, jak chce, odpowiednio do środków, jakie posiada. Jeśli te środki się zwiększają, podnosi się skala jego życia, jeśli chwilowo ulegają zmniejszeniu, skala opada. [...]

Do tego podziału przystosowało się życie. Inne są hotele, restauracye, kluby, sklepy, do których uczęszcza i w których zaopatruje się ludność bogata, średnio zamożna i uboższa. Zupełnie, jak w starej Europie. [...]

Zasada „równości" nie dopuszcza tam podziału na „klasy" w pociągach kolejowych. Klasa jest jedna. Zarząd kolei nie oznacza na wagonach I, II, III i IV. Nie ofiarowuje jednym pasażerom gołego drewna, a innym kanap, wyścielanych aksamitem.

Miękkie sprężynowe siedzenia są jednakowe dla wszystkich w również jednakowych wagonach. Ale – pociągi są rozmaite: tanie, droższe i bardzo drogie. I tu następuje dobrowolne rozgatunkowanie publiczności. Każdy wybiera to, na co go stać. Warstwy zamożne jeżdżą więc pociągami najszybszymi, jak słynny pociąg 20-th century (20-te stulecie), kursujący pomiędzy New-Yorkiem a Chicago i płacący (teoretycznie) 1 dol. każdemu pasażerowi za każdą minutę opóźnienia, a nie spóźniający się nigdy, warstwy zaś niezamożne posługują się pociągami o mniejszej szybkości.

W ten sposób bożek równości otrzymuje świeczkę a szatan klasowości ogarek.

Nikt jednak na to nie sarka. Przeciwnie, wszyscy są zadowoleni, bo odbywają podróże w „swojem" towarzystwie i odbywają je wygodnie. [...]

Podzielona na „klasy" według dochodu, nie czuje ona zgoła tego podziału w życiu niemateryalnem, bo nawet ludzie bardzo bogaci nie wynoszą się ponad innych i nie mają żadnych przywilejów.

Każdy urząd – od najniższego do najwyższego – dostępny jest dla wszystkich. Żadne „rangi" nie odgrywają tam roli, żadne „stosunki" nie otwierają drzwi zamkniętych. A jeżeli kiedy spotka kogoś jaki wzgląd specyalny, to jedynie chyba potomka pierwszych rodzin osadniczych, owych „pielgrzymów", którzy przed 300 laty przybyli na Mayflower,ze z Anglii, aby założyć na wschodnich wybrzeżach Ameryki Nową Anglię.

Jedyna to arystokracya amerykańska, szanowana przez wszystkich, acz zgoła nie należąca do klasy „milionerów", dostarczająca za to ciągle wybitnych pracowników w dziedzinie nauki, kultury i ruchu etycznego.

Dowodziłoby to, że w Ameryce rośnie jednak uznanie dla tych niemateryalnych wartości, które w Europie tracą właśnie w tej chwili kurs u szerokich mas. [...] ■

———

Przedruk za: Tygodnik Illustrowany, 13.11.1920, Warszawa, Rok 61, Nr 46.

eprasa.pl 0c7443f31f

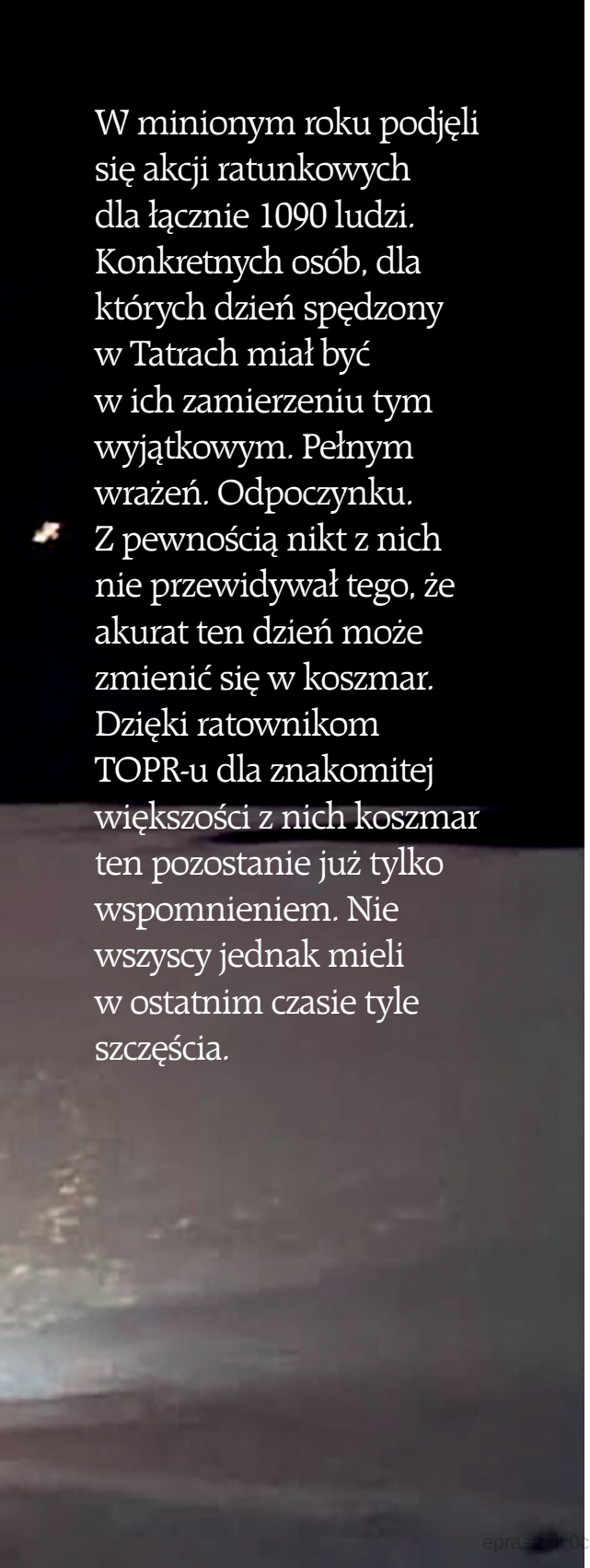
Stefan Czerniecki
czerniecki.net



Cisi bohaterowie spod północnych ścian

eprasa.pl 0c7443f31f

W minionym roku podjęli się akcji ratunkowych dla łącznie 1090 ludzi. Konkretnych osób, dla których dzień spędzony w Tatrach miał być w ich zamierzeniu tym wyjątkowym. Pełnym wrażeń. Odpoczynku. Z pewnością nikt z nich nie przewidywał tego, że akurat ten dzień może zmienić się w koszmar. Dzięki ratownikom TOPR-u dla znakomitej większości z nich koszmar ten pozostanie już tylko wspomnieniem. Nie wszyscy jednak mieli w ostatnim czasie tyle szczęścia.



FOT. ARCH. TOPR.

Wtorek. 2 stycznia. To jest ten dzień. Sylwia myślała o nim od dłuższego czasu. Znała prognozy. Wiedziała, że przez najbliższe dni w Tatrach będą dodatnie temperatury. Obserwowała komunikaty TOPR-u dotyczące zagrożenia lawinowego. W ostatnich dniach spadło ono do najniższego. To jest więc ten dzień, ta pora. Kobieta pakuje pospiesznie plecak, ubiera sportową kurtkę, naciąga buty i biegnie w stronę ustawionych w pobliżu zakopiańskiego dworca busów. Za pół godziny będzie już u wyjścia doliny.

▶ Godzina szesnasta

Marsz rozpoczyna z impetem. Idzie możliwie szybko. Chce rozbudzić niewyspane i nieprzywykłe do porannego wysiłku ciało. Póki co na szlaku nie widać wielu turystów. Mija pogodną parę staruszków, którzy gdzieś pod świerkiem zrobili sobie właśnie przystanek na herbatę z termosu. Macha im na przywitanie. Nieco dalej idzie ojciec z dwójką synów. Jednego niesie w specjalnym plecakowym nosidełku. Z racji wczesnej pory chłopczyk jeszcze drzemie. Jego starszy brat stara się dzielnie dotrzymać kroku tacie. Idą w milczeniu, koncentrując się na miarowych i głębokich wydechach. Sylwia idzie podekscytowana. Przed nią długi dzień. Pragnie czerpać z niego całymi garściami. Podziwia gęsto rosnące świerki regla dolnego. Nasłuchuje pomruków lasu. Oddycha przyjemnie chłodnym porannym powietrzem gór. Jest szczęśliwa.

Idzie na tyle raźnie, że pokonuje trasę nieco poniżej czasu sugerowanego na mijanych drogowskazach z kolorem szlaku. Na pewno ma w tym udział decyzja o zabraniu lekkiego plecaka. Sylwia ma w nim jedynie kilka kanapek, wodę. I raki. Nówka sztuka. Dopiero co kupione. Jeszcze z niezerwaną metką. Nie ma ani czekana, ani kasku. Ufa jednak, że nie będą jej potrzebne. Chce przecież wejść jedynie na grań. Z lokalnych wiadomości w radio dowiedziała się wczoraj, że śniegu w górach wcale nie jest dużo. Pociesza się w głowie, że na pewno da sobie radę. A w najgorszym wypadku najwyżej zawróci.

Na grani Tatr usadowiły się gęste chmury. Nie widać Zakopanego. Nie widać doliny, którą jeszcze jakiś czas temu przemierzała. Słońce rozpoczyna powolną wędrówkę ku zachodowi. Sylwia wyjmuje telefon. Robi szybko kilka ujęć. Po chwili sprawdza godzinę. Już czternasta. Nie spodziewała się. Sądziła, że nie ma jeszcze nawet trzynastej. Spogląda przed siebie w lewo. Majestatyczny potężny szczyt ośnieżonej Świnicy wydaje się być naprawdę blisko.

eprasa.pl/0c7443f31f

„Dam radę" – myśli i pospiesznie pakując telefon do plecaka, rusza w górę.

Po drodze mija jeszcze dwójkę mężczyzn. Schodzą ze szczytu. Spoglądają dyskretnie na wchodzącą na górę kobietę. Wiedzą, że jest już dość późno na wejście. Za nieco ponad godzinę zacznie się ściemniać. Przy dzisiejszej pochmurnej pogodzie wrażenie ciemności może być jeszcze spotęgowane. Może przyjść jeszcze szybciej niż zazwyczaj. Mimo to mężczyźni nic się nie odzywają.

Godzina szesnasta. Sylwia dociera na jeden z dwóch wierzchołków Świnicy. Prawdopodobnie nie wie, że jest jeszcze drugi. Jest jednak zbyt podekscytowana, aby szukać tego teraz na mapie. Ponownie wyjmuje telefon, by zrobić kilka zdjęć. Udało się. Jest na słynnej wielkiej Świnicy. Duży wyczyn. Stojąc na wierzchołku spogląda przed siebie. Wzrok Sylwii biegnie nieco w dół – ślizgając się wzdłuż skalistej grani prowadzącej do sąsiedniego masywu Kasprowego Wierchu. Za widocznym stąd obserwatorium meteorologicznym widać czerwonawą łunę. Pomarańczowociemnawa toń nieba momentalnie wybudza kobietę z entuzjastycznego letargu. Sylwia raz jeszcze sięga po telefon. Na wyświetlaczu pojawia się godzina szesnasta. „Późno!" – myśli kobieta.

Prócz niej na szczycie nie ma już nikogo. „Spokojnie. Dam sobie radę. Przecież weszłam. Wystarczy teraz iść tą samą drogą" – tłumaczy sobie. „Gdzie jednak jest ten czerwony znak szlaku? Przecież już dawno powinnam go minąć? Czyżbym poszła nie tędy, co trzeba? Obłe kamienie świadczyłyby jednak, że także tędy prowadzi jakaś droga. A może to tylko złudzenie? Może to przez ten brak słonecznego światła wszystko wygląda inaczej? Może?".

Z każdą kolejną minutą Sylwia czuje się jednak mniej pewna siebie. Już wie, że to na pewno nie jest szlak, którym wchodziła na szczyt. Musiała coś przeoczyć. Z góry trasa wygląda zupełnie inaczej niż z dołu. Tatrzańskie ciemności zapadają wkoło coraz szybciej. Kobieta decyduje się schodzić dalej. Zdaje sobie sprawę, że musi być teraz maksymalnie uważna. I skupiona na każdym stawianym kroku. Ostatnimi czasy głośno było w mediach o kilku poważniejszych wypadkach w polskich Tatrach. Sylwia wolałaby nie być kolejną.

Chcąc dodać sobie animuszu, spogląda w stronę łuny unoszącej się nad mgielną chmurą otaczającą Zakopane. Wybiera ten właśnie kierunek zejścia. Nagle jej stopa traci kontakt z podłożem. Kobieta przez chwilkę zsuwa się po kamieniu. Na szczęście nie robi sobie krzywdy. Wstając, czuje, jak drżą jej łydki. Nie wie, czy to zmęczenie, czy już raczej objaw zdenerwowania. Panika narasta. Przed nią ciemna



eprasa.pl 0c7443f31f



FOT. STEFAN CZERNIECKI.

toń tatrzańskiej doliny. Wielka pustka. I wizja samotnego wieczoru w górach. A może i nocy.

Decyzje

Godzina 16:30. Zakopane. Czterysta metrów od słynnej Wielkiej Krokwi. Po prawej stronie ulicy widać potężny drewniany budynek. W tej chwili spowity już zapadającym mrokiem. Przy jednym z brązowych okien palą się światła. Widać mężczyznę odbierającego telefon. Właśnie przyszło zgłoszenie. Dzwoni kobieta. Stoi spanikowana w pobliżu wierzchołka Świnicy. Mówi zdenerwowanym głosem, że nie potrafi znaleźć szlaku w dół. Doświadczony ratownik próbuje uspokoić kobietę. Łagodnym głosem podpowiada jej, którędy wiedzie szlak ze szczytu. Wypytuje o szczegóły topograficzne. O to, co teraz widzi kobieta. Sylwia nie zna jednak dobrze Tatr. Tym bardziej masywu Świnicy. Czuje, że wszystko jest tu dla niej nowe. W dodatku teraz, gdy zaczyna się noc, ta nowość przybiera jeszcze mniej dostępny wymiar.

Ratownik, upewniwszy się o braku wystarczającej ilości sprzętu u kobiety oraz o jej dość marnym rozeznaniu topograficznym, decyduje się o wysłać na pomoc TOPR-owców. W krótkim czasie z zakopiańskiej siedziby wyrusza pod Świnicę dwóch ratowników. Ubiega ich także kolega pełniący swój dyżur w schronisku Murowaniec na Hali Gąsienicowej.

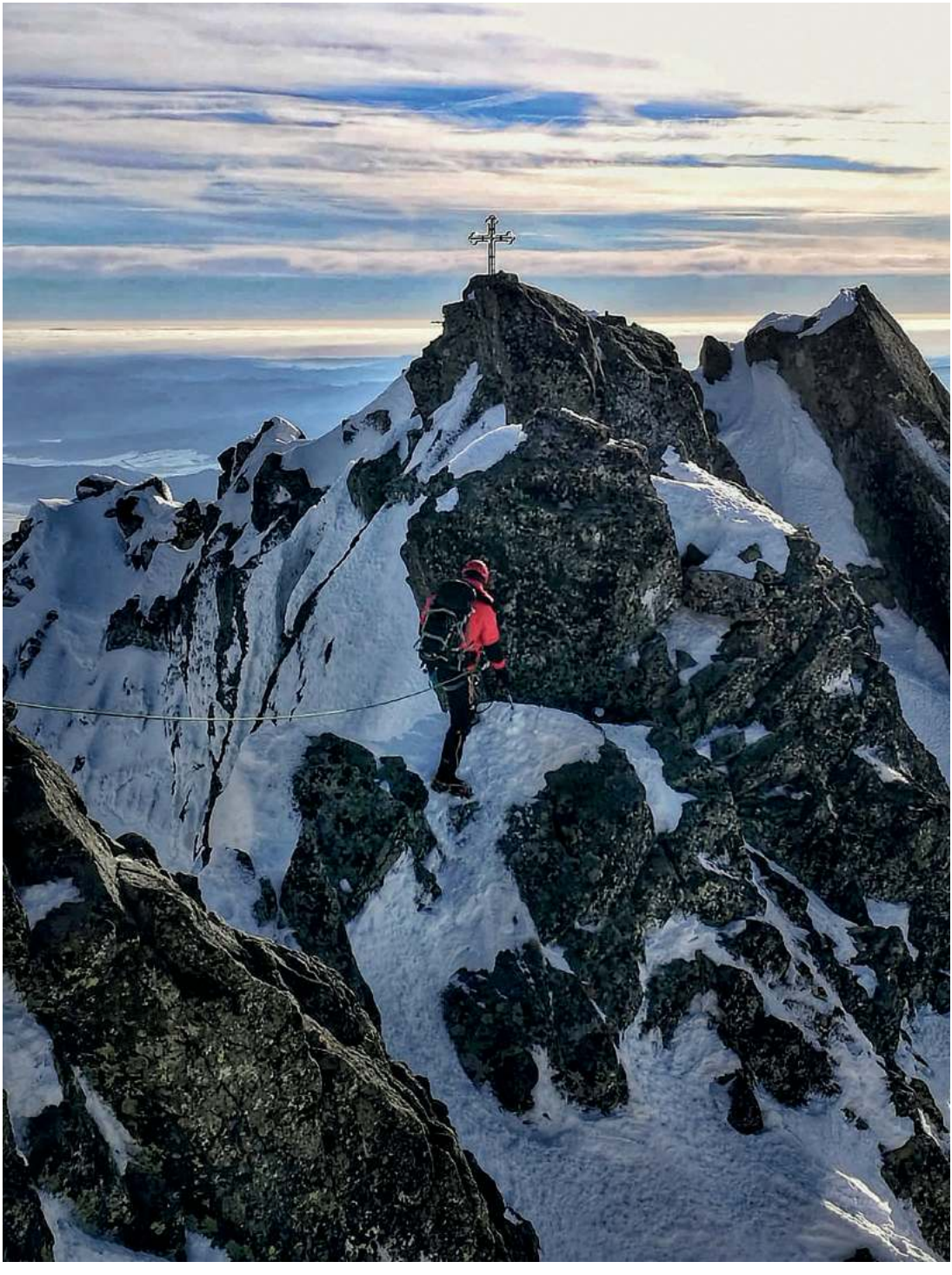
Po dotarciu na miejsce znajdują kobietę kilkadziesiąt metrów poniżej tzw. wierzchołka taternickiego. Uwięziona w północnej ścianie Świnicy kobieta jest bardzo spanikowana. Zapytana o posiadany sprzęt wskazuje na plecak. Z nerwów nie założyła nawet raków. Nadal są w sklepowym pudełku, z niezdjętą metką. Prawda jest jednak taka, że gdyby kobieta – nawet w rakach – zdecydowała się na dalsze zejście, najprawdopodobniej spadłaby z kilkudziesięciometrowej ściany. W tym wypadku telefon do TOPR-u był najlepszą decyzją, jaką podjęła tego dnia. W przeciwieństwie do tej sprzed kilku godzin. Gdy to spoglądając na zegarek, nie zdecydowała się na zejście, lecz kontynuowała wspinaczkę na szczyt. Tym razem się udało. Miała szczęście.

Ratownicy za pomocą technik linowych wydostają turystkę z powrotem na grań. Po czym sprowadzają bezpiecznie do schroniska. Całą akcję zakończą o drugiej w nocy.

Tragedia nad Czarnym Stawem

Okres przełomu roku to dla tatrzańskich ratowników zwykle gorący czas. Wśród przybywających pod Tatry ludzi są zarówno doświadczeni zimową specyfi-

eprasa.pl 0c7443f31f



FOT. AREK CEREMUGA.

eprasa.pl 0c7443f31f

ką gór turyści, jak i tacy, dla których wizyta w zaśnieżonych Tatrach to pierwsze spotkanie z górami. Część przybywa na karnawałowe szaleństwo, część na zimowe ferie z dziećmi. Nie wszyscy, którzy wybierają się w wysokie góry, mają świadomość zimowych niebezpieczeństw. Dla ratowników jednak nie ma to znaczenia. Ich cel jest prosty: uratować możliwie najwięcej osób. Każdego, kto tej pomocy potrzebuje.

Piątkowe popołudnie. W dyżurce budynku przy ulicy Piłsudskiego 63a słychać kolejny telefon. Dzwoni kobieta. Poruszonym głosem mówi, że stoi właśnie w pobliżu wierzchołka Rysów. Przed chwilą jej dwudziestojednoletnia koleżanka poślizgnęła się i spadła w dół. Kobieta, pomimo wielu prób, nie potrafi nawiązać z nią kontaktu telefonicznego.

W kierunku szczytu natychmiast wyrusza ze schroniska nad Morskim Okiem dwóch ratowników. Z zakopiańskiej centrali TOPR idzie kolejnych trzynastu. Niestety. Po godzinie akcji wszystko staje się jasne. W okolicy Czarnego Stawu ratownicy odgłoszenie od białoruskiego turysty. Mężczyzna poprzez numer ratunkowy 112 informuje, że w trakcie podejścia na Rysy jego kolega zsunął się po twardym śniegu w kierunku Czarnego Stawu. Do opisanego miejsca z zakopiańskiej centrali prędko wyjeżdża trzech ratowników.

Po dotarciu okazuje się, że poszukiwany turysta żyje. Poślizgnąwszy się na pokrytym mokrym śniegiem terenie pod szczytem Rysów, spadł z około trzystu metrów w dół, sunąc po śnieżno-skalnym terenie. Mężczyzna ma liczne obrażenia. W tym krwawiącą głowę. Ratownicy prędko wzywają śmigłowiec, którym poszkodowany zostanie wkrótce przetransportowany do zakopiańskiego szpitala.

W międzyczasie okazuje się, że zarówno poszkodowany, jak i jego kompan, który wezwał pomoc, nie posiadają żadnego sprzętu do uprawiania zimowej turystyki górskiej. Żaden z nich nie ma na wyposażeniu nawet raków. O czekanie i kasku nawet nie wspominając.

KAŻDY, KTO PRZYNAJMNIEJ RAZ W ŻYCIU ZOBACZYŁ ODLUDNE OŚNIEŻONE TATRY POD BŁĘKITNYM NIEBEM, NIE BĘDZIE MIAŁ WĄTPLIWOŚCI. TO MIEJSCE, W KTÓRYM CHCE SIĘ BYĆ. DO KTÓREGO CHCE SIĘ WRACAĆ.

najdują zaginioną. Bez oznak życia. Po upadku z ponadtysiącmetrowego stoku turystka doznała śmiertelnych obrażeń. TOPR-owcom pozostaje jedynie przetransportować ciało do schroniska.

▶ Trzysta metrów w dół

– Ludzie pchają się na tę górę pomimo naszych ostrzeżeń i altertów – ubolewa Grzegorz Kubicki, ratownik TOPR. – Co gorsza, wygląda na to, że te ostatnie wypadki na Rysach niczego im nie uświadomiły.

Naraz naszą rozmowę przerywa telefon. Do siedziby TOPR dzwoni właśnie dyżurny ratownik ze schroniska nad Morskim Okiem. Twierdzi, że pod Rysami widziano przed chwilą młodego mężczyznę. Wspinającego się samotnie pod górę. Pomimo panującego dziś tam porywistego wiatru i załamania pogody.

O ile, jak się wkrótce okaże, młodemu mężczyźnie nic się nie stało, o tyle w tym samym rejonie w nocy z 3 na 4 stycznia komuś innemu już tak. Oto przed czwartą nad ranem do centrali Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego przychodzi

– Ludzie potrafią pójść w Tatry zimą bez żadnego przygotowania – stwierdza Kubicki. – Część wybiera się na zaśnieżony szlak bez sprzętu. A nawet jeśli mają, to i tak nie potrafią z niego korzystać.

▶ Stuptuty, czekan i asekuracja

– Ja to w ogóle staram się nie czytać szczegółów tych tragicznych wypadków – zdradza w przypływie szczerości Arkadiusz Ceremuga, taternik, twórca strony „Tatry poza szlakiem". – Zbyt bardzo to przeżywam. Zdaję też sobie sprawę, że ci ludzie tracą swoje życie naprawdę nieświadomie. O ile jeszcze, jak idziesz pod górę, idziesz trochę jak kot, jakby po drabinie. O tyle, kiedy schodzisz.... Wtedy dopiero zaczynają się problemy. Wystarczy wówczas zwykle chwila nieuwagi.

Ceremuga zdradza, że sam chodząc po Tatrach zimą przekonuje się, jak przygotowani są ludzie wychodzący dziś na szlak. – Źle założone stuptuty. Czekan nie w tej ręce co trzeba. Brak jakiejkolwiek asekuracji – wymienia na jednym wdechu. – I ten sprzęt... Bez urazy, ale na moje oko 60 procent tury-

eprasa.pl 0c7443f31f

stów zaopatruje się w popularne sprzęty z dużych galerii handlowych. A między kupionymi tam rakami za 150 zł a takimi za 400 zł naprawdę jest kolosalna różnica. W tych pierwszych zwykle pękają łączniki pod butem. I wtedy przy jakimkolwiek niebezpiecznym zdarzeniu rak momentalnie spada z nogi.

– Do tego wszystkiego, gdy widzę delikwenta, który idzie po śniegu w dół na wprost, bez zakosów, od razu łapię się za głowę, modląc się, żeby nie skończyło się to tragedią – kontynuuje taternik. – Po śniegu idziesz po skosie, bo jak ci ujedzie jedna noga, to momentalnie możesz się położyć na stoku. Z moich wyliczeń i doświadczenia wynika, że na taką reakcję masz maksymalnie 3 sekundy. Jak się nie zatrzymasz, to po tym czasie nabierasz takiego pędu, że już później nie da rady. Nie zdołasz się zakotwiczyć czekanem na tyle, żeby wyhamować. Żeby cię nie obróciło. Dlatego nigdy nie schodzimy po śniegu wprost. Dlatego nie wolno mieć przywiązanego czekana do jednej ręki. Dlatego trzymasz czekan jak najbliżej podłoża, najlepiej tuż pod udem. Żeby w razie upadku, szybko móc usiąść na śniegu.

Dziewiętnaścioro nie wróciło...

Każdy, kto przynajmniej raz w życiu zobaczył odludne ośnieżone Tatry pod błękitnym niebem, nie będzie miał wątpliwości. To miejsce, w którym chce się być. Do którego chce się wracać. Wszak nigdzie indziej biały puch nie wygląda tak majestatycznie jak właśnie tutaj. Wszak nigdzie indziej śnieżna aura nie niesie ze sobą takiego nagromadzenia fascynacji i piękna zarazem. Nigdy więcej w ciągu roku Tatry nie wyglądają tak wyjątkowo jak teraz. Właśnie zimą. Gdy są spowite białą pierzyną. Stając się miejscem na wskroś elitarnym. Trudno dostępnym. A przez to też śmiertelnie niebezpiecznym.

Prowadzone przez TOPR statystyki nie pozostawiają wątpliwości. W polskich górach nadal ginie wielu. Można by rzec, że zdecydowanie zbyt wielu. Choć i tak gdyby nie bohaterska postawa i profesjonalizm ratowników tych przypadków byłoby zapewne znacznie więcej.

Lada dzień na stronie TOPR-u znajdą się oficjalne wyniki tatrzańskich wypadków 2022 roku. Dowiemy się z nich, że w minionym roku śmierć zastała w Tatrach 19 ludzi. Że łącznie ratowanych było aż 1090 (co daje średnią trzech przypadków na dzień!). Że dla 312 turystów przygoda z Tatrami zakończyła się bardzo poważnymi urazami.

Jeśli zestawimy te wyniki z latami ubiegłymi, wyjdzie nam, że liczba śmiertelnych wypadków w najwyższych górach w Polsce mieści się (poza wyjątkowymi latami 2020 i 2021, gdy wyniki były dość skrajne) w zakresie między 15 a 21. W 2016 roku śmierć w polskich Tatrach poniosło 21 osób, w 2017 roku – 15, w 2018 roku – 16, w 2019 roku – 18, w 2020 roku – 25, zaś w 2021 roku – 13 osób. Tegoroczny wynik mieści się zatem w tej tendencji.

Ostrzeżenia dla roztropnych

– Nie ma co ukrywać. W góry z roku na rok przyjeżdża coraz więcej ludzi – zauważa Kubicki. – Widać to po statystykach biletowanych wejść TPN-u. Niepokojące jest jednak to, że pomimo coraz lepszego dostępu do informacji, część z tych ludzi idzie w góry jak na zgubienie. Ostatnie dramatyczne przypadki na Rysach są tego najlepszym przykładem. I właśnie tutaj, na najwyższej górze w polskiej części Tatr, mamy obecnie zdecydowanie największy problem. Alerty były i są nadal. Dziś mamy wiatr i załamanie pogody. A sam pan słyszał, jak przed chwilą kolega dzwonił, że ktoś właśnie wbija na Rysy. Bo przecież trzeba zrobić sobie zdjęcie na szczycie. Bo przecież trzeba się pochwalić znajomym. Cisną więc dalej na te Rysy. Choć przecież dookoła tyle ładniejszych szczytów.

Co ciekawe w pierwszym tygodniu tego roku to wcale nie zagrożenie lawinowe ani nie trudne warunki śniegowe stały się głównym zagrożeniem na czerwonym szlaku prowadzącym na najwyższy szczyt w kraju. – Tam teraz jest naprawdę mało śniegu – wyjaśnia Kubicki. – A jeśli już, to jest on dość twardy. Największym zagrożeniem jest dziś na Rysach śliska powierzchnia. Jak się potkniesz, to po prostu lecisz.

W pierwszą niedzielę roku padł w Tatrach nowy styczniowy rekord ciepła. Na stacji meteorologicznej na Kasprowym Wierchu odnotowano temperaturę 8,1 st. Celsjusza. To o 0,9 st. więcej niż w 1975 roku. Skutkiem gwałtownego ocieplenia nagromadzony w górach śnieg szybko zaczął topnieć. Wówczas momentalnie zrobiło się naprawdę ślisko.

– Obecnie nawet w tej słynnej rynnie pod Rysami nie ma śniegowego depozytu – wyjaśnia Ceremuga. – Zwykle było tak, że przez główną grań przewalał się śnieg i kumulował w rysie. Powstawały wówczas deskowate lawiny. Teraz nic tam nie ma. Jedynym zagrożeniem pozostaje pośliźnięcie się.

Niestety tych poślizgnięć jest w ostatnim czasie bardzo dużo. Na szczęście nie wszystkie skończyły się tak tragicznie jak w przypadku opisywanej wyżej dwudziestojednolatki. – Próbujemy edukować ludzi. Ostrzegamy. Publikujemy wiadomości z naszych akcji ratunkowych na Facebooku. Ale jak widać, to niewie-

eprasa.pl 0c7443f31f



FOT. ARCH. TOPR.

eprasa.pl 0c7443f31f



FOT. ARCH. TOPR.

eprasa.pl 0c7443f31f

le daje – dodaje ze smutkiem w głosie Kubicki. – Odnoszę wręcz wrażenie, że nasze alerty czytają głównie ci, którzy nauczeni doświadczeniem i tak w góry w takich warunkach nie pójdą. Do pozostałych lekkoduchów nasze ostrzeżenia po prostu nie dochodzą.

Efekt stadny

– Czy zwracam uwagę ludziom, gdy idę samodzielnie w góry bądź gdy prowadzę swoich klientów jako przewodnik? – powtarza głośno moje pytanie Grzegorz Kubicki, chcąc jakby dać sobie więcej czasu na zebranie myśli. Po chwili ciszy odpowiada jednak zdecydowanie. – Nie, uwagi nie zwracam. Ludzie i tak będą wiedzieć lepiej. Zresztą gdybym miał każdemu zwracać uwagę, nigdzie bym w tych moich wyjściach nie doszedł.

Zaraz przywołuje inny przykład nagminnego problemu pojawiającego na zimowych szlakach tatrzańskich. – Wyobraźmy sobie taką sytuację. Zasypuje nam szlak. Dajmy na to, że na Szpiglasową Przełęcz. I pójdzie pan tam jako pierwszy, obierając przy okazji najgorszą z możliwych tras. Torując sobie drogę przez najbardziej niebezpieczny teren, w najbardziej świeżym śniegu... To i tak kolejnych piętnastu-dwudziestu ludzi idących potem tym podejściem, obierze sobie właśnie ten wytorowany przez pana szlak. Nie zastanawiając się wcale nad tym, czy tę trasę torował ktoś, kto wiedział, gdzie iść, czy raczej szukał szlaku. To taki efekt stadny – zawiesza głos ratownik. – I ten sam motyw jest z chodzeniem na Rysy. Ludzie sobie jakoś je upodobali. Bo najwyższe, bo każdy słyszał.... I tam *de facto* mamy dziś najwięcej problemów.

– A po takich wypadkach, jak te ostatnio odnotowane i nagłośnione w mediach, nie mają panowie chwili oddechu? – dopytuję. – Spowodowanego tym, że ludzie nabierają jednak do tych Rysów respekt i przez kilka dni odnotowujecie mniejszą liczbę wypadków na szlaku?

– Nie, zwykle jest dokładnie na odwrót – odpowiada mój rozmówca. – Jak ludzie usłyszą w mediach o Rysach, to zaraz się zaczyna temat. I każdy chce spróbować swoich sił. I wtedy się zaczyna...

Zamykać-nie zamykać? Płacić-nie płacić?

Przełom roku i kolejne nagłośnione wypadki w Tatrach sprzyjają aktualizacji tematu zamykania wzorem Słowaków także polskiej części Tatr na zimę. Wystarczy przyjrzeć się najbardziej poczytnym z tatrzańskich forów internetowych, aby zobaczyć, jak głośny to obecnie temat.

– Umówmy się, że tam na Słowacji to prawo jest zupełnie martwe i nieegzekwowane – komentuje sprawę zamykania gór u naszych południowych sąsiadów Ceremuga. – Nikt tam tego nie sprawdza. I u nas zresztą byłoby podobnie. Ludzie i tak chodziliby po górach.

– Żyjemy w wolnym kraju – uzupełnia wątek ewentualnego zamyka gór zimą dla ruchu turystycznego Kubicki. – Pozostawmy więc tę wolność ludziom. Codziennie publikowane są komunikaty lawinowe i turystyczne. Do tego oferta różnego rodzaju szkoleń: od lawinowych po szkolenia z zimowej turystyki górskiej. Wszystko to daje dziś turystom możliwość przygotowania i zaplanowania wycieczki tak, aby do minimum zredukować ryzyko. Ryzyko, którego w górach w całości i tak nigdy nie wyeliminujemy. Pamiętajmy także o przewodnikach górskich, którzy zabierając mniej doświadczonych ludzi w góry, są w stanie świetnie zbalansować ich oczekiwania z panującymi danego dnia warunkami.

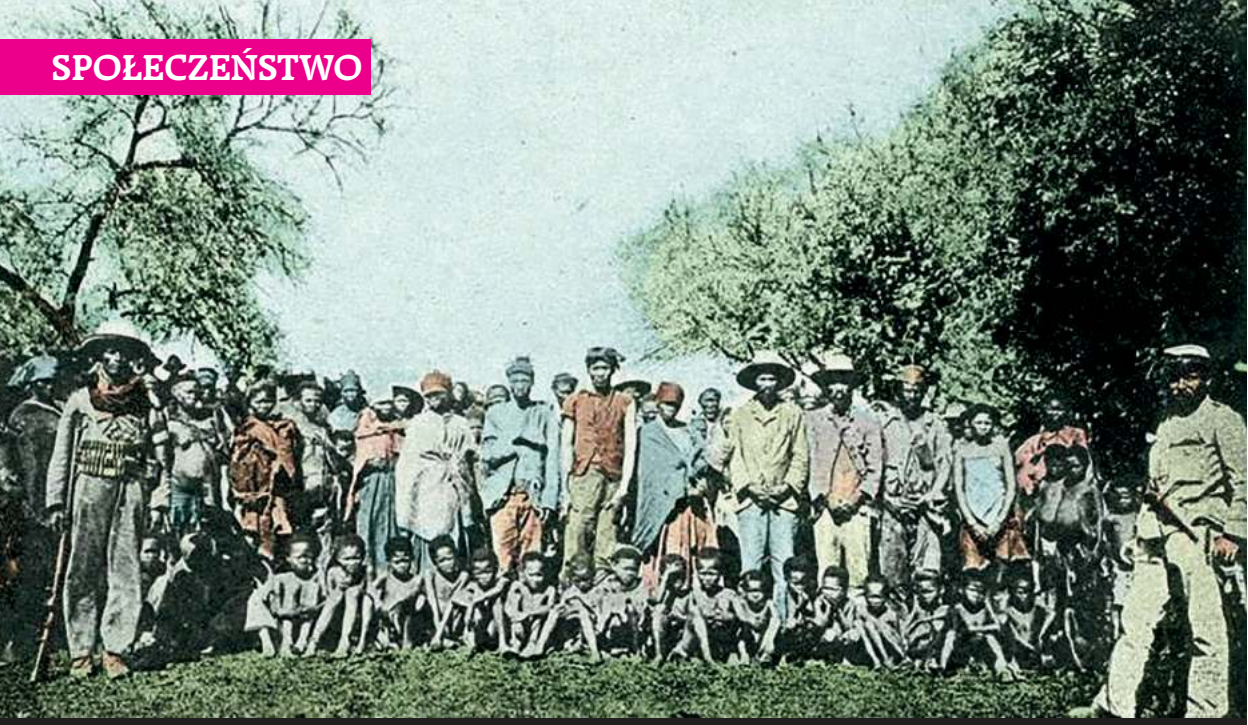
Co zaś z powracającym jak bumerang pomysłem o obowiązkowym ubezpieczeniu turystów wybierających się w góry?

– W tej materii także panuje duże niezrozumienie – ze spokojem wyjaśnia Kubicki. – Zwolennicy obowiązku ubezpieczeń podają nam za przykład Słowaków. A mało kto z nich wie, że wpływy z odpłatności za akcje ratownicze u naszych południowych sąsiadów nigdy jeszcze nie przekroczyły 8 proc. budżetu tamtejszej służby ratunkowej. To *de facto* mniej niż fundusze, jakie pozyskujemy jako TOPR z 15 proc. udziału ze sprzedaży biletów do parku. Tak naprawdę główny koszt naszej służby to koszt utrzymania jej w gotowości. Najważniejsze w naszej pracy jest to, by w razie wypadku w jak najkrótszym czasie nasi ratownicy mogli wyruszyć do akacji. Po pierwsze dobrze wyszkoleni, a po drugie odpowiednio wyposażeni. Koszt naszej służby jest więc niezależny od tego, czy podejmujemy się jakiejś akcji (jak to chcą niektórzy: opłacanej przez poszkodowanego), czy nie. W tej sytuacji płatne akcje ratunkowe nic by tu nie zmieniły.

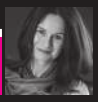
Sami ratownicy nie chcą się więc ponownie odnosić do wyjaśniania opinii publicznej kwestii odpłatnych akcji ratunkowych w polskich Tatrach. Tym bardziej, że robili to już w przeszłości wielokrotnie. Zamiast dywagować, wolą raczej skupić się na służbie. Tym bardziej, że w Tatrach podniesiono właśnie alert lawinowy. Prognozy mówią o obfitych opadach śniegu. I załamaniu pogody.

– Muszę kończyć – podsumowuje naszą rozmowę Kubicki. – Właśnie przyszło wezwanie. Wypadek pod Świnicą. Pięć osób naraz. Sam pan widzi... ■

eprasa.pl 0c7443f31f



Olga Doleśniak-Harczuk



PUDŁA PEŁNE KOŚCI

O tym, że zalegające w magazynach i archiwach niemieckich instytutów ludzkie szczątki przywiezione do Cesarstwa Niemieckiego na przełomie XIX i XX wieku z ówczesnych kolonii w Afryce i rejonu Pacyfiku stają się powoli ciężarem dla dzisiejszych Niemiec, zaczęto mówić otwarcie w okolicach 2008 roku. To również wtedy coraz śmielej środowiska zainteresowane rozliczeniem Niemiec ze zbrodni czasu kolonializmu, popełnionych na terenach dzisiejszej Namibii, zaczęły domagać się zadośćuczynienia.

eprasa.pl 0c7443f31f

Pierwszym krokiem ku pewnej rehabilitacji i okazaniu ludzkiego odruchu miał być zwrot zidentyfikowanych szczątków ludzkich państwom funkcjonującym dziś w granicach dawnych kolonii. I Niemcy faktycznie co pewien czas przekazują te szczątki delegacjom państwowym, tylko że do tej pory udało się zidentyfikować i zwrócić zaledwie ułamek upiornych zbiorów. Tysiące czaszek i kości wciąż czekają na nazwanie i wyzwolenie z tekturowych pudeł. A z początkiem nowego roku ta upiorna i smutna kolekcja jeszcze się powiększyła.

17 stycznia br. Instytut Biologii Wolnego Uniwersytetu w Berlinie (FU) podał do wiadomości, że w zbiorach zoologicznych uczelni natrafiono na ludzkie kości. Pochodzą one najprawdopodobniej z tzw. kolekcji Luschana nazwanej od nazwiska austriackiego antropologa Felixa von Luschana, który w latach 1854–1924 zbierał i badał pod kątem rasowo-ideologicznym kości pochodzące m.in. z dawnych afrykańskich kolonii Cesarstwa Niemieckiego. Władze uniwersytetu zobowiązały się ustalić dokładne pochodzenie szczątków ludzkich i sprawę wyjaśnić. Przy okazji media na nowo rozpalił temat makabrycznego dziedzictwa i tego, jak się z nim obchodzić.

Pleśń i mikroby

Szacuje się, że tylko w Państwowych Pruskich Zbiorach Muzealnych znajduje się dziś jeszcze około 6 tys. ludzkich czaszek, większość z nich w Berlinie. Pochodzą one głównie z terenów byłych niemieckich kolonii w Afryce i rejonie Pacyfiku. Od 2017 roku trwają prace nad identyfikacją czaszek, co nie jest zadaniem prostym, ponieważ zbiory były przez ostatnie sto lat wielokrotnie przenoszone, część po drodze uległo zniszczeniu, nie wszystkie opisano. Zainteresowanie szczątkami ludzkimi będącymi w posiadaniu niemieckich instytucji zaczęło się w 2011 roku, kiedy berlińskie Charité przekazało Muzeum Prehistorii i Wczesnej Historii szczątki z tzw. Zbioru-S (od niemieckich słów Schädel – czaszka i Skelett – szkielet), z których wiele pochodziło z dawnych kolonii Cesarstwa Niemieckiego w Afryce. Zbiory te zgromadził Felix von Luschan, a w latach 20. XX wieku i w drugiej połowie XX wieku magazynowano je w pomieszczeniach należących dziś do Uniwersytetu Humboldtów.

W 2015 roku część Zbioru-S trafiła do magazynów Fundacji Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego. Czaszki zapakowano w białe papierowe torby, niektóre były wcześniej opatrzone numerem wypisanym tuszem, inne nie miały numeru, jeszcze inne wyróżniono numerem i dodatkowo literami „R.V.", co miało wskazać, że pochodzą ze zbiorów Rudolfa Virchowa, niemieckiego patologa i antropologa, jednego z najaktywniejszych również społecznie i politycznie mieszkańców Berlina, któremu miasto zawdzięczało nie tylko bardziej higieniczne warunki w halach targowych, lecz także nowoczesny system kanalizacji. Virchow w latach 1821–1902 gromadził czaszki na potrzeby pracy badawczej Berlińskiego Towarzystwa Antropologii, Etnologii i Prehistorii. Po jego śmierci pieczę nad zbiorami przejął Felix von Luschan, to on oznaczył czaszki literami „R.V." Zresztą do dziś kolekcja Virchowa za pewną opłatą jest udostępniana naukowcom z całego świata, szczególnym zainteresowaniem zwłaszcza cudzoziemców cieszą się czaszki z neolitu.

Pochodzenia wielu innych z uwagi na brak dokumentów już nie uda się ustalić. Wiele czaszek latami przetrzymywano w nieodpowiednich, wilgotnych warunkach, więc zapleśniały i padły ofiarą mikrobów. Jak tłumaczą pracownicy Fundacji, zalegające przez dziesięciolecia w magazynach kości „były ignorowane", a później nagle padło pytanie, co z nimi począć: zwrócić – jeżeli tak, to komu? Pochować, dalej przechowywać? Przełom nastąpił na jesieni 2017 roku wraz z pilotażowym projektem Fundacji mającym wyjaśnić niejasności wokół tysiąca czaszek przywiezionych z terenów Niemieckiej Afryki Wschodniej. Model działania zastosowany w przypadku tego pilotażu zaczęto wdrażać następnie w innych miejscach Niemiec, ale głównym polem badań wciąż pozostaje Berlin. W jaki sposób szczątki trafiły do Niemiec? Te mające tzw. kontekst kolonialny zazwyczaj trafiały do Europy w makabrycznych okolicznościach. Źródła sprzed ponad stu lat wskazują, że część czaszek została przywieziona już w formie „oczyszczonej" (tak było chociażby po masakrze ludów Herero i Nama, kiedy kobietom przetrzymywanym w obozie koncentracyjnym na Shark Island kazano gotować ludzkie szczątki we wrzątku i przy pomocy kawałka szkła oddzielać je od ciała), inne trafiały w całości zapakowane w metalowe puszki (ich odbiorcy na miejscu często narzekali, że w transporcie się odciskają i odkształcają), są też źródła mówiące o wykopywaniu szkieletów z grobów, przy czym zleceniodawcy w instrukcjach dla grabarzy prosili, by „od razu zaznaczać, czy szkielet należy do kobiety, czy mężczyzny, i by lepiej nie brać tych dziecięcych, bo mają znikome znaczenie dla badań".

Ambitna studentka

Odkryte na początku tego roku w Instytucie Biologii Wolnego Uniwersytetu w Berlinie szczątki ludzkie również zostały już przekazane Fundacji Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego. To tam prowadzi się od lat badania nad pochodzeniem szczątków z kolekcji Luschana, zaś cała historia z najnowszym odkryciem miała swój początek w listopadzie 2021 roku za sprawą badań prowadzonych przez studentkę biologii, Vanessę Schulmann. Kobieta przy wsparciu swoich wykładowców

FOT. WIKIPEDIA.

eprasa.pl 0c7443f31f

zdołała wyodrębnić ze zbiorów zoologicznych, a następnie opisać około 20 ludzkich czaszek, a także kości szczęki, zęby, kości udowe, kości podudzi, kości stóp, kości dłoni i kilka prawie całkowicie zachowanych ludzkich szkieletów. Ze względu na zachowaną dokumentację i wygląd kości naukowcy od razu podejrzewali, że mogą one pochodzić z czasów kolonialnych, co skonsultowano z profesorem anatomii Andreasem Winkelmannem. Naukowiec wstępnie ocenił, że jedne z kości ramienia i żuchwy mogą pochodzić ze zbioru Luschana. To te szczątki są przedmiotem aktualnych badań. Vanessa Schulmann podczas debaty, jaka odbyła się 17 stycznia w związku z ogłoszeniem informacji o znalezisku, wyraziła nadzieję, że „projekt wywoła dyskurs na temat odpowiedzialności naukowej i społecznej w badaniach i nauczaniu". – My, biolodzy, którzy pracujemy z ludzkimi szczątkami lub uczymy się na nich, również ponosimy odpowiedzialność społeczną i etyczną – podkreśliła. Ważne słowa, wiedząc o tym, że szczątki pozyskane w koloniach były wykorzystywane w Niemczech na potrzeby nauki jeszcze w początku lat 90., a tzw. preparaty ludzkie pozyskane w zbrodniczy sposób podczas II wojny światowej jeszcze długie dekady po wojnie potrafiły służyć niemieckim badaczom.

W ubiegłym roku dr Karl-Heinz Roth wspominając w rozmowie z „Gazetą Polską Codziennie" własne doświadczenia ze studiów medycznych, z połowy lat 60. XX wieku, opowiadał: „Kiedy wydawano akta norymberskiego procesu lekarzy, zajmowaliśmy się w naszej grupie badawczej również setkami odnalezionych preparatów ludzkich mózgów, które pobrano od pomordowanych pacjentów oddziałów psychiatrycznych, ludzi niepełnosprawnych poddawanych eutanazji, ale i tych, na których dokonano egzekucji w więzieniach. Jeden z moich ówczesnych wykładowców przyznał któregoś dnia na zajęciach, że żałuje, iż w Niemczech już nie można robić preparatów z tkanek więźniów straconych w egzekucjach, ponieważ jakość pozyskiwanych obecnie preparatów jest... o wiele gorsza. Ta deklaracja wbijała w fotel". Warto pamiętać, że pierwszym poligonem doświadczalnym dla przyszłych nazistowskich zbrodniarzy w kitlach była Afryka.

▶ Co dalej?

Od 2008 roku, kiedy sprawa magazynów pełnych szczątków ludzkich zaczęła być głośna, państwa takie jak Australia i Namibia zapukały do wrót Berlina, upominając się o zwrot czaszek swoich przodków. Niemcy zdali sobie jednak sprawę z tego, że archiwa są w większości nieopisane, ustalenie pochodzenia poszczególnych szczątków może być trudne, a nawet niemożliwe. Z biegiem lat zdołano jednak zidentyfikować część czaszek, w pierwszej kolejności skupiając się na tych, które na 100 proc. można było uznać za czaszki należące do ludów Herero i Nama więzionych w obozie koncentracyjnym na Shark Island. W 2011 roku tysiące Namibijczyków zebrało się na lotnisku w Windhuk, by oddać hołd trumnom z dwudziestoma czaszkami Hereri i Nama przekazanych przez Niemcy. To była pierwsza tego typu sytuacja.

W 2013 roku Niemcy przekazali Australii szczątki 33 rdzennych mieszkańców tego państwa, rok później oddano Australii kolejne szczątki 14 osób. Tego samego roku zwrócono też jedną czaszkę Tasmanii, a w 2014 roku po raz drugi odbyła się ceremonia przekazania czaszek Namibii. W przypadku Namibii od początku coś zgrzytało. A to pani minister wyznaczona do przekazania czaszek wykazała się przykrą dla Namibijczyków niefrasobliwością (nie ma to jak na quasi-pogrzebie rozpływać się nad ogromnym zainteresowaniem Niemców Namibią jako celem turystycznym), a to wśród czaszek przygotowanych do wysłania nie znalazła się ta najbardziej wyczekiwana, mająca należeć do jednego z wodzów. Jeszcze innym razem obrażono Herero i Nama, nie zapraszając ich do stołu negocjacyjnego. Powiedzieć więc, że relacje niemiecko-namibijskie nie należą do łatwych, to jak nic nie powiedzieć. Abstrahując nawet od wciąż otwartej kwestii zadośćuczynienia finansowego Namibii za zbrodnie armii Cesarstwa Niemieckiego popełnione na Herero i Nama, bo umowa została parafowana, ale nie podpisana, a zaproponowane przez Berlin 1,1 mld euro, i to rozłożonych na 30 lat, nie satysfakcjonuje reprezentantów obu poszkodowanych ludów. Owszem, Niemcy zamierzają w Namibii zainwestować 10 mld euro w infrastrukturę niezbędną do wytwarzania energii z wiatru i słońca, a docelowo zielonego amoniaku do produkcji eko-wodoru, a prezydent Namibii z pewną przewrotnością zaprasza Niemców, by schronili się przed „kryzysem energetycznym" w jego kraju i pracowali zdalnie z Afryki podczas krytycznych ciepłowniczo miesięcy zimowych, ale relacje obu państw są dalekie od ideału. Pamięć o masakrze dokonanej ponad sto lat temu i brak poważnej oferty zadośćuczynienia ze strony Berlina to dwa elementy, które ciążą na stosunkach obu krajów, a każda zwrócona Namibii czaszka wcale nie uzdrawia atmosfery. Wręcz przeciwnie – szczątki powracające na raty w trumnach jeszcze mocniej utwardzają stanowisko Herero i Nama, przypominając o okrucieństwie i cynizmie, który – jak się okazuje – wyceniono na jedną dziesiątą kwoty planowanej inwestycji w zieloną energię. Przy czym stanowiska ludów nie należy mylić ze stanowiskiem rządu, bo ono jest raczej determinowane palącą potrzebą gotówki, stąd zgoda na parafowanie umowy przewidującej zaledwie 1,1 mld euro na poczet „rozwoju" – bo ani zadośćuczynienia, a tym bardziej reparacji, których pierwotnie żądała Namibia, państwo niemieckie nie włączyło do swojego słownika. A jak czegoś nie ma w słowniku, to wyparowuje z dokumentów. ■

eprasa.pl 0c7443f31f



Krzysztof Karnkowski

„1899” – rejs w nieznane, rejs donikąd

Serial „Dark” duetu Barana bo Odara i Jantje Friese był według mnie arcydziełem, którego ich ostatnia produkcja „1899” nie jest w stanie przegonić, choć oszczędna i bardzo ciekawa promocja rozbudziła na to apetyt.

FOT. MAT. PRAS. NETFLIX

eprasa.pl 0c7443f31f

Od premiery trzeciego sezonu „Dark" minęło już ponad dwa i pół roku. Serial, który początkowo sprowadzany był do roli całkiem udanej niemieckiej odpowiedzi na „Stranger Things", szybko wybił się na samodzielność, zdobywając należne uznanie krytyki i sympatię wielu fanów. W chwili pojawienia się ostatnich ośmiu odcinków na Netfliksie było już wiadomo, że to definitywny koniec tej historii. Duet twórców (a także duet w życiu, prywatnie są bowiem małżeństwem), reżyser Baran bo Odar i scenarzystka Jantje Friese rozpoczęli pracę nad dwoma kolejnymi projektami, zaś Netflix próbował skrócić fanom oczekiwanie kilkoma raczej nieudanymi produkcjami, zapowiadanymi jako nawiązania do stylu i klimatu „Dark". Wreszcie, pod koniec zeszłego roku w serwisie pojawiła się pierwsza z zapowiadanych propozycji autorskiej dwójki, „1899". Czy warto było tyle czekać?

Przegląd osobowości

Nie musiało tak być. Nowa produkcja Odara i Friese w swej pierwszej warstwie narracyjnej opowiada o rejsie potężnego okrętu, którym kilka, rozdzielonych od siebie według klasowego klucza grup, udaje się z Europy do Ameryki, swej ziemi obiecanej. Akcja staje się coraz bardziej dziwna od chwili spotkania innego, wcześniej zaginionego okrętu tej samej firmy. Mamy tu kilkunastu bohaterów, różnej pozycji społecznej i narodowości, których losy poznajemy we fragmentach w kolejnych odcinkach. Jest więc chory francuski żołnierz z niedawno poślubioną, lecz niekochaną i niepożądaną żoną, a także z tajemniczym czarnoskórym cieniem; mamy rodzinę duńskich chłopów, przeżywających coś w rodzaju fałszywej religijnej ekstazy; mamy ukrywającą swą tożsamość i orientację parę męsko-męską; jest też młoda Azjatka z surową opiekunką, a *de facto* stręczycielką. Jednak historie tych wszystkich osób, może poza wieśniakami z Danii, pokazane są dość płytko, skrótowo, nie dają szansy zżycia się z nimi i zrozumienia czy tym bardziej współodczuwania, jak to było w „Dark". Polski widz jest tu zresztą chyba w najlepszej sytuacji, dostaje bowiem postać Olka (Maciej Musiał), sympatycznego polskiego palacza okrętowego, który jest jednym z pozytywnych bohaterów, możemy mu więc kibicować, zwłaszcza gdy nawiązuje nić porozumienia z młodą azjatycką pięknością (wątek ten przypomina zresztą, choć to pewnie przypadek, relację Francuza i Kimiko z innego współczesnego serialu – „The Boys").

Z zamkniętej przestrzeni udaje się wyjść przez tajne przejścia do innych czasów i światów, malowanych prawie tymi samymi, co w „Dark" filtrami. Malowanymi jak zawsze pięknie i z użyciem najnowszych technik.

Produkcja szalenie ambitna

Już sam fakt, że Netflix nie czekał nawet miesiąca od premiery, by ogłosić, że oczekiwanej przez część fanów i zapowiadanej przez twórców kontynuacji nie będzie, stanowi jakąś odpowiedź na to pytanie. Odpowiedź, która niczego w ocenie nie przesądza, znane są przypadki niezłych seriali bez kontynuacji („Mesjasz", „Kalifat", „Home sweet home"), o czymś nam jednak mówi. I faktycznie, choć zadowolonych widzów znalazło się wielu, nie zabrakło również rozczarowanych odbiorców, do których w pewnym stopniu również się zaliczam. Zanim odpowiem na pytanie, skąd ten zawód, kilka słów o samym serialu.

Kto oglądał „Dark", ten wie, że nie należy spodziewać się prostej, niewymagającej i liniowej fabuły. Przypomnę tylko, że w tamtym serialu obserwowaliśmy zmagania bohaterów, rozgrywające się równocześnie w kilku planach czasowych i dwóch, a finalnie wręcz trzech alternatywnych rzeczywistościach. Do rozumienia tego, co się widzi, przydawały się notatki i schematy, a i sam Netflix przygotowywał dla fanów bardzo ambitne i dopracowane materiały pomocnicze. Było to więc wydarzenie i wyzwanie intelektualne, produkcja szalenie ambitna i solidnie podbudowana wieloma teoriami, naukami, filozofiami i wierzeniami. Przy tym jednak wszystko to było jedynie elementem historii głęboko zarysowanych bohaterów, mających swoje historie, motywy i tajemnice. Bohaterów, których poznaliśmy bardzo dobrze, mogąc im kibicować i z nimi sympatyzować. Choć ich życie miotane było przez potężne i tajemnicze siły, byli przy tym bardzo zwykłymi ludźmi z sąsiedztwa, żyjącymi w bardzo znajomym dla nas otoczeniu, również pod kątem architektury, krajobrazu i klimatu. W „1899" tej bliskości właściwie nie ma i to jeden z głównych problemów, jakie mam z tym serialem.

eprasa.pl 0c7443f31f

Tylko trochę więcej pokazuje się nam odnośnie do głównych bohaterów – kapitana Eyka Larsena (którego gra zresztą znany z roli średniego wiekiem Jonasa w „Dark" Andreas Pietschmann), młodej, walczącej o uznanie i miejsce w świecie przed emancypacją kobiet lekarki Maury Franklin (Emily Beecham) czy wreszcie bohaterów, którzy okazują się być – jej synem (niepokojąco podobnym zresztą do syna Marty i Jonasa z poprzedniego serialu w jego najmłodszej, dziecięcej wersji) i bratem. Lecz nawet i tu, choć widzimy, nie możemy wszystkiego sobie wyjaśnić i poukładać. Analizujący serial internauci liczyli na wyjaśnienie wielu zagadek w kolejnych sezonach, tyle że już ich przecież nie będzie.

▶ Kwestie problematyczne

Wygląda na to, że twórcy postacie nakreślili trochę na odczepnego, by jak najszybciej przejść i skupić się na tym, czego się od nich oczekuje, a co ewidentnie też sprawia im największą radość – na mnożeniu kolejnych poziomów rzeczywistości (a może raczej – iluzji) i zatapianiu statku i kolejnych wątków w morzu filozoficznych i parareligijnych znaczeń. Zainteresowanym polecam bardzo pomocne w tej podróży analizy z youtubowego kanału „Drugi seans". Znajdziemy tu tropy gnostyckie, alchemiczne symbole żywiołów, począwszy od znaku ziemi w logotypie serialu, myśl Platona czy Stary Testament, a tematem przewodnim zdaje się poszukiwanie zbawienia i prawdy, choć bez pewności, że ta ostatnia bohaterów zbawi i wyzwoli. Nawet to w „Dark" finalnie okazywało się prostsze, ponieważ motorem wszystkich działań okazywała się miłość. Zresztą nie wiemy nawet, kto naprawdę istniał w tej historii i gdzie się ona działa – na statku, w szpitalu psychiatrycznym, a może jeszcze gdzie indziej, wszystkich lokacji nie będę tu ujawniał, bo przy okazji opowiedziałbym tu za dużo.

To zresztą kolejny problem z tym tytułem. Tajemnice i niejasności, choć niby zupełnie inne, noszą w sobie piętno poprzedniego serialu. Znów z zamkniętej przestrzeni udaje się wyjść przez tajne przejścia do innych czasów i światów, malowanych prawie tymi samymi zresztą, co w „Dark" filtrami. Malowanymi jak zawsze pięknie i z użyciem najnowszych technik. Korytarze statku wyglądają jak hotel w Winden, siedziba tajemniczego ojca Maury, Henry'ego Simpletona, to prawie kalka siedziby Adama. Od strony wizualnej „1899" jest takim samym arcydziełem. Tylko z resztą jest trochę gorzej. O ile w „Dark" inspiracje „Stranger Things" spotykały się z duchem pierwszych odcinków „Twin Peaks", tutaj, poza samym „Dark", jest coś z „Czarnego lustra" i „Westworld", a nawet „Snowpiercera". I tym razem nie jestem w pełni przekonany, czy ten recycling popkultury w pełni wyszedł duetowi Odar–Friese na zdrowie. To wciąż porządny, a w wielu aspektach imponujący serial, jednak w pogoni za intelektualnymi inspiracjami i podbudowani kolejnych zagadek i pięter serialowej (nie)rzeczywistości kilka ważnych spraw zostało zaniedbanych, a przez decyzję Netfliksa nie da się tego nadgonić i naprawić w odcinkach, które już nie powstaną. „Dark" był według mnie arcydziełem, którego „1899" nie jest w stanie przegonić, choć oszczędna i bardzo ciekawa promocja rozbudziła na to apetyt. Zobaczymy, czy uda się to kolejnemu serialowi niemieckiego małżeństwa, nad którym niemal równolegle trwają prace. „Tyll" ma być opowieścią drogi, rozgrywającą się tym razem w trakcie wojny trzydziestoletniej i jak się zdaje, będzie w nim trochę mniej miejsca na mnożenie planów czasowych i rzeczywistości. Ale kto wie, co uda się im do tej opowieści wcisnąć?

Na koniec nie odmówię sobie najbardziej subiektywnej uwagi. „Dark" obejrzałem w całości trzy razy i chętnie obejrzałbym po raz czwarty, gdybym tylko znalazł na to czas. „Plemiona Europy" i „Równonoc", seriale, porównywane do tej kultowej już produkcji, były sporym rozczarowaniem i zostały przez Netflix porzucone po jednym sezonie. Być może szkoda, że „1899" nie dostało swojej szansy, niemniej nie jest to historia, do której mam ochotę w najbliższym czasie wracać. Wyprawa potężnym parowcem „Cerber" dla Odara i Friese okazała się wyprawą donikąd. ■

O ILE W „DARK" INSPIRACJE „STRANGER THINGS" SPOTYKAŁY SIĘ Z DUCHEM PIERWSZYCH ODCINKÓW „TWIN PEAKS", W „1899", POZA SAMYM „DARK", JEST COŚ Z „CZARNEGO LUSTRA" I „WESTWORLD", A NAWET „SNOWPIERCERA".

eprasa.pl 0c7443f31f



Sławomir Cenckiewicz, „Transformacja", Wydawnictwo LTW, Dziekanów Leśny 2022

Krzysztof Wołodźko



POSKŁADAĆ POLSKĄ OPOWIEŚĆ

Jak opowiadać historię, która przeciwstawi się coraz to innym negatywnym przeobrażeniom rodzimej pamięci? A przynajmniej zmniejszy ich wpływy, bo kompletne wyrugowanie wciąż mutującego postkomunizmu umyka perspektywie krótkoterminowej, czyli liczonej w dekadach. „Transformacja" Sławomira Cenckiewicza daje pewną odpowiedź.

eprasa.pl 0c7443f31f

Na naszych oczach dokonują się kolejne przeobrażenia polskiej pamięci. Lepiej uchwytne i łatwiejsze do przeanalizowania dla nieco starszych, biorą w posiadanie wyobrażenia i opinie młodszych pokoleń. Spójrzmy choćby na fenomen zmarłego niedawno Jerzego Urbana dostrzegany wśród roczników wychowanych wyłącznie na social mediach – to niezgorszy dowód, że postkomunizm, czy też neokomunizm, wciąż transformuje. O ile ściśle politycznie postkomunistyczna lewica ma zdecydowanie pod górkę od kilkunastu już lat, o tyle znalazła dla siebie miejsce w przestrzeni metapolitycznej – także dlatego, że coraz więcej miejsca oddali jej nadwiślańscy liberałowie.

Jak opowiadać historię

Przeprowadzony niemal na kolanach i bez trudniejszych pytań wywiad z Urbanem w „Gazecie Wyborczej" (wrzesień 2020 roku) nieźle ilustrował to zjawisko. Podobnie rzecz ma się z byłymi prominentnymi postkomunistami, którzy znaleźli dla siebie miejsce w europarlamencie jako ludzie Koalicji Obywatelskiej. Długą zrobili drogę od aparatczyków upadającego autorytarnego reżimu do piewców ultraliberalnych i neolewicowych europejskich wartości. Choć ktoś złośliwy mógłby zauważyć, że tak naprawdę całe życie stali w miejscu.

Tym ważniejsza staje się kwestia, jak opowiadać historię, która przeciwstawi się tego rodzaju przeobrażeniom rodzimej pamięci. A przynajmniej zmniejszy ich wpływy, bo kompletne wyrugowanie wciąż mutującego postkomunizmu umyka perspektywie krótkoterminowej, czyli liczonej w dekadach. „Transformacja" Sławomira Cenckiewicza daje pewną odpowiedź. To drugi tom trylogii o przemianach polskiej rzeczywistości w drugiej połowie XX i pierwszych dekadach XXI wieku. Pierwsza część serii to „Agentura", trzecia będzie nosić tytuł „Historia". „Transformacja" to rzecz publicystyczna, ale w starym, dobrym stylu, gdzie opinie budowane są po pierwsze na faktach, po drugie – na faktach i po trzecie – na faktach. I jeszcze jedno: to wybór tekstów historyka, dokonany oczywiście wedle kluczy, które są tytułami poszczególnych części tej trylogii. Rzecz tylko z pozoru drobna: Cenckiewicz dedykował swoją pracę Jerzemu Targalskiemu: „z wdzięcznością za podejrzliwość wobec przeszłości, teraźniejszości i przyszłości".

„Annę Solidarność" i biografię Lecha Kaczyńskiego Cenckiewicza uważam za książki formacyjne – oferujące nie tylko gruntowną wiedzę o czasach i ludziach, lecz także przekonującą opowieść o współczesnej Polsce, odmienną od liberalnej i postkomunistycznej. „Transformacja" jest w tym względzie bardzo do nich podobna – obszerna i rzeczowa. Wbrew poglądowi, że poważniejsze treści nie mają szans na przebicie się w epoce „dwustu osiemdziesięciu znaków" (limit w pojedynczym tweecie), warto pamiętać, że również w środowiskach liberalnych i lewicowych idee wyznawane przez ulicę są na ogół ideami wcześniej zapisanymi w chudszych i grubszych książkach. Ich pozornie skrajnie egalitarny świat jest bowiem przeniknięty nieoczywistymi hierarchiami i mniej lub bardziej jawnymi ośrodkami wpływów.

„Bolkowatość" i „zespół trzech"

Transformacja z reguły kojarzy nam się z procesami społeczno-gospodarczymi, które na przełomie lat 80. i 90. doprowadziły do przeobrażenia nakazowo-rozdzielczej ekonomii i gospodarki czasów PRL do półperyferyjnej, częściowo kapitalistycznej, a częściowo postkomunistycznej gospodarki III Rzeczypospolitej. Zdaję sobie sprawę, że szczególnie druga część wcześniejszego zdania nie pasuje do kanonów mainstreamowego opisu naszej rzeczywistości gospodarczej. Ale dziś – podobnie jak w sprawach geopolitycznych – jest już dość oczywiste, że mainstreamowy, liberalno-postkomunistyczny opis polskiej rzeczywistości więcej zaciemniał niż wyjaśniał; więcej miał ukryć niż pokazać oczom potencjalnych zainteresowanych.

Cenckiewicz traktuje transformację szerzej. Swoją książkę rozpoczyna krótkim, dość gorzkim alfabetem, w którym pod hasłem „bolkowatość" znajdziemy zybertowiczowski opis systemu III RP jako „mechanizmu kreacji i podtrzymywania tzw. autorytetów moralnych – jako nieformalnych, ale niekiedy skutecznych regulatorów zachowań zbiorowych". A pod hasłem „dekomunizacja" lakoniczne stwierdzenie: „nie było, nie ma i nigdy nie będzie". Z kolei pod hasłem „Mazowiecki Tadeusz": „mało kto wie, że zasiadał w Zarządzie Głównym Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną »Polonia«, którą w 1955 roku kazali utworzyć Sowieci. Kiedyś zakochany w nim historyk prosił mnie, aby o tym nie mówić". Kolejne hasło w alfabecie transformacji: „Wojskowe Służby Informacyjne": „»spenetrowane przez różnej maści obce wywiady. Profesjonalizm znacznej części kadr jest wątpliwy. Wysocy oficerowie mają nawyki i mentalność z poprzedniej epoki, gdy wojskowe służby były kontyngentem pomocniczym dla radzieckiego GRU i III Zarządu KGB. Ludzie tacy jak generał Dukaczewski powinni straszyć w rezerwatach postkomunizmu« (z wypowiedzi posła Platformy Obywatelskiej Konstantego Miodowicza dla »Rzeczpospolitej«, 13 kwietnia 2004 r.)".

eprasa.pl 0c7443f31f

I na koniec tej wyliczanki rzecz naprawdę smakowita. Hasło: „Zespół trzech". Cenckiewicz rozwija je następująco: „Ciosek, gen. Pożoga i Urban, czyli jedni z najważniejszych teoretyków transformacji [...]. Lubię czytać ich »scenariusze przełomu« przedkładane Jaruzelskiemu. »Celem jest dokonanie wstrząsu, spowodowanie wrażenia przełomu, otwarcia nowego okresu. Rozbicie posunięć na etapy powodowałoby oswojenie się społeczeństwa z różnymi zmianami (tak jak to jest teraz) i obojętnienie na nie" – pisali 13 marca 1988 r. »Spowodowanie wrażenia przełomu...« – nikt lepiej by tego nie ujął! Nawet Golicyn tak nie pisał". Przypomnijmy, że major KGB Anatolij Golicyn (który w 1961 roku poprosił CIA o azyl na Zachodzie) był autorem głośnej książki „Nowe kłamstwa w miejsce starych", w której opisywał pierestrojkę jako metodę sowieckich służb na uśpienie czujności zachodnich państw. Polskojęzyczną wersję książki Golicyna można ściągnąć za darmo z sieci.

„Z wizytą Miedwiediewa łączymy nadzieje"

Dużym walorem książki są też zdjęcia, ilustrujące ciągłość okrągłostołowego systemu i pokazujące super-beneficjentów transformacji. Jedno z najbardziej przemawiających do wyobraźni przedstawia posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego z 24 listopada 2010 roku, na które Bronisław Komorowski zaprosił Wojciecha Jaruzelskiego: „wśród biesiadników m.in. sześciu byłych współpracowników tajnych służb PRL ([Józef] Oleksy, [Lech] Wałęsa, [Aleksander] Kwaśniewski, Jaruzelski, [Włodzimierz] Cimoszewicz i [Adam] Rotfeld)". Dodajmy też innych widocznych na zdjęciu: Donald Tusk, Grzegorz Schetyna, Bogdan Borusewicz, Radek Sikorski, Grzegorz Napieralski.

Na stronie bbn.gov.pl znajdziemy relację z tego wydarzenia. Czytamy w niej: „Z wizytą prezydenta Dmitrija Miedwiediewa łączymy nadzieje nie na jednorazowy przełom, ale na rozpoczęcie marszu w dobrą stronę, bo rozpoczynamy coraz intensywniejszy marsz (w stosunkach z Rosją) – powiedział Bronisław Komorowski po posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego, poświęconym stosunkom polsko-rosyjskim". Znajdziemy w tej relacji niejedną groteskową wypowiedź z wydarzenia mocno na wyrost firmowanego jako posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego: „Prezydent [Komorowski] powiedział też, że nie uważa, aby wszystkie kwestie natury historycznej można było mieszać z bieżącymi potrzebami państwa".

Komorowski perorował w ten deseń, komentując fakt, że były premier Jarosław Kaczyński odmówił udziału w tym posiedzeniu: „A te bieżące potrzeby to wytężenie wszystkich zasobów mądrości i doświadczenia byłych prezydentów, byłych premierów, aby spróbować wspólnym wysiłkiem realizować to, co jest ważne z punktu widzenia polskiej racji stanu. Warto działać na rzecz tej racji stanu, a nie obrażać się i zapraszać innych do takiego polskiego grajdoła" (źródło: https://www.bbn.gov.pl/pl/wydarzenia/2587,Posiedzenie-RBN-z-udzialem-bylych-prezydentow-i-premierow.html (stan na 17 stycznia 2023 roku). Brak w tym miejscu czasu na szczegółową analizę „argumentacji" Komorowskiego, ale dobrze widać, że „grajdoł" z Polski urządzili sobie właśnie liberałowie i postkomuniści, wikłający Rzeczpospolitą w karygodny „polsko-rosyjski reset" i kompletnie niezdolni zimą 2010 roku rozpoznać zagrożenia ze strony Rosji.

Ale czy mogło być inaczej, skoro kolejne stopnie politycznych karier niemałej części zebranych tam ludzi zbudowane były na PRL-owskich uwikłaniach? Niemała część z nich – na czele z Wojciechem Jaruzelskim – nie potrafiła myśleć o Rosji inaczej niźli wedle pokrętnej logiki podległości i wykonywania rozkazów, skorumpowania i spełniania oczekiwań. To tkwiło głęboko w ich politycznym DNA – nawet po kilku dekadach, gdy byli już po „europejskim, demokratycznym i liberalnym" liftingu.

Jak promować „Transformację"

Choć „Transformację" określiłem mianem publicystycznej, to przecież na każdym kroku daje o sobie znać naukowy warsztat autora. Obszerne indeks osób i bibliografia, a także czytelny podział na poszczególne części („Bezpieka", „Nowy trust", „Postkomunizm realny", „Pamięć po transformacji", „»Polskie« GRU", „Afera marszałkowa", „Tusk") umożliwiają czytelnikowi lepsze panowanie nad całością. Nie tylko systematyzują, lecz także pozwalają sięgnąć bezpośrednio po interesujące treści lub znacznie ułatwiają pracę dziennikarską.

Na marginesie: redakcje i wydawcy powinni sięgać po nowoczesne metody promocji takich książek, na przykład tworząc w social mediach profile dla serii lub tytułów, przygotowując na ich podstawie materiały wideo, grafiki i story. Sama treść może być bowiem atrakcyjna również dla młodszych odbiorców, ale pewien kłopot stanowi fakt, że promocja zbyt często kierowana jest wyłącznie w stronę „dziadersów", dla których e-mail, YouTube, Facebook i strona WWW stanowią granicę internetowej ekspansji. A przecież cała sztuka polega na tym, żeby uświadomić ludziom urodzonym już nie tylko tuż po przełomie ustrojowym, lecz także w czasach pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości, że to, co biorą za teraźniejszość, nowoczesność lub współczesność, jest tak naprawdę miksturą uwarzoną również z ingrediencji, które niegdyś budziły strach, niechęć i obrzydzenie zwykłych ludzi.

eprasa.pl 0c7443f31f

Pokazać „jeszcze później urodzonym", że nie istnieje sterylne „tu i teraz", wolne od wpływów przeszłości to prawdziwe wyzwanie. Przeciwnie, teraźniejszość, nawet gdy niesie pewne *novum*, w znacznej mierze jest wypadkową procesów i wydarzeń, o których młodzi nie tylko nie chcą myśleć, lecz także nawet nie wiedzą o ich istnieniu. Znakomita większość spraw, które pokazuje choćby Cenckiewicz, została starannie ukryta przed ich oczyma lub zmanipulowana, tak by standardowy, uładzony opis wydarzeń nie budził żadnych wątpliwości poznawczych i etycznych. To dlatego dla wielu młodych „prawdziwymi Europejczykami" wciąż są ludzie zebrani na posiedzeniu BBN w grudniu 2010 roku, a nie prezydent Polski, który zginął 10 kwietnia tamtego roku pod Smoleńskiem.

Kultura amnezji i ciężar historii

Problemem jest i to, że kultura masowa, kultura amnezji i niepamięci, sprzyja takiemu myśleniu o świecie, które odsuwa na bok wszelkie fundamentalne i tragiczne kwestie – liczy się pewien trywialny sposób egzystencji, w której rzekomo „wszystko zawsze będzie dobrze". To m.in. dlatego słowa Lecha Kaczyńskiego: „dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę" przeszło dekadę temu budziły awersję także w moich rocznikach, które chciały od świata jedynie w miarę taniego kredytu na mieszkanie. Liberalno-postkomunistyczny sposób opisywania świata, ze swoim perwersyjnym ahistoryzmem, żerował przez kilka dekad na niechęci do zaglądania pod podszewkę rzeczywistości, skoro niechęć ta niosła ze sobą najróżniejszego rodzaju dyskomfort. Szczególnie dla tych, którzy chcieli robić karierę w obrębie struktur zdominowanych przez szerzej rozumiany okrągłostołowy system. Było jasne, że nie tylko konkretne odpowiedzi, ale i pewne pytania dotyczące transformacji są niewłaściwe w kręgach, które decydowały o miejscu jednostki w takich układach.

Dobrym przykładem jest choćby nastawienie do rządów Jana Olszewskiego przez konsumentów mainstreamowych opinii. Jeden odpowie, że to dziś kompletnie nieważne, a drugi, że to był jakiś „prawicowy oszołom". I jak im wytłumaczyć, że istnieje szersza perspektywa i kwestie fundamentalne także dla ich własnego bezpiecznego życia. Nie bez powodu przecież Cenckiewicz w jednym z artykułów na kartach „Transformacji", zatytułowanym „Od Układu Warszawskiego do bezpieczeństwa Polski", pisze: „W poważniejszym wymiarze opcja pronatowska zaistniała w Polsce krótko po upadku komunizmu i Związku Sowieckiego wraz z chwilą powierzenia misji tworzenia rządu Janowi Olszewskiemu pod koniec 1991 r.". I dalej: „Gabinet ten od razu napotkał opór, gdyż od samego początku istnienia cel rządu Olszewskiego był jasno zdefiniowany: ucieczka z postsowieckiej strefy wpływów i członkostwo Polski w NATO".

Polska w NATO i rząd Olszewskiego

Cenckiewicz przypomina: „Po raz pierwszy uzewnętrzniło się to na początku 1992 r., kiedy to minister obrony narodowej Jan Parys stanął przed setką generałów WP, zapowiedział »przejście z opcji wschodniej na opcję atlantycką«, a oficerom uwikłanym we współpracę z Sowietami dał siedem dni na wystąpienie z armii. Rząd kierowany przez Jana Olszewskiego zdawał sobie sprawę, że w obliczu aspiracji atlantyckich Rzeczypospolitej polska armia musi odzyskać wiarygodność w oczach Zachodu". Ale w praktyce rzecz okazała się znacznie trudniejsza do realizacji. Zdymisjonowany w maju 1992 roku Jan Parys, skonfliktowany z Wałęsą i jego ludźmi, mówił później z goryczą: „Zmiany [w armii] były tylko kosmetyczne. [...] Oficerowie LWP byli, po latach uległości, mentalnie niezdolni do polemizowania z Sowietami".

Polska weszła do NATO w marcu 1999 roku. Ale w czasach „polsko-rosyjskiego resetu" bardziej niż kiedykolwiek państwo polskie bliskie było regresu. Gdyby transformacja dokonała się wyłącznie wedle liberalno-postkomunistycznych determinantów, kolejne dekady XXI wieku mogłyby nas prowadzić ku „antypolskiej alternatywie", czyli sprowadzenia Polski do roli kraju drugiej lub trzeciej kategorii w NATO. A to prędzej czy później doprowadziłoby do korzystnej dla Rosji dekompozycji w całym regionie i wolniejszemu lub szybszemu dryfowaniu Polski ku skrajnemu uzależnieniu od interesów Berlina i Moskwy. Nie sądzę, by jakiekolwiek pokolenia Polek i Polaków, także ludzie, którzy dziś bezrefleksyjnie oklaskują liderów obecnej opozycji i ich postkomunistycznych guru starej daty, chcieli doczekać teraźniejszości i „nowoczesności" pod moskiewską kuratelą. A przecież nie da się niestety traktować tego rodzaju scenariusza wyłącznie jako political fiction.

„Transformacja" Cenckiewicza pokazuje Polskę, której nawet dziś prawie nie widać zza większości medialnego przekazu. Pewnie znacznie lepiej rozszyfrowaną niż kilka czy kilkanaście lat temu, ale wciąż wymagającą naświetlania i przypominania. Ktoś powie, że to nie Polska, lecz anty-Polska. Ale cały dramat polega na tym, że transformacja tak poplątała te rzeczywistości, że dziś musimy wciąż na nowo składać całość z właściwych elementów. Być może to jest nasza syzyfowa praca. ■

eprasa.pl 0c7443f31f

Hanna Shen



PÓŁPRZEWODNIKI I ICH POLSKI POCZĄTEK

eprasa.pl 0c7443f31f

Półprzewodniki to „nowa ropa" przemysłu. To powietrze, bez którego gospodarki będą się dusić. To także najważniejszy obszar starcia pomiędzy USA i Chinami. Dziś o współpracę z Tajwanem, gigantem w sektorze półprzewodników, zabiega cały świat. A wszystko zaczęło się od odkrycia polskiego inżyniera.



fot. Adobe Stock

Podczas spotkania delegacji polskich parlamentarzystów z prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen na początku grudnia ubiegłego roku, poseł PiS i przewodniczący polsko-tajwańskiego zespołu parlamentarnego Waldemar Andzel powiedział, że Polska liczy na tajwańskie inwestycje w sektorze półprzewodników.

Świat potrzebuje tajwańskich chipów

Wypowiedź ta przykuła uwagę tajwańskich mediów. Cytowały ją nie tylko portale i gazety, lecz była także przywoływana w popularnych na wyspie programach publicystycznych. O tajwańskich inwestycjach w sektorze półprzewodników w UE, w tym w Polsce, mówiła również w czasie swojej wizyty na Tajwanie europoseł PiS Anna Fotyga.

Kilka godzin po wypowiedzi na Tajwanie posła Andzela, świat obiegła informacja, że prezydent USA Joe Biden odwiedził powstającą w Arizonie fabrykę tajwańskiej firmy Taiwan Semiconductor Manufacturing Corporation (TSMC). TSMC, największy na świecie producent półprzewodników, zamierza zainwestować w Arizonie 40 mld dolarów. Fabryka jeszcze nie ruszyła, ale był już na miejscu prezydent USA. Dlaczego? Półprzewodniki są dziś dla liczących się lub chcących się liczyć gospodarek jak powietrze.

Gdy pandemia spowodowała przerwy w łańcuchach dostaw chipów z Azji, było to ogromne uderzenie dla całego świata, m.in. dla gospodarek USA i Niemiec. Amerykanie robią więc, co mogą, aby większa część produkcji chipów była u nich. To samo robi Japonia, gdzie TSMC już buduje fabrykę półprzewodników wartości 8,6 mld dolarów i zapowiada drugą inwestycję w Kraju Kwitnącej Wiśni.

O tajwańskie inwestycje w sektorze półprzewodników zabiega też Unia Europejska, która na początku 2022 roku zatwierdziła dotacje w wysokości 43 mld euro w celu przyciągnięcia producentów chipów do Europy. W połowie stycznia bieżącego roku ogłoszono, że litewska firma technologiczna Teltonika zamierza w 2027 roku uruchomić krajową produkcję półprzewodników przy użyciu technologii tajwańskiej. W projekt o wartości 14 mln euro zaangażowane są tajwański Instytut Badań nad Technologią Przemysłową oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych Tajwanu, które dostarczy 10 mln euro dotacji.

W tajwańskiej prasie pojawiły się też informacje, że bardzo zaawansowane rozmowy na temat inwestycji TSMC prowadzą Niemcy. Fabryka TSMC ma powstać w Dreźnie, a strona niemiecka oferuje Taj-

egrasa.pl 07443f31f

wańczykom duże dotacje i zapewnienia o stałych zamówieniach od takich firm jak Mercedes i BMW.

Chipy jak powietrze

Dziś z powodu braku dostępu do chipów dusi się gospodarka Rosji. Tamtejsze media pisały, że próbując omijać amerykańskie sankcje i w wyniku przemytu układów scalonych z zagranicy do Rosji trafia coraz więcej wadliwego sprzętu. W maju ubiegłego roku amerykańska sekretarz ds. handlu Gina Raimondo informowała, że przez sankcje Rosjanie są zmuszeni wykorzystywać czipy ze zmywarek i lodówek w urządzeniach wojskowych.

Amerykańskich sankcji boją się Chiny i dlatego w grudniu ubiegłego roku Pekin zakazał eksportu procesorów firmy Loongson Corp. do Rosji (Loongson to firma założona w 2002 roku przez Chińską Akademię Nauk w celu stworzenia alternatywy dla amerykańskich procesorów). Mimo że Chiny uchodzą za technologiczną potęgę, to nie są w stanie produkować najnowocześniejszych chipów i muszą je importować z zagranicy. To ich ogromna strategiczna słabość. I dobrze to rozumieją Amerykanie.

Wojna o dominację

Wojna półprzewodnikowa, jaka już się toczy pomiędzy USA i Chinami, to tak naprawdę konflikt o dominację. „Bitwa o dominację w dziedzinie półprzewodników to jedna z najważniejszych historii dotyczących geopolityki, bezpieczeństwa narodowego i dobrobytu gospodarczego" – twierdzi Andrew McAfee, badacz na amerykańskiej uczelni Massachusetts Institute of Technology. To przemysł półprzewodników już teraz decyduje zarówno o strukturze światowej gospodarki, jak i równowadze sił geopolitycznych.

Mimo że Chiny pozycjonują się jako technologiczny gigant, to właśnie sektor półprzewodników pokazuje, iż jest to cały czas jeszcze gigant na niezbyt stabilnych nogach. „Niemal na każdym etapie procesu produkcji półprzewodników Chiny są w zatrważającym stopniu uzależnione od zagranicznych technologii, z których prawie wszystkie są kontrolowane przez geopolitycznych rywali Chin – Tajwan, Japonię, Koreę Południową czy USA" – pisze w książce pt. „Wojna chipowa" Chris Miller, dyrektor ds. Eurazji w Foreign Policy Research Institute.

I administracja Joe Bidena robi wiele, by dostęp do tych technologii Chinom utrudnić. W październiku ubiegłego roku Waszyngton wprowadził pakiet przepisów regulujących eksport do Chin określonych rodzajów procesorów i środków do ich produkcji. Sankcją za łamanie przepisów jest utrata dostępu do amerykańskich rozwiązań technologicznych w zakresie półprzewodników. Amerykanie będą także produkować więcej chipów u siebie, stąd podpisanie w sierpniu ubiegłego roku przez Bidena ustawy Chips and Science Act, która uruchamia szereg ulg podatkowych, 52 mld dolarów subsydiów na produkcję półprzewodników oraz 170 mld dolarów na badania i innowacje.

Restrykcje Waszyngtonu to mocne uderzenie w ChRL

W grudniu 2022 roku okazało się, że tajwańska firma elektroniczna Foxconn sprzedała swoje udziały w chińskiej firmie Tsinghua Unigroup, producencie półprzewodników. Foxconn, główny dostawca Apple, zainwestował w półprzewodniki, bo chce działać także w branży samochodów elektronicznych, a jego inwestycja w Tsinghua Unigroup wynikała stąd, że potrzebował współpracy z fabryką o dojrzałym procesie produkcyjnym. Gdy jednak administracja Bidena ogłosiła, że na liście firm objętych przez USA sankcjami jest YMTC, firma zależna Tsinghua Unigroup, Foxconn zdecydował się na rezygnację z chińskiej inwestycji.

Po ogłoszeniu amerykańskich sankcji także holenderska firma ASML, jedyny światowy producentem sprzętu, który pozwala na produkcję najnowocześniejszych czipów, poinformowała wszystkie swoje amerykańskie oddziały, że czasowo wstrzymuje współpracę z chińskimi partnerami. Również Wielka Brytania powołując się na względy bezpieczeństwa narodowego nakazała chińskiej firmie Nexperia, aby sprzedała co najmniej 86 proc. udziałów w Newport Wafer Fab, gdzie produkowane są półprzewodniki złożone.

Jak na razie Amerykanie i ich sojusznicy wygrywają wojnę chipów, ale Chris Miller w swojej książce przestrzega przed zbyt dużym optymizmem, „biorąc pod uwagę, że znaczna część zdolności wytwarzania chipów, od których zależy Ameryka, znajduje się w zasięgu pocisków Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Naiwnością byłoby sądzić, że to, co wydarzyło się na Ukrainie, nie może się zdarzyć w Azji Wschodniej". Patrząc na rolę półprzewodników w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, chińscy analitycy rządowi publicznie argumentowali, że jeśli napięcia między USA a Chinami będą się nasilać, to „musimy przejąć TSMC".

Polski ojciec półprzewodników

W czasach, gdy nową „ropą" stały się półprzewodniki i gdy to one mają zdecydować o tym, kto

eprasa.pl 0c7443f31f

wygra walkę o światową dominację, warto przypomnieć, jaką rolę w powstaniu półprzewodników miał polski inżynier Jan Czochralski (1885–1953). To on wynalazł sposób tworzenia ogromnych kryształów. Ocenia się, że aż 90 proc. urządzeń półprzewodnikowych na świecie powstaje dziś właśnie dzięki tej metodzie. Jak podaje portal Nauka w Polsce: „Metoda Czochralskiego polega na bardzo ostrożnym »wyciąganiu« monokryształów z roztopionej substancji za pomocą pręta dotykającego jej powierzchni. Ze wszystkich materiałów, których cząsteczki nie rozpadają się podczas podgrzewania i topnienia, można w ten sposób uzyskać monokryształy o wysokiej czystości i jednorodności".

W 1916 roku nikt jeszcze nie potrzebował dużych kryształów metali i półprzewodników i dopiero w 1950 roku Amerykanie G. K. Teal i J. B. Little, pracujący dla Bell Laboratories, odkryli na nowo metodę Czochralskiego do masowej produkcji kryształów krzemu. I choć do dzisiaj tę technologię znacznie ulepszono, to jej podstawy – wymyślone przez genialnego polskiego samouka (Jan Czochralski nigdy nie zdobył wyższego wykształcenia) – pozostały bez zmian.

Sam Czochralski miał bardzo twórcze, ale i tragiczne życie. Był cenionym na świecie naukowcem i autorem wielu wynalazków i patentów. Do dziś jest najczęściej cytowanym polskim uczonym.

Jako szef laboratorium metaloznawczego Metallbank und Metallurgische Gesellschaft AG. w 1924 roku Czochralski opatentował bezcynowy stop łożyskowy, który wykorzystano w produkcji panewek do ślizgowych łożysk kolejowych. W Polsce jako metal B produkowały go zakłady Ursus. Stop spowodował rewolucję w kolejnictwie, przyczyniając się do zwiększenia prędkości i niezawodności ruchu pociągów, co przynosiło liczne oszczędności eksploatacyjne. To ten patent zakupiony przez wiele państw przyniósł Czochralskiemu fortunę i uznanie naukowego świata w okresie międzywojennym.

W 1927 roku ówczesny prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki, który sam był chemikiem i doceniał znaczenie nauki dla nowoczesnego państwa, zaproponował Czochralskiemu powrót do ojczyzny i posadę na Politechnice Warszawskiej. Polski wynalazca aktywnie uczestniczył w działalności Polskiego Towarzystwa Chemicznego, Stowarzyszenia Mechaników Polskich, Stowarzyszenia Hutników Polskich.

Niesłuszne oskarżenia, śmierć i rehabilitacja

Ale żył nie tylko samą nauką i wynalazkami. Zdobyty za granicą majątek, Czochralski zainwestował w polski przemysł i przeznaczał na cele społeczne. W swoim warszawskim mieszkaniu przy ulicy Nabielaka 4 zgromadził przed wojną piękny i cenny zbiór malarstwa, który niestety przepadł w Powstaniu Warszawskim. Był także pisarzem i poetą, tworzącym pod licznymi pseudonimami.

Życie Czochralskiego przybrało bardzo dramatyczny obrót podczas II wojny światowej, kiedy to kierował na Politechnice Warszawskiej Zakładem Badań Materiałów. Był to jeden z ośmiu zakładów stworzonych na Politechnice za zgodą okupanta. Pracujący w nim polscy naukowcy mogli przetrwać, wykonując także prace dla Wehrmachtu. Sam Czochralski w czasie wojny wielokrotnie dzięki swoim koneksjom i majątkowi ratował naukowców i artystów przed represjami ze strony hitlerowców. Jednak fakt, że Chochralski kierował zakładem, który wykonywał prace także dla Niemców, sprawił, że natychmiast po wojnie polskiego inżyniera oskarżono o współpracę z okupantem. Pomimo uniewinnienia przez prokuraturę, w grudniu 1945 roku władze Politechniki Warszawskiej pozbawiły Czochralskiego tytułu profesora, tym samym wykluczając go ze środowiska naukowego. Czochralski opuścił Warszawę i powrócił do swojej rodzinnej Kcyni. Tam nie spoczął na laurach. Założył niewielkie laboratorium chemiczne pod szyldem Zakładów Chemicznych BION, gdzie produkował wyroby codziennego użytku, chemię gospodarczą, parafarmaceutyki. Na inżyniera-przedsiębiorcę o niejasnej przeszłości wojennej nowa władza patrzyła nieprzychylnie. Donosy często powodowały rewizje. W czasie jednej z nich dość brutalnie przeprowadzonej w domu w Kcyni przez Urząd Bezpieczeństwa, Jan Czochralski doznał ataku serca i 22 kwietnia 1953 roku umarł w szpitalu w Poznaniu.

Dopiero wiele lat po śmierci inżyniera w archiwach odnaleziono dokument z 1944 roku, który dowodził, że Jan Czochralski współpracował z Armią Krajową przez cały okres niemieckiej okupacji podczas II wojny światowej. Decyzją Senatu Politechniki Warszawskiej z dnia 29 czerwca 2011 roku, Jan Czochralski, doktor honoris causa Politechniki Warszawskiej, został w pełni zrehabilitowany.

W uznaniu ogromnych zasług prof. Czochralskiego i znaczenia społecznego jego wynalazków, sejm Rzeczypospolitej Polskiej ustanowił rok 2013 Rokiem Jana Czochralskiego.

Gdyby życia Jana Czochralskiego nie przerwały prześladowania komunistów, to może doczekałby się rozkwitu elektroniki półprzewodnikowej, a nawet otrzymałby nagrodę Nobla w naukach ścisłych. Być może Polska byłaby wtedy w zupełnie innym miejscu, jeśli chodzi o sektor półprzewodników. ■

eprasa.pl 0c7443f31f



Grzegorz Wszołek



To za niego Rosja była skłonna wypuścić bohaterów oddziału Azow, broniącego Mariupola. Łącznie w wymianie jeńców za ukraińskiego zdrajcę, „kuma" Władimira Putina, wzięło udział ponad 200 żołnierzy ukraińskich. Wiktor Medwedczuk został pozbawiony obywatelstwa przez Wołodymyra Zełenskiego. Straszy Europę zagładą, jeśli pomoc wojskowa dla Ukrainy nie ustanie. – Medwedczuk postawił pieniądze ponad wartości i był gotów nie tylko „sprzedać" się rosyjskim przywódcom, lecz także sprzedać Ukrainę Moskwie dla własnych korzyści. Ukraińcy go nie znoszą – mówi „Nowemu Państwu" Julia Mendel, była rzeczniczka prezydenta Zełenskiego. Kim jest Wiktor Medwedczuk?

KUM PUTINA. DLACZEGO MEDWEDCZUK JEST ZDRAJCĄ?

eprasa.pl 0c7443f[illegible]f

Prawnik, oligarcha, polityk, wpływowy gracz na rynku mediów ukraińskich i piłki nożnej, wreszcie rosyjski agent wpływu – tak można scharakteryzować w skrócie postać Wiktora Medwedczuka. O rosyjsko-ukraińskim biznesmenie zrobiło się głośno w kwietniu ubiegłego roku, gdy zatrzymała go SBU. Zarzuty były poważne: zdrada stanu, udokumentowane spotkania z rosyjskimi politykami i działania propagandowe w okupowanych od 2014 roku Krymie i Donbasie na rzecz Kremla.

Obrońca z urzędu

Kariera Medwedczuka nabrała tempa dużo wcześniej, niż podczas pierwszej inwazji rosyjskiej na ukraińskie ziemie. Urodzony w Związku Sowieckim prawnik został w latach 70. wyznaczony z urzędu jako obrońca dysydenta Wasyla Stusa. Jeden z najwybitniejszych poetów Ukrainy w XX wieku był wrogiem sowieckiego systemu, ściganym i więzionym przez wiele lat przez aparat terroru ZSRS. Jego dzieła wydawane były również na Zachodzie, co rozsierdzało Kreml. Stus pracował w katorżniczych warunkach w obozie w Mordowii, przeżył też dwuletnie zesłanie na Kołymę. W obozie pracy na Uralu w Permie był torturowany. W ciężkim stanie poeta ogłosił i tak głodówkę. Zmarł po kilku dniach we wrześniu 1985 roku.

– Na swoją popularność w dużej mierze zapracował sprawą obrony ukraińskiego dysydenta i pisarza Wasyla Stusa, którego wierszy uczy się w naszych szkołach. On jest symbolem kochających wolność Ukraińców. Stus protestował, gdy z urzędu wyznaczono mu na obrońcę Medwedczuka, ale został zmuszony do korzystania z usług komunistycznego adwokata. Stus został skazany na obóz o zaostrzonym rygorze, gdzie zmarł. Od tego czasu Ukraińcy traktowali Medwedczuka jako osobę, która reprezentowała rosyjskie wartości – mówi „Nowemu Państwu" Julia Mendel, dziennikarka i była rzeczniczka prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Na rynku ukazała się właśnie jej nowa książka o wojnie na Ukrainie pt. „Walka naszego życia. Moja praca z Zełenskim, ukraińskie zmagania o demokrację i co to wszystko znaczy dla świata".

Raj po transformacji ustrojowo-gospodarczej w Rosji

Kancelaria prawnicza Medwedczuka przynosiła ogromne zyski. Po upadku Związku Sowieckiego pozwoliło mu to awansować do czołówki najbogatszych osób na Ukrainie. Na tym jednak nie poprzestał. Medwedczuk rozszerzał wpływy na media i sport. Reprezentował interesy właściciela Dynama Kijów, oligarchy Hrychoryja Surkisa. Sprawował mandat jako deputowany Rady Najwyższej, był szefem Zjednoczonej Socjaldemokratycznej Partii Ukrainy. Związał się z prezydentem Leonidem Kuczmą, zostając szefem jego administracji (2002–2005). Wtedy opozycyjne media zarzucały mu instruowanie mediów w kampanii wyborczej i politycznych napięć w ukraińskim parlamencie. W międzyczasie dbał o poszerzanie fortuny, uzyskując kontrolę nad spółkami w rajach podatkowych – m.in. na Cyprze. Pomarańczowa rewolucja, w którą zaangażowała się m.in. Polska, pokrzyżowała polityczne plany Medwedczuka. Faworyt wskazany przez Władimira Putina, Leonida Kuczmę i samego Medwedczuka – Wiktor Janukowycz – przegrał ze społecznym i prozachodnim zrywem w powtórzonych wyborach. Prezydentem został Wiktor Juszczenko. Ugrupowanie socjaldemokratów rozpadło się, a Medwedczuk obrał jeszcze bardziej radykalny i otwarty prorosyjski kurs. Również na kanwie prywatnej, bo zacieśnił relacje z prezydentem Rosji do tego stopnia, że Putin został ojcem chrzestnym jego córki.

– Medwedczuk reprezentuje radykalną i agresywną ideę rosyjskiego świata, która miała na celu szerzenie rosyjskiej kultury za granicą i na wiele sposobów oznaczała podważanie lub wymazywanie kultur narodowych innych tożsamości narodowych. Dlatego nigdy nie został przyjęty ciepło nawet w rosyjskojęzycznych regionach, takich jak Chersoń, Zaporoże, Odessa itd., ponieważ ludzie w tamtych regionach, pomimo popularności języka rosyjskiego w życiu codziennym, chcieli żyć na Ukrainie. Medwedczuk chwalił się swoimi powiązaniami z Putinem. Mieli jakieś relacje oparte na sprawach religijnych – Putin podobno ochrzcił córkę Medwedczuka. Putin odwiedzał Medwedczuka w jego luksusowych posiadłościach na Krymie. Medwedczuk ma wiele firm w Rosji i w Donbasie, również zarejestrowanych na żonę – opisuje Julia Mendel.

On za obrońców Azowstalu

Oligarchę podejrzewa się o finansowe wspieranie separatystów, którzy od 2014 roku okupują wschodnią Ukrainę. Jego kontakty z rosyjskimi politykami doprowadziły go przed oblicze prokuratury, która postawiła go w stan oskarżenia za zdradę interesów narodowych. Wobec Medwedczuka w 2021 roku zastosowano areszt domowy. Kolaborant go złamał, prawdopodobnie przekupił ukraińskich policjantów i tych, których znał od lat – obstawę FSB.

W nocy z 23 na 24 lutego 2022 roku, gdy wojska oznaczone literą „Z" wkraczały na Ukrainę, Medwedczuk uciekał do zajętego przez Rosjan Naddniestrza w Mołdawii. Według amerykańskich mediów, szef opozycyjnej frakcji Platforma – Za Życie przebrał się

FOT. WIKIPEDIA.

eprasa.pl 0c7443f31f

w ukraiński mundur. Szeroko zakrojona akcja SBU zakończyła się sukcesem w kwietniu – Medwedczuka pojmano i nagrano z wyraźnym przekazem do rosyjskich decydentów. „Przeprowadzono operację specjalną dzięki Służbie Bezpieczeństwa Ukrainy. Zuchy" – chwalił swoje służby specjalne Zełenski.

Medwdczuk kilka tygodni po zatrzymaniu zaproponował wymianę – on za obrońców Azowstalu, znienawidzonych przez Moskwę. Do akcji doszło w ogromnej tajemnicy we wrześniu – przy udziale Arabii Saudyjskiej i Turcji. Łącznie 215 wojskowych wymieniono na kuma Putina w pobliżu granicy ukraińsko-rosyjskiej w obwodzie czernihowskim. – Medwedczuk nie spełnił nadziei Kremla na przygotowanie gruntu pod udane przejęcie kontroli nad Kijowem i całym krajem. I to pokazało jego nieskuteczność na polu politycznym. To mogło przestraszyć Medwedczuka. Przecież reakcja Kremla na ofertę wymiany mogłaby być inna: jeśli nie porzucić go na żer SBU, to zorganizowano by jego proces w Moskwie. Medwedczuk nie został od razu wymieniony. Oznacza to, że Kreml opracowywał postawę – tłumaczy Julia Mendel. Zdaniem dziennikarki, wiele osób zaangażowanych było w to, by Medwedczuk trafił bezpiecznie do swojej właściwej ojczyzny. – W tym wieloletni partnerzy biznesowi Medwedczuka. Ale biorąc pod uwagę psychologię wywiadowczą Rosji, czyli długoletnie standardy KGB, nie sądzę, że jest całkowicie bezpieczny – sugeruje dziennikarka. Jeszcze przed inwazją ukraińskie władze zamknęły stacje telewizyjne, kontrolowane przez rosyjskiego kolaboranta. Zajęto sporą część jego majątku. Na skutek sankcji po wybuchu wojny, Chorwaci zajęli ekskluzywny jacht „Royal Romance" Medwedczuka o wartości 200 mln dolarów. Pieniądze po sprzedaży mają trafić dla Ukraińców na odbudowę kraju ze zgliszcz po rosyjskich atakach rakietowych.

Agent Kremla i rosyjska linia propagandowa

Medwedczuk obecnie skupia się na wywieraniu presji psychologicznej na Zachodzie. Straszy rozpętaniem III wojny światowej lub konfliktu nuklearnego, jeśli USA wraz z sojusznikami nadal będą wspierać militarnie Ukrainę. „Konieczne jest polityczne uznanie, że Rosja ma interesy, które muszą być brane pod uwagę przy konstruowaniu nowego resetu" – pisał w styczniu 2023 roku na łamach „Izwiestii". Dodawał też, że Rosja musi być objęta gwarancjami bezpieczeństwa, a Ukraina ma prawo do niepodległości, ale bez „zachodniej kurateli". Tym samym oligarcha powtarza za rosyjską propagandą groźbę, że Kijów musi zrzec się aspiracji dołączenia przede wszystkim do NATO. Poza tym ostrzega, że wojna na Ukrainie może rozlać się na inne kraje europejskie, za co odpowiedzialność spadnie na Zełenskiego, przywódcę USA i europejskie rządy.

OFICJALNIE CZY NIE, MEDWEDCZUK BYŁ BEZ ŻADNYCH WĄTPLIWOŚCI AGENTEM KREMLA. ZROBIŁ NA UKRAINIE WIELE ZŁEGO. ROZWIJAŁ KORUPCJĘ, POMAGAŁ ROSJI WPŁYWAĆ NA UKRAIŃSKĄ POLITYKĘ, GOSPODARKĘ I PRZESTRZEŃ INFORMACYJNĄ, PRÓBOWAŁ ZNISZCZYĆ UKRAIŃSKĄ NIEPODLEGŁOŚĆ I SPRZECIWIAŁ SIĘ ZACHODNIM WARTOŚCIOM.

– Medwedczuk kontynuuje strategię promowania dzikiej, niecywilizowanej dyplomacji, którą Kreml przedstawia w postaci karykaturalnej – przeinaczania historii, budowania rosyjskiej tożsamości narodowej na wizerunku obrażonej ofiary, braku logiki, poszanowania prawa międzynarodowego i praw człowieka – wylicza Mendel. Dziwnym zbiegiem okoliczności geopolityczna publicystyka Medweczuka zbiega się w czasie z wysiłkami Zachodu w sprawie dozbrajania Ukrainy. NATO spodziewa się rosyjskiego uderzenia późną zimą lub wiosną na teren całej Ukrainy. Dlatego tak istotne jest szybkie przekazanie ciężkiego sprzętu – w tym nowoczesnych czołgów Leopard 2 i zestawów rakietowych – na front. Rosyjska propaganda zaś chce wpłynąć na zachodnich liderów, by stawiali opór. W taki plan wpisuje się niedawny tekst Medwedczuka.

– Oficjalnie czy nie, Medwedczuk był bez żadnych wątpliwości agentem Kremla. Zrobił na Ukrainie wiele złego. Rozwijał korupcję, pomagał Rosji wpływać na ukraińską politykę, gospodarkę i przestrzeń informacyjną, próbował zniszczyć ukraińską niepodległość i sprzeciwiał się zachodnim wartościom. Taka osoba zostałaby ukarana w każdym kraju. Dlatego odebrano mu obywatelstwo i wpływ na życie publiczne na Ukrainie – podsumowuje była rzeczniczka prezydenta Zełenskiego. ■

eprasa.pl 0c7443f31f

Ryszard Czarnecki

JA Z NICH

Pierwszy członek mojej rodziny zginął z ręki Rosjan 118 lat temu. Był rok 1905, rewolucja w Królestwie Polskim, wielkie demonstracje w Warszawie. Na jednej z nich był rodzony brat mojego dziadka ze strony mamy Ryszarda Bielińskiego. Żandarm tłukł jakąś kobietę. Młody Bieliński stanął w jej obronie. Dostał bagnetem. Nie przeżył.

Dziadka Ryszarda nigdy nie poznałem – rok po II wojnie zawalił się wskutek wojennych niemieckich bombardowań dom, w którym mieszkał w Warszawie przy ulicy Tamka. Dziadek był jedynym, który wtedy zginął. Dziadek Ryszard miał dużo – nawet jak na owe czasy – rodzeństwa. Był jednym z 15 braci, do tego mieli najmłodszą siostrę Janinę (zmarła w latach 80. w Warszawie, mieszkała na ulicy Grójeckiej). Historia z bratem dziadka Ryszarda – a więc moim ciotecznym dziadkiem – stała się legendą rodzinną. Niektórzy z braci dziadka Bielińskiego też mieli niezwykłe śmierci. Eugeniusz zmarł na skutek wypadku automobilowego w Palestynie w 1924 roku. Pojechał tam jako turysta, co na owe czasy było rzadkością. Ma charakterystyczny pomnik na Starych Powązkach z robiącą na mnie zawsze olbrzymie wrażenie mozaiką przypominającą Ikara, wzbijającego się do lotu. Inny z braci Bielińskich – Roman – wyemigrował w latach 30. do Brazylii i tam zginął w tajemniczych okolicznościach.

Ta rodzinna historia z warszawskiej zrewoltowanej ulicy sprzed 118 lat wraca do mnie i wraca. Może to jeden z wielu powodów mojej niechęci do „Ruskich"?

Inny wróg – Niemcy – odpowiada za śmierć kolejnego Bielińskiego: Jerzego, bratanka dziadka, starszego stryjecznego brata mojej Mamy, Marii Bielińskiej-Czarneckiej. Był żołnierzem AK w stopniu kapitana. Walczył w partyzantce w Świętokrzyskiem. Pseudonim: Ostrowski. Niemcy zabili go „w lesie" w 1943 roku. Leży w tym samym grobie co Eugeniusz Bieliński, który niemal 100 lat temu pojechał do Ziemi Świętej, by z niej już nie wrócić.

Rok po Jurku Bielińskim zginęła w czasie rzezi Woli Marysia – córeczka sporo starszej siostry mojego ojca. Niemcy zamordowali ją w wolskim szpitalu. Była wnuczką Henryka Karola Czarneckiego, aktora i dyrektora teatrów, który debiutował w Teatrze Wielkim w 1899 roku. Henryk Tadeusz, mój ojciec, według dokumentów urodził się w 1936 roku, ale tak naprawdę dwa lata wcześniej (w czasie okupacji niemieckiej „odmłodzono" go o dwa lata).

Sowieci zniszczyli dworek Czarneckich w osadzie Prusy między Równem a Łuckiem na Wołyniu – zanim zdążyli to zrobić Ukraińcy. Niemcy z kolei po Powstaniu Warszawskim wysadzili dom z mieszkaniem dziadków Czarneckich przy ulicy Wareckiej 9.

Takich rodzin, których członkowie tracili życie i dobra z rąk jednego i drugiego okupanta – było w Polsce wiele. Potem ktoś się wymądrza, że „niepolityczna" była strategia „dwóch wrogów". Jaka strategia? To tragiczna rzeczywistość.

W Prusach, na Wołyniu nigdy nie byłem. Po dworku naszej rodziny nic już nie zostało (wcześniej, po powstaniu listopadowym, za udział w nim zabrano jej majątek). Czasem przechodzę koło miejsca, w którym stał warszawski dom dziadka Henryka i babci Bronisławy. Dziś zaczyna się tam ulica Kubusia Puchatka – na tyłach Nowego Światu – aby dojść do Świętokrzyskiej, krok stąd do NBP. Jeśli z Nowego Światu nie skręcę w lewo i znów w lewo, aby znaleźć się przy nieistniejącym już domu z sześcioma piętrami i trzema podwórzami (idealnym do konspiracji!) – i będę szedł dalej, wchodząc w Krakowskie Przedmieście, a nie skręcę w dół w Tamkę, gdzie zginął dziadek Ryszard, to jeszcze przed bramą Uniwersytetu Warszawskiego dojdę do miejsca, w którym mieścił się przed wojną antykwariat należący do tegoż dziadka Ryszarda Bielińskiego, ojca Marysi, mojej Mamy. Zginął w sumie niedaleko od miejsca, w którym przez lata, jako sumienny właściciel, pracował.

Cienie niezapomnianych przodków. Polskie losy. Ja z nich. ■

eprasa.pl 0c7443f31f



Antoni Rybczyński

Sezon na szpionów

Pod koniec listopada ubiegłego roku Ken McCallum z brytyjskiego kontrwywiadu MI5 ujawnił, że po inwazji na Ukrainę wydalono z Europy ponad 600 rosyjskich dyplomatów, z których dwie trzecie uznano za szpiegów. W ręce kontrwywiadu wpadły dziesiątki innych szpiegów, w tym szczególnie groźnych nielegałów.

Na karę dożywotniego pozbawienia wolności za szpiegostwo na rzecz GRU skazał 19 stycznia sąd w Sztokholmie 42-letniego Peymana Kia. Jego młodszy brat, 35-letni Payam, dostał 9 lat i 10 miesięcy za pomoc w tym procederze, trwającym aż 10 lat. Szwedzi nie mają wątpliwości, że to największa w ich kraju afera szpiegowska od czasów zimnej wojny. Jedna z wielu, które ujrzały światło dzienne po inwazji Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 roku. Bo ta inwazja zmieniła wszystko, także na ukrytym froncie, gdzie od lat walczą ze sobą służby specjalne Rosji i Zachodu.

Front od Skandynawii po Bałkany

W piątym dniu rosyjskiej inwazji na Ukrainę HUR, czyli wojskowy wywiad ukraiński (w starciu z Rosją dużo skuteczniejszy niż cywilna SBU), opublikował długą listę osób uznawanych za aktywnych agentów rosyjskich. W sumie nazwiska i dane kontaktowe przeszło 600 ludzi. To była bez wątpienia przykra niespodzianka dla Rosjan. Choć dotknęła przede wszystkim FSB. A należy pamiętać, że zagraniczny wywiad Rosji, szczególnie poza dawnym ZSRS i dawnymi demoludami, to jednak przede wszystkim cywilny wywiad SWR (Służba Wywiadu Zagranicznego wywodząca się bezpośrednio z I Zarządu Głównego KGB) i wojskowy wywiad GRU. Niemiecki tygodnik „Spiegel" szacuje, że na Zachodzie żyją dziesiątki tysięcy osób pracujących dla rosyjskich służb. Niedawny raport SUPO, fińskiego kontrwywiadu, podkreśla, że w wyniku wojny rosyjscy oficerowie wywiadu zostali w większości odcięci od swoich sieci, ale uciekają się do alternatywnych środków. Przede wszystkim Moskwa wybudza swoich „śpiochów", czyli dawno temu umieszczonych za granicą nielegałów. Wojenne okoliczności sprawiają, że są to działania coraz gorzej przygotowane pod względem operacyjnym. Stąd kolejne spektakularne wpadki rosyjskich szpiegów.

Od początku inwazji Rosji na Ukrainę francuski kontrwywiad wykrył kilku agentów rosyjskich służb wojskowych, którzy działają teraz pod nowymi przykrywkami – podał w październiku „Le Monde". Opisując jedną z poważniejszych spraw. Otóż latem 2022 roku kontrwywiad udaremnił próbę przerzucenia do Francji Aleksandra Kułagina, oficera GRU z jednostki 29155. Specjalizuje się ona w operacjach dywersyjnych za granicą. To w niej służą m.in. dwaj „turyści z Salisbury", którzy wzięli udział w otruciu Siergieja Skripala. Wcześniej, bo w marcu, specjalna jednostka austriackiego MSW zatrzymała 39-letniego obywatela Grecji. Uważano go za szczególnie groźnego. W mieszkaniu na obrzeżach Wiednia znaleziono wykrywacz podsłuchów i ukryte kamery, kombinezon sapera zapewniający bezpieczeństwo podczas rozminowywania oraz skrytki do przekazywania informacji. Przeszedł specjalne szkolenie wojskowe w Rosji. Jego ojciec również był związany z GRU – pracował pod przykrywką rosyjskiego dyplomaty w Niemczech i Austrii.

Również w marcu bułgarskie służby poinformowały o dochodzeniu w sprawie generała rezerwy, zatrudnionego w resorcie obrony, który miał współpracować z radcą ambasady Rosji w Sofii. Generał miał dostęp do tajnych informacji NATO i Unii Europejskiej, uczestniczył w misjach zagranicznych; tajne informacje miał przekazywać stronie rosyjskiej od 2016 roku. W tym samym miesiącu skandal szpiegowski wybuchł na Słowacji. Narodowa Agencja Kryminalna Słowacji (NAKA) rozpracowała siatkę, której centralną postacią był płk Pavel Buczyk z resortu obrony. GRU szczególnie interesowało to, co dotyczyło relacji wojskowych NATO z Ukrainą. Słowacja wydaliła wówczas trzech rosyjskich dyplomatów, którzy kierowali siatką szpiegowską.

Wróćmy jednak na Bałkany. W sierpniu w Albanii aresztowano dwoje Rosjan i Ukraińca, którzy próbowali robić zdjęcia na obrzeżach zakładu zbrojeniowego pod Tiraną. Ale prawdziwa bomba wybuchła we wrześniu, gdy w sąsiedniej Czarnogórze służby zgarnęły w spektakularnej akcji blisko 40 osób pod zarzutem działalności szpiegowskiej: sześciu rosyjskich dyplomatów, 30 obywateli Rosji z pozwoleniem na pobyt czasowy i dwóch Czarnogórców. Władzom w Podgoricy pomogło amerykańskie FBI. Czarnogóra to jeden z najgorętszych frontów hybrydowej wojny Rosji. Wszak kilka lat temu GRU próbowało przeprowadzić tam zamach stanu i powstrzymać wejście bałkańskiego kraju do NATO.

Rosyjski wywiad zaliczył też straty w szeregach nielegałów. W czerwcu holenderska Służba Wywiadu i Bezpieczeństwa (AIVD) udaremniła zatrudnienie agenta GRU w Międzynarodowym Trybunale Karnym w Hadze. Siergiej Czerkas udawał brazylijskiego pracownika naukowego Viktora Mullera Ferreirę. Brazylijską „legendę" miał też nielegał aresztowany w Norwegii. Pierwszy taki przypadek w tym skandynawskim kraju. Sąd w Oslo aresztował w październiku mężczyznę, który według służby specjalnej PST był Rosjaninem, 44-letnim Michaiłem Mikuszynem, który podawał się za 37-letniego brazylijskiego naukowca Jose Assisa Giammarię. Przybył do Norwegii formalnie w celach naukowych jesienią 2021 roku, zajmował się m.in. regionem Dalekiej Północy oraz zagadnieniami wojny hybrydowej. Oprócz nielegała z uniwersytetu, w Norwegii aresztowano też na jesieni 2022 roku jeszcze dziewięciu

FOT. ADOBE STOCK.

eprasa.pl 0c7443f31f

obywateli Rosji. Zarzucano im kierowanie dronami w przestrzeni powietrznej z naruszeniem zakazu wprowadzonego po wojnie na Ukrainie czy fotografowanie tajnych obiektów w strefach zastrzeżonych.

Imigranci podwyższonego ryzyka

Dwaj bracia z irańskiej rodziny, która do Szwecji przyjechała w latach 80. XX wieku, dostali obywatelstwo w 1994 roku. Peyman Kia ukończył studia na Uniwersytecie Uppsalskim i został śledczym w służbach celnych. Szybko przyjęto go do SÄPO. Tam przepracował trzy i pół roku. W lutym 2011 roku z cywilnego kontrwywiadu trafił do wojskowego wywiadu MUST, gdzie pracował w ściśle tajnym Urzędzie Wywiadu Specjalnego (KSI), który m.in. współpracuje z agentami za granicą i rekrutuje szpiegów. Krótko po zatrudnieniu w MUST Peyman zaczął szpiegować dla GRU. Robił to też później, gdy wrócił do SÄPO. I potem, na stanowisku naczelnika służby bezpieczeństwa w Szwedzkiej Agencji ds. Żywności (od grudnia 2015 roku). Młodszy o siedem lat brat Payam nie odnosił takich sukcesów. Zaczął studiować w akademii policyjnej, porzucił ją po jednym semestrze. Według władz, zaczęli szpiegować dla Rosji we wrześniu 2011 roku i robili to aż do jesieni 2021 roku. Peyman miał m.in. przekazać Rosjanom całą listę pracowników SÄPO. To tak jakby wręczyć Rosjanom listę, kogo mogą zwerbować... Bracia byli hojnie wynagradzani dolarami, które wymieniali na korony szwedzkie i wpłacali na swoje konta bankowe.

W listopadzie 2022 roku ruszył proces szpiegów (zakończony wyrokiem opisanym na wstępie artykułu) pochodzących z Iranu, i w tym samym niemal czasie szwedzki kontrwywiad schwytał parę szpiegów pochodzących z Rosji. Specjalsi wylądowali na dachu willi należącej do małżeństwa biznesmenów Siergieja Skworcowa i Jeleny Kulkowej. Rosjan, którzy przeprowadzili się do Szwecji pod koniec lat 90 XX wieku i później uzyskali szwedzkie obywatelstwo. Władze szwedzkie twierdzą, że oboje wyemigrowali do Sztokholmu na polecenie GRU. Po osiedleniu się w Szwecji pracowali w sektorze technologii importu i eksportu. GRU aktywowało ich dopiero po uzyskaniu przez nich szwedzkiego obywatelstwa. Małżeństwo prowadziło dwie firmy zajmujące się importem oraz eksportem elektroniki, m.in. dla przemysłu lotniczego. Byli częścią głęboko zakonspirowanej siatki, której głównym celem jest pozyskiwanie technologii dla rosyjskiego przemysłu wojskowego. Według ustaleń portali The Insider i Bellingcat, pod jednym z adresów zameldowania Skworcowa, Kulkowej i jej córki Anny – ulica Sorge 36 w Moskwie – byli oni sąsiadami kilku oficerów GRU, w tym generała majora Denisa Siergiejewa, który brał udział w operacji otrucia Siergieja Skripala i jego córki Julii.

Proces irańskich braci Kia czy sprawa rosyjskiego małżeństwa Skworcowa i Kulkowej pokazują, że skala szpiegostwa Rosji w Szwecji jest bardzo poważna. Zresztą potwierdzają to też inne sprawy. We wrześniu 2021 roku uznany za winnego szpiegostwa na rzecz Rosji został konsultant firm samochodowych Volvo i Scania. Rosjanin decyzją sądu rejonowego w Göteborgu został skazany na trzy lata więzienia. 47-latek został zatrzymany w lutym 2019 roku w restauracji w centrum Sztokholmu po spotkaniu z oficerem rosyjskiego wywiadu działającym pod osłoną immunitetu dyplomatycznego. W lutym 2021 roku podejrzanemu postawiono zarzut odpłatnego ujawnienia informacji o firmach, w których pracował – Volvo Cars w Göteborgu i Scania CV w Södertälje. Szwedzkie media informują też o sprawie rosyjskiego biznesmena, którym zajęła się skarbówka. Urząd skarbowy zażądał spłaty do końca stycznia zaległości podatkowych na łączną kwotę ponad 224 mln koron (około 21,3 mln dolarów). Po przeprowadzeniu kontroli komornicy zajęli mienie należące do Rosjanina o łącznej wartości 9,13 mln dolarów, w tym apartament w Sztokholmie, działkę przy bazie marynarki wojennej w Archipelagu Sztokholmskim, samochód porsche i zegarek marki Rolex. Nazwisko biznesmena nie zostało ujawnione.

Niemieckie słabe ogniwo

Na początku stycznia szef Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV), czyli niemieckiego kontrwywiadu, ostrzegł przed rosnącą aktywnością Rosji w RFN po inwazji na Ukrainę. Thomas Haldenwang przyznał, że wydalenie w kwietniu ubiegłego roku 40 rosyjskich oficerów wywiadu pracujących pod przykrywką dyplomatów, nie przetrąciło kręgosłupa szpiegowskiej aktywności Moskwy w Niemczech. Wszak jeszcze w kwietniu poinformowano, że zatrzymano wcześniej oficera rezerwy Bundeswery, Ralpha G., który przekazywał Rosjanom informacje wywiadowcze o obronie cywilnej, systemie rezerw federalnych, a także dane o Nord Stream 2. Również w kwietniu poinformowano, że brytyjskie służby zatrzymały pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji ochroniarza, który pracował w ambasadzie brytyjskiej w Berlinie. Był agentem od października 2020 do sierpnia 2021 roku. Informacje o adresach, numerach telefonów i działaniach różnych brytyjskich urzędników

eprasa.pl 0c7443f31f

państwowych przekazywał attaché wojskowemu Rosji. W listopadzie przyznał się do winy przed sądem w Londynie. Grozi mu 14 lat więzienia. Wyrok usłyszał już, w listopadzie, wspomniany Ralph. G. Dostał 1 rok i 9 miesięcy pozbawienia wolności. Warunkowo. Łagodny wyrok tłumaczono tym, że większość informacji nie była tajna i była dostępna w otwartych źródłach.

Jeszcze w lipcu „Bild" pisał, że w Niemczech aż roi się od rosyjskich szpiegów. Dziennikarze wspominali o około 200 agentach wywiadu Rosji obserwowanych przez kontrwywiad na terytorium RFN. W sumie jednak Moskwa może mieć nawet około 2 tys. osób pracujących dla jej służb w Niemczech. Głośny był na przykład przypadek biznesmena Alexandra S. w sprawie wspomagania produkcji broni chemicznej w Rosji oraz omijania unijnych sankcji w tym zakresie. Skazany miał także dostarczać do Rosji bez zezwoleń specjalistyczny sprzęt laboratoryjny, przeznaczony do opracowywania broni masowego rażenia, działając w ramach „tajnej sieci zaopatrzenia, kontrolowanej przez tajne służby Kremla". Tenże Kreml na wydalenie „dyplomatów" wiosną 2022 roku zareagował na dwa sposoby. Po pierwsze, za pomocą „podróżujących operatorów", czyli oficerów wywiadu, którzy stacjonują w krajach trzecich i przyjeżdżają do Niemiec w celu przeprowadzenia konkretnych operacji. Po drugie, za pomocą agentów bez oficjalnego przykrycia, czyli agentów niemających jawnych związków z rosyjskim rządem. Jednak niewątpliwie najcenniejsi są dla Rosji szpiedzy umieszczeni w Bundeswehrze i służbach specjalnych RFN.

Wcześniejsze sprawy szpiegowskie to jednak nic w porównaniu z tym, co się wydarzyło w BND. Zatrzymany pod koniec grudnia funkcjonariusz niemieckiego wywiadu Carsten L. to pierwszy przedstawiciel wywiadu aresztowany pod zarzutem szpiegostwa od 2014 roku. Federalna Służba Wywiadu otrzymała informacje o krecie od sojuszniczej służby wywiadowczej. Nie wiadomo, jak długo Carsten L. prowadził swoją działalność w szeregach niemieckiego kontrwywiadu. Wiadomo, że przekazywał informacje po ataku Rosji na Ukrainę. Miał dostęp do tajnych informacji dotyczących wojny, choćby zdjęć robionych przez niemieckie satelity wojskowe. Co gorsza, departament Carstena L. przetwarzał materiał wywiadowczy z Rosji i Ukrainy uzyskany przez inne zachodnie agencje szpiegowskie. Zdrajca miał dostęp do tajemnic, którymi dzieliła się z Niemcami wspólnota wywiadowcza The Five Eyes. Czyli służby USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, Australii i Nowej Zelandii.

Sprawa Carstena L. – być może największa klęska zachodniego świata wywiadowczego od zakończenia zimnej wojny – pokazuje fatalną kondycję kontrwywiadowczą Niemiec. To konsekwencja polityki realizowanej od wielu lat. Berlin zaczął lekceważyć zagrożenie szpiegowskie z Rosji przeszło dwie dekady temu. Źle, że Niemcy nie wyciągnęli podobnych wniosków, co sojusznicy, po aneksji Krymu i potem zamachu na Skripala. Politycy dążyli niestety do zbliżenia z Rosją. Zignorowano nawet coś takiego, jak seria włamań do domów pracowników CIA w Niemczech (2020), uznając to za czyny kryminalne. Pod rządami Angeli Merkel kontrwywiad miał spętane ręce, jeśli chodzi o odcinek rosyjski. Po zmianie władzy i objęciu stanowiska kanclerza przez polityka socjaldemokracji doszło do jeszcze bardziej niezrozumiałej decyzji. Jak ujawnił magazyn „Focus", w styczniu 2022 roku szef BfV nakazał swoim pracownikom zaprzestania „grzebania w aktach szpiegowskich jakichś czterech panów" i skupienie się na tropieniu neonazistów i tzw. obywateli Rzeszy. Takie polecenie wydała federalna minister spraw wewnętrznych Nancy Feiser z SPD – nawiasem mówiąc, partii Gerharda Schroedera, tradycyjnie prorosyjskiej. Tymczasem według BfV, Rosja przestawiła się ostatnio na szpiegostwo przemysłowe, próbując zrekompensować utratę dostępu do zachodnich technologii z powodu sankcji. Drugi obszar szpiegostwa to obronność i zaangażowanie Niemiec (i Zachodu) w pomoc Ukrainie. Trzeci obszar to działania dywersyjne, celem których jest zachodnia infrastruktura. Nie tylko Nord Stream, o czym świadczy dywersja, która w październiku czasowo wstrzymała cały ruch kolejowy na północy Niemiec. ■

Czarnogóra to jeden z najgorętszych frontów hybrydowej wojny Rosji. Wszak kilka lat temu GRU próbowało przeprowadzić tam zamach stanu i powstrzymać wejście bałkańskiego kraju do NATO.

eprasa.pl 0c7443f31f

Olga Doleśniak-Harczuk



Bismarck w światach równoległych

Otto von Bismarck w płaszczu deszczowym i kapeluszu, po dwóch stronach kroczą dogi niemieckie „Psy Rzeszy" – Rebecca i Tyrus II. Bismarck uwielbiał towarzystwo swoich dogów, nie mniej niż przed nim stary Fryc szalał na punkcie charcików włoskich, do których kazał się zwracać służbie na pan/pani. Muzeum Bismarcka w miejscowości Friedrichsruh gromadzi wiele pamiątek po żelaznym kanclerzu, wśród nich również zdjęcia z psami, prezenty urodzinowe (niektóre dość szkaradne zresztą, jak m.in. obraz, na którym namalowano muzy wielbiące popiersie obdarowanego), jest i płaszcz deszczowy. Tu, w zacisznym Friedrichsruh jeszcze chyba nie słyszano, że w Berlinie sala imienia Bismarcka w gmachu resortu dyplomacji zamieniła się w salę imienia Zjednoczenia Niemiec.

eprasa.pl 0c7443f31f

Co ma Baerbock do Bismarcka? – głowiono się w „Bildzie". Ta pani nie ma świadomości historii Niemiec – irytował się jeden z potomków kanclerza Rzeszy, Aleksander von Bismarck. A potem były listy. Dużo listów. W tym ten jeden, wyjątkowy.

Nogawka grozy

„Szanowna Pani Minister, proszę wykazać się choć elementarną solidarnością z doniosłymi faktami naszej historii. Historii nie da się wymazać!" – w takim duchu na niedawną decyzję urzędników niemieckiego MSZ-u o przemianowaniu Sali Bismarcka na salę Zjednoczenia Niemiec zareagował w liście zaadresowanym do Annaleny Baerbock potomek żelaznego kanclerza, Ernst von Bismarck. Decyzja o usunięcia bismarckowej tabliczki znad urządzonej à la późny Honecker sali, zapadła po głosowaniu w gronie sekretarzy stanu i kluczowych urzędników MSZ-u. Bismarcka usunięto. Powiew świeżości, jaki miała wnieść zielona minister dyplomacji do przykurzonego gmachu przy Werderscher Markt, dla niektórych okazał się tym samym tajfunem. W liście do Baerbock, Ernst von Bismarck wylicza „argumenty za demokratycznym wydźwiękiem polityki Bismarcka", ale i nie omija „błędów popełnionych przez swego przodka, takich jak na przykład Kulturkampf". Przypomina ponadto, że w tym roku przypada 125. rocznica śmierci kanclerza Rzeszy, co wypadałoby upamiętnić, zwłaszcza że nie kto inny, a „właśnie Bismarck dał podwaliny pod dzisiejszy resort dyplomacji". Trudno powiedzieć, co pomyślała Annalena Baerbock jako orędowniczka tzw. feministycznej polityki zagranicznej (w liście jednym z argumentów za zachowaniem nazwy sali było to, że Bismarck ustanowił prawo do powszechnych, równych i tajnych wyborów [wyłącznie] dla męskiej części populacji), ale media podchwyciły wieść, że to nie ona nalegała na zmianę, ale jeden z urzędników MSZ-u, który już od dawna szykował zamach na tabliczkę. Źródła wspominają, że w 1878 roku podczas Kongresu Berlińskiego, Bismarck pojawił się ze swoim psem, dogiem niemieckim Tyrasem I. Pupil skoczył na rosyjskiego ministra dyplomacji, Aleksandra Gorczakowa, rozrywając mu nogawkę spodni. Na cześć „szlachetnego Sułtana, psa nad psami"(autorzy pomylili sprawcę zamieszania, Tyrasa I z jego poprzednikiem Sułtanem) powstał wiersz opublikowany tuż po kongresie na pierwszej stronie magazynu satyrycznego „Kladderadatsch". Może gdyby Ernst von Bismarck zamiast usypiać Annalenę Baerbock „doniosłymi faktami z historii" przytoczył anegdotę z nogawką Gorczakowa, zdołałby ją zmiękczyć. A tak jedyną psią historią, która zostanie z Niemcami jeszcze długie lata, będzie ta pisana przez zbrodniarza z Kremla, który straszył kanclerz Merkel czarną labradorką.

Wszystko przez Fischera

W toku dziennikarskiego śledztwa wyszło na jaw, że sam Joschka Fischer, dawny zielony szef MSZ-u, czyli partyjny krewniak Annaleny Baerbock, importował salę im. Bismarcka z Bonn. Po zjednoczeniu Niemiec, kiedy przenoszono struktury do Berlina, przyjechał i Bismarck. Jak wspomina były szef Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, Wolfgang Ischinger, który w 1998 roku był sekretarzem stanu w resorcie Fischera: „Bismarck zabrał się po prostu z nami do Berlina". Jak przypomina „Spiegel", już wtedy Zieloni zgłaszali zastrzeżenia do nazwy, pachniała im nacjonalizmem, ale Fischer nie zareagował. I tak przetrwały i sala, i zawieszony w niej portret Bismarcka pędzla Franza Lenbacha (Lenbach namalował 80 portretów Bismarcka).

Ale jest drugie dno tej historii. Ponieważ zjednoczone Niemcy stworzyły sobie światy równoległe i w Bonn wciąż znajdują się budynki MSZ-u działające i ogólnie wykorzystywane, to Bismarck nie do końca opuścił dawną siedzibę. W Bonn nadal jest jego sala, tylko zamiast oryginału portretu na ścianie, wisi jego kopia. I teraz ta kopia zostanie zastąpiona oryginałem przywiezionym z Berlina. Wszystko zostaje, sala będzie żyła swoim drugim bońskim życiem, a w Berlinie zagości wśród zielonego skrzydła rządu miłe poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Niewiadoma

W połowie stycznia szwajcarski dziennik „Neue Zürcher Zeitung" w felietonie poświęconym antybismarckowej wolcie niemieckich Zielonych, przypomniał słowa brytyjskiego historyka i autora biografii żelaznego kanclerza, A.J.P. Taylora, który napisał, że „jeżeli chcemy sprawdzić, co się aktualnie dzieje z Niemcami, spójrzmy na ich stosunek do Bismarcka". I teraz tak: z Berlina wygnali, w Bonn przyjęli. I w dodatku rosyjska nogawka jeszcze cała. Brytyjscy historycy mają poczucie humoru. Brytyjskie. ■

eprasa.pl 0c7443f31f

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Hongkong–Chiny–Wielka Brytania

W artykule[1], jaki ukazał się 17 stycznia br. na łamach „Daily Telegraph", Benedict Rogers, konserwatysta, brytyjski działacz na rzecz praw człowieka i założyciel fundacji Hong Kong Watch, oskarża rząd Wielkiej Brytanii o podejmowanie niewystarczających działań na rzecz uratowania przed więzieniem w Chinach Jimmy'ego Lai, hongkońskiego biznesmena, brytyjskiego obywatela oraz katolika.

Lai jest założycielem gazety „Apple Daily", która była największym dziennikiem w Hongkongu o nastawieniu antykomunistycznym. W 2021 roku władze Chin doprowadziły do likwidacji wydawnictwa i gazety Laia. W kwietniu tego samego roku Lai został skazany na 14 miesięcy więzienia za udział w nielegalnym zgromadzeniu. Miesiąc później usłyszał wyrok dodatkowych 14 miesięcy pozbawienia wolności za swoją rolę w innym nieautoryzowanym wiecu w 2019 roku. Oba wyroki zmieniono na łączną karę 20 miesięcy pozbawienia wolności. 9 grudnia 2021 roku Lai został skazany na kolejne 13 miesięcy za udział w zakazanym czuwaniu przy świecach upamiętniającym masakrę na placu Tiananmen.

Jimmy Lai przebywa w więzieniu od grudnia 2020 roku. We wrześniu bieżącego roku rozpocznie się kolejna rozprawa przeciwko niemu, wytoczona na podstawie narzuconej w 2020 roku Hongkongowi przez Pekin „Ustawy o bezpieczeństwie narodowym". Po chińskiej stronie pojawiają się sugestie, że proces mógłby zostać przeniesiony do komunistycznych Chin, a to znaczy, że 75-letni Lai może spędzić resztę życia w chińskim więzieniu. Jak zauważa Benedict Rogers, „reżim Komunistycznej Partii Chin w Pekinie i ich kolaboranci w Hongkongu wydają się zdeterminowani, by trzymać Laia za kratkami przez długi czas. Dlaczego? Za mówienie władzy prawdy. Lai od trzydziestu lat jest jednym z czołowych, szczerych do bólu i odważnych krytyków Pekinu w Hongkongu".

Rogers pisze, że zanim Iran wykonał 14 stycznia bieżącego roku wyrok śmierci na brytyjsko-irańskim obywatelu Alireze Akbari, działania brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Jamesa Cleverly, by ratować Akbari, były niewystarczające, bo ograniczyły się głównie to wpisu na Twitterze, że Londyn „obserwuje" sprawę uważnie. „Niestety, tweet – bez określenia konsekwencji lub działań – nie wystarczył, aby zapobiec brutalnemu morderstwu" – pisze Rogers.

Brytyjski działacz na rzecz praw człowieka obawia się, że w przypadku innego brytyjskiego obywatela – Jimmy'ego Lai – może także dojść do tragedii, jeśli rząd Jego Królewskiej Mości nie będzie działał bardziej zdecydowanie.

Gdy na początku stycznia syn Jimmy'ego Laia, Sebastian, przybył do Londynu z intencją rozmowy z premierem Rishim Sunakiem, okazało się, że możliwe było tylko spotkanie z urzędniczką z MSZ. Syn Laia stwierdził, że „Stany Zjednoczone zrobiły więcej, aby poprzeć sprawę jego ojca, niż Wielka Brytania. Rząd brytyjski nie wydał żadnego oświadczenia od czasu aresztowania Laia w grudniu 2020 roku".

Benedict Rogers twierdzi, że Wielka Brytania powinna domagać się, aby konsul tego kraju miał dostęp do Jimmy'ego Laia. Powinny także zostać nałożone sankcje na szefa administracji w Hongkongu Johna Lee i innych urzędników odpowiedzialnych za

[1] https://www.telegraph.co.uk/news/2023/01/17/government-abandoning-jimmy-lai-british-citizen-beijings-prisons/

eprasa.pl 0c7443f31f

uwięzienie Laia. Londyn powinien także podnieść sprawę hongkońskiego wydawcy z brytyjskim obywatelstwem na forum ONZ. Ważne jest również wsparcie dla brytyjskiej prawnik Laia, Caoilfhionn Gallagher, która od momentu gdy podjęła się prawnej pomocy dla Jimmy'ego Laia, otrzymuje groźby śmierci i gwałtu.

„W ciągu ostatnich pięciu lat miałem zaszczyt poznać Jimmy'ego Laia i jego rodzinę. Ich odwaga i zaangażowanie są inspirujące. Lai ma nieruchomości na całym świecie i w każdej chwili mógł opuścić Hongkong w celu wygodnego, bezpiecznego życia w Londynie, Nowym Jorku, Kanadzie lub na Tajwanie. Ale zdecydował się pozostać i zostać uwięzionym za swoje przekonania. Nie chcę, żeby umarł w więzieniu. Wielka Brytania ma obowiązek dopilnować, aby do tego nie doszło" – kończy swój artykuł Benedict Rogers.

Chiny

Komunistyczna Partia Chin ogłosiła, że od 1 lipca będzie wymagać od chińskich dziennikarzy zdania egzaminu zawodowego, który sprawdzi ich poprawność polityczną i lojalność wobec chińskiej władzy. Ci, którzy nie będą popierać przywództwa KPCh oraz sumiennie studiować i nagłaśniać myśli prezydenta Chin Xi Jinpinga, stracą legitymację prasową. Obecnie legitymacje prasowe są ważne tylko przez pięć lat, co oznacza, że dziennikarze prawdopodobnie będą musieli ponownie przystępować do egzaminu co pięć lat.

Represje wobec dziennikarzy w Chinach nasiliły się już kilka lat temu. W 2014 roku wprowadzono wymóg studiowania przez nich marksizmu. Gong Yujian, chiński dysydent mieszkający na Tajwanie, twierdzi, że krytykowanie rządzących polityków przez prasę jest zupełnie niemożliwe w Chinach. „Pod tą jednopartyjną dyktaturą nie ma wolności prasy ani słowa. Żaden dziennikarz z sumieniem nie przetrwa w tym zawodzie" – powiedział Gong. Chiny od lat są w czołówce państw, w których dziennikarze narażeni są na prześladowania i więzienie. Według raportu organizacji Dziennikarze bez granic, Państwo Środka więzi najwięcej dziennikarzy na świecie. W 2022 roku było to 110 osób.

Coraz bardziej zagrożeni są też zagraniczni dziennikarze zajmujący się tematami niewygodnymi dla KPCh. W 2021 roku podczas panelu zorganizowanego przez Narodowy Klub Prasowy Australii, Michael Smith, reporter „The Australian Financial Review", stwierdził, że „w Chinach nie ma miejsca na jakiekolwiek opinie, które nie są zbieżne z tym, co sądzi Komunistyczna Partia Chin". Według niego, Chiny kiedyś entuzjastycznie witały zagranicznych dziennikarzy, by ci „rozpowszechniali informacje o chińskim cudzie gospodarczym". Teraz zewnętrzni reporterzy są „ledwo tolerowani" w tym kraju. Sam Smith mieszkał w Szanghaju i relacjonował dla swojej gazety wydarzenia w Chinach do września 2020 roku, kiedy to rząd Australii ewakuował go wraz z kilkoma innymi dziennikarzami w związku z obawami dotyczącymi ich bezpieczeństwa.

Korea Południowa

Prezydent Korei Południowej Yoon Suk-yeol stwierdził, że w związku kolejnymi prowokacjami Korei Północnej, Seul myśli o pozyskaniu broni jądrowej. „Północnokoreańskie zagrożenie nuklearne nie jest już tylko zagrożeniem dla Korei Południowej czy kwestią ochrony Korei Południowej przez Stany Zjednoczone. Stało się ono tak zwanym wspólnym interesem Korei Południowej, Japonii i USA" – powiedział Yoon 11 stycznia po spotkaniu z południowokoreańskimi wojskowymi i urzędnikami odpowiadającymi za bezpieczeństwo narodowe.

Ubiegły rok upłynął pod znakiem intensywnych testów północnokoreańskich pocisków rakietowych. Przeprowadzono ich przeszło siedemdziesiąt, w tym po raz pierwszy od pięciu lat odpalono międzykontynentalny pocisk balistyczny.

Seulowi nie chodzi jednak tylko o obronę przed zagrożeniem ze strony Korei Płn. Wyzwaniem są także Chiny, które ogłosiły zamiar znacznego zwiększenia arsenału jądrowego. W ubiegłym roku Pentagon informował, że w ChRL ma miejsce poważny rozrost sił nuklearnych i że Pekin planuje zwiększenie liczby głowic nuklearnych do 1000 do 2030 roku. Pekin odmawia negocjowania redukcji zbrojeń nuklearnych, argumentując to tym, że arsenał USA cały czas znacznie przewyższa arsenał jądrowy Chin. W październiku ubiegłego roku podczas XX Zjazdu KPCh Xi Jinping mówił o potrzebie rozwoju sił zbrojnych, w tym arsenału odstraszania strategicznego.

Prezydent Korei Południowej Yoon twierdzi, że istnieją dwie opcje pozyskania przez jego kraj broni jądrowej. Pierwszą jest ponowne rozmieszczenie na terenie Korei Płd. amerykańskiej broni jądrowej. W 1991 roku na fali odprężenia towarzyszącego zakończeniu zimnej wojny Amerykanie wycofali z półwyspu swoje systemy taktyczne. Druga opcja zakłada samodzielne stworzenie przez Koreę Południową arsenału jądrowego.

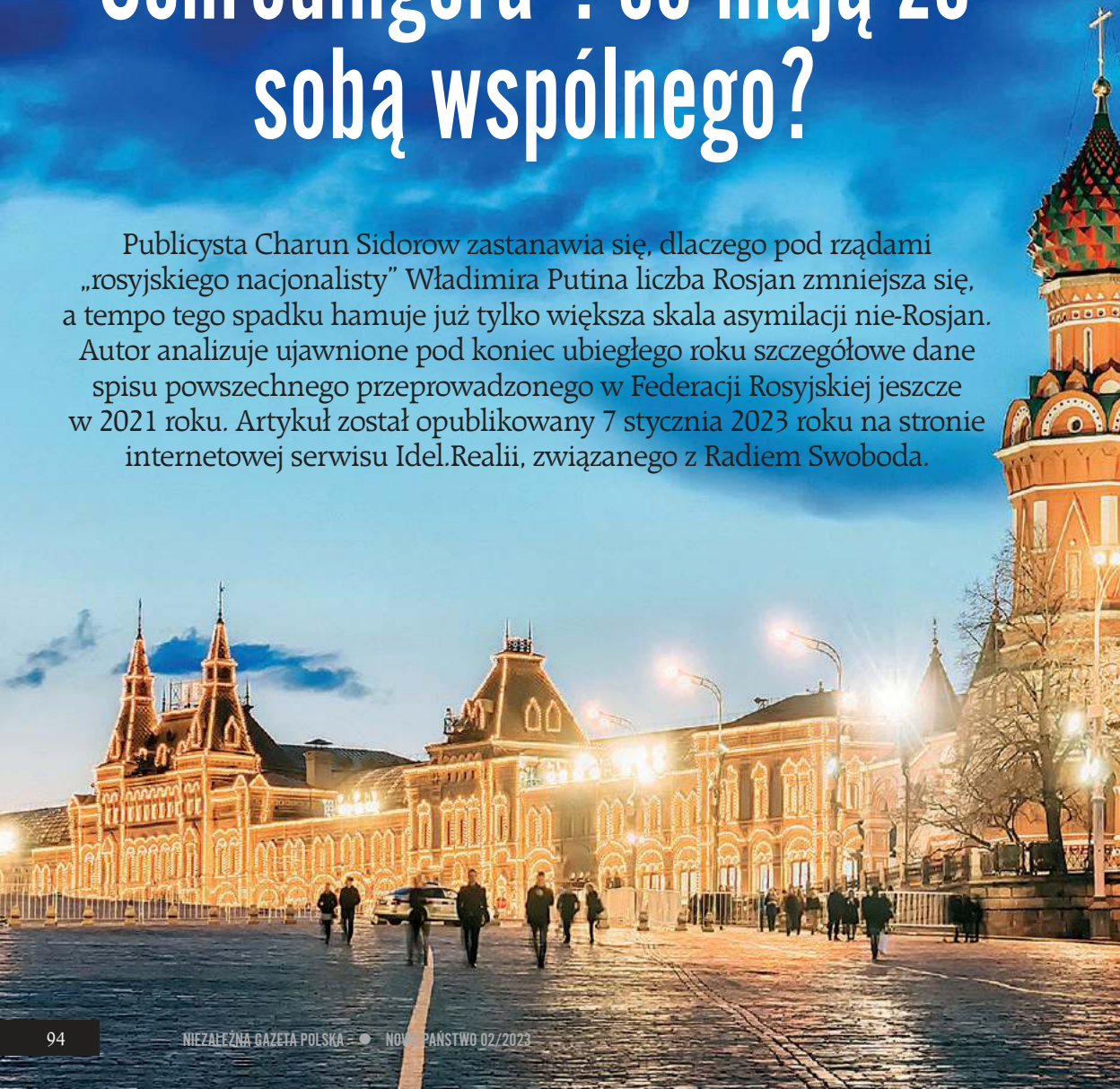
Jak na razie Stany Zjednoczone zarówno nie chcą ponownego rozmieszczenia własnej broni jądrowej na Półwyspie Koreańskim, jak i nie wyrażają zgody na pozyskanie jej przez Seul. Władze obawiają się efektu domina i nuklearnego wyścigu zbrojeń w Azji Wschodniej, do którego mogą poza Chinami i Koreą Płd. dołączyć także Japonia i Tajwan. ■

eprasa.pl 0c7443f31f

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

„Ruski mir” Putina i „kot Schrödingera”: co mają ze sobą wspólnego?

Publicysta Charun Sidorow zastanawia się, dlaczego pod rządami „rosyjskiego nacjonalisty” Władimira Putina liczba Rosjan zmniejsza się, a tempo tego spadku hamuje już tylko większa skala asymilacji nie-Rosjan. Autor analizuje ujawnione pod koniec ubiegłego roku szczegółowe dane spisu powszechnego przeprowadzonego w Federacji Rosyjskiej jeszcze w 2021 roku. Artykuł został opublikowany 7 stycznia 2023 roku na stronie internetowej serwisu Idel.Realii, związanego z Radiem Swoboda.





fot. Adobe Stock

Dane spisu powszechnego w Rosji według kryterium narodowości mieszkańców kraju już nieraz były omawiane przez autorów i czytelników Idel.Realii odnośnie do różnych narodów: Tatarów, Baszkirów, Czuwaszów i Udmurców, Maryjczyków, Mordwinów, Kałmuków. Niemal we wszystkich przypadkach wyniki spisu nie są dla rdzennych narodów szczególnie wesołe, w wielu są całkiem smutne. Wydawać by się więc mogło, że świadczy to o skuteczności budowy przez Kreml jego „ruskiego mira", w którym odbywa się rusyfikacja narodów nierosyjskich. Jednak, sądząc po danych spisu powszechnego odnośnie do samych Rosjan, putinowski „ruski mir" przypomina „kota Schrödingera": jeśli popatrzeć z jednej strony, to żyje i ma się znakomicie, a jeśli z innej – to wymiera.

Ponad 5 milionów mniej

Należy tu poczynić zastrzeżenie, że danych ze spisu powszechnego 2021 roku zdecydowanie nie należy traktować jako wiarygodnych. Po pierwsze dlatego, że takie powinno być założenie dla absolutnie wszelkich oficjalnych danych w postsowieckiej Rosji, niezależnie od tego, czy dotyczą wyników „wyborów", strat w walkach czy spisów ludności. Po drugie dlatego, że ten konkretny spis zebrał rekordową liczbę skarg i zastrzeżeń, przez co jego wyniki są jednymi z najmniej wiarygodnych spośród wszystkich spisów przeprowadzonych w kraju.

Tym niemniej, jeśli chodzi o Rosjan, ku mojemu zdziwieniu nawet oficjalne dane tego spisu potwierdziły słuszność mojej prognozy przedstawionej rok temu. A dokładniej: „W ostatnich latach funkcjonuje mit o 80 proc. Rosjan w Rosji, co jakoby daje im carte blanche na przekształcenie jej w »unitarne rosyjskie państwo« z postępującą w efekcie tego asymilacją »wielonarodowców«. Tymczasem nawet w ostatnim spisie Rosjan było 80,90 proc. nie w łącznej liczbie ludności, ale wśród tych, którzy wskazali narodowość, podczas gdy wśród ogółu mieszkańców Rosji jako etniczni Rosjanie zadeklarowało się 77,71 proc. Biorąc pod uwagę wszystkie dostępne dane tymczasowe, jasne jest, że bez »cudów elektronicznego głosowania« pod koniec jeszcze jednej dekady polityki »głównego rosyjskiego nacjonalisty« dzisiaj liczba ta realistycznie nie przekracza 75 proc., a nawet 70 proc.".

Dokładnie potwierdzają to nawet oficjalne dane spisu powszechnego, według których liczba tych, którzy jako swoją narodowość wskazali rosyjską, wynosi nie 77,71 proc., jak w 2010 roku, ale 71,73 proc. Jednocześnie w liczbach bezwzględnych,

c7443f31f

w ciągu kolejnej dekady rządzenia „głównego rosyjskiego nacjonalisty" Putina, liczba Rosjan w Rosji do 2021 roku zmniejszyła się o 5 437 717 osób, gdyż według poprzedniego spisu powszechnego było ich 111 016 896, a w najnowszym jest 105 579 179. I to przy uwzględnieniu faktu, że poprzedni spis nie obejmował ludności anektowanego Krymu, co w 2021 roku statystycznie zrekompensowało część strat, jeszcze większych jeśli mowa o ludności w uznanych przez społeczność międzynarodową granicach Rosji.

Demograficzne konsekwencje wojny

Wszystko to działo się już przed wybuchem w 2022 roku wielkiej wojny rosyjsko-ukraińskiej, której ogólne, w tym demograficzne, konsekwencje zbyt wcześnie oceniać przed jej zakończeniem. Choć już wiadomo, że będą one katastrofalne dla wielu rdzennych mieszkańców kraju, w tym Rosjan. Bo oprócz śmiertelnych strat bojowych setek tysięcy, a może i milionów mężczyzn w wieku reprodukcyjnym oraz odpływu z kraju kolejnych setek tysięcy, a może i milionów takich mężczyzn, nastąpi dalszy spadek liczby urodzeń z powodu niepewności przyszłości. Poza tym jeśli mówimy konkretnie o Rosjanach, to ewentualna klęska „ruskiego mira" w wojnie, której jego ideolodzy nadali charakter egzystencjalny, może mieć najbardziej dramatyczne konsekwencje dla rosyjskiej tożsamości w postaci odpływu jej nosicieli albo do innych tożsamości, albo po prostu donikąd.

Skoro mowa o wynikach spisu powszechnego 2021 roku, nie da się nie wspomnieć o jednym z nich. Na tle załamania się bezwzględnej liczebności czy też odpowiednich wskaźników wielu, w pierwszej kolejności rdzennych narodów, jednym z głównych zwycięzców przeprowadzonego spisu stała się grupa, która zwiększyła swoją liczebność z 5 629 429 w 2010 roku do 10 965 330 w 2021 roku, a swój udział w populacji z 3,94 proc. do 11,27 proc. Ta grupa to osoby, które nie zadeklarowały swojej narodowości. Choć krytycy spisu słusznie zwracają uwagę, że w niektórych przypadkach mogło to być konsekwencją porażek w jego realizacji, to nie możemy nie zauważyć, że taka dynamika wpisuje się w ogólnoświatowy trend relatywizacji etniczności w ogóle. Tym bardziej, że jeden z najwyższych wskaźników osób odmawiających identyfikacji etnicznej podało demograficzne centrum kraju – czyli aglomeracja moskiewska, wśród mieszkańców której takich osób znalazło się aż 22,68 proc., czyli prawie 3 mln. Jak zwykle, za Moskwą idzie „druga stolica", Sankt Petersburg, gdzie ludzi nieidentyfikujących się z żadną nacją było 15,79 proc. (884 678).

Liczby mówią wszystko

W zasadzie na tym można by było zakończyć rozważania o efektywności polityki Putina, który od 2022 roku z demograficznego bajkopisarza zmienił się w otwartego demograficznego grabarza. Jednakże jest jeszcze kilka aspektów rezultatów tego spisu powszechnego dla Rosjan, nad którymi wypada się pochylić.

I tak baszkirski polityk Rusłan Gabbasow słusznie zauważył, że podczas gdy liczba Rosjan w całej Rosji spadła, to w Baszkortostanie ich liczba wzrosła z 1 432 906 do 1 509 246. Ciekawe, że sytuacja w Tatarstanie jest mniej więcej taka sama – liczba Rosjan wzrosła z 1 501 369 w 2010 roku do 1 574 804 w 2021 roku. W Czuwaszji bezwzględna liczba Rosjan nieznacznie się zmniejszyła, ale względna wzrosła: 348 515 osób i 26,53 proc. w 2010 roku oraz 329 991 osób i 27,80 proc. w 2021 roku. Jednocześnie populacja Czuwaszów w Czuwaszji drastycznie zmniejszyła się zarówno w wartościach bezwzględnych, jak i względnych: 889 268 osób i 67,69 proc. w 2010 roku wobec 684 930 osób i 57,70 proc. w 2021 roku.

A teraz popatrzmy, jak się mają rzeczy z rosyjską demografią w historycznym i demograficznym jądrze tego, co można by było scharakteryzować jako rosyjski etnos.

Obwód włodzimierski: 1 201 693 osób w 2021 roku w porównaniu do 1 288 716 osób w 2010 roku, całkowity spadek o 87 023 osoby czyli 6,75 proc. lokalnej populacji rosyjskiej.

Obwód jarosławski: 995 413 osób w 2021 roku w porównaniu do 1 172 188 osób w 2010 roku, całkowity spadek o 176 775 osób, czyli 15,08 proc. miejscowej populacji rosyjskiej.

Obwód nowogrodzki: 481 858 osób w 2021 roku, w porównaniu do 560 280 osób w 2010 roku, całkowity spadek o 78 422 osoby, czyli 13,99 proc. lokalnej populacji rosyjskiej.

Obwód twerski: 1 022 391 osób w 2021 roku w porównaniu do 1 172 007 osób w 2010 roku, całkowity spadek o 149 616 osób, czyli 12,76 proc. miejscowej populacji rosyjskiej.

Obwód orłowski: 631 606 osób w 2021 roku w porównaniu z 739 019 osób w 2010 roku, łączny ubytek o 107 413 osób, czyli 14,53 proc. miejscowej ludności rosyjskiej.

Można by tak jeszcze długo wymieniać, ale sprawa jest jasna – rdzenna, autentyczna ludność rosyjska w swoich regionach etnicznych wymiera w tempie innych liderów wymierania wśród rdzennych narodów. Jednocześnie liczebność ludności rosyjskiej rośnie w republikach narodowych, jak wszystko na to wskazuje, w wyniku asymilowania słab-

eprasa.pl 0c7443f31f

szych nacji. Na przykład w Baszkortostanie wzrost liczby ludności rosyjskiej „z jakiegoś powodu" zbiegł się ze spadkiem liczebności obecnych tam ugrofińskich i prawosławno-tureckich narodów: Mordwinów było 20 300 osób, a obecnie jest 10 970; Udmurtów było 21 477, a obecnie jest 17 149; Maryjczyków – 103 658, a obecnie 84 988; Czuwaszów – 107 450, a obecnie 79 950.

Podobna dynamika spadku liczebności tych narodów, przy wzroście liczby Rosjan, obserwuje się również w Tatarstanie. Na przykład było 19 156 Mordwinów, a jest obecnie 12 055; 23 454 Udmurtów, obecnie 21 327; 18 848 Maryjczyków, obecnie 15 666; wreszcie 116 252 Czuwaszów, obecnie 90 474. Na bezbronność ugrofińskich i prawosławno-tureckich ludów Rosji wobec rusyfikacji wskazuje również spadająca liczebność ich etnosów w poszczególnych republikach tytularnych. W Mordowii z 37,10 proc. do 31,94 proc., w Mari El z 42,88 proc. do 36,36 proc., w Udmurcji z 26,99 proc. do 20,63 proc. i wreszcie w Czuwaszji, jak już wspomniano, z 67,69 proc. do 57,70 proc.

Zupełnie inaczej jest w przypadku narodów tytularnych, które przed rusyfikacją chronią bariery religijne i/lub rasowe. W międzyczasie Kałmucy zwiększyli swój udział we własnej republice z 56,22 proc. do 59,57 proc. (przy spadku udziału Rosjan z 29,61 proc. do 24,51 proc.), Tuwińcy z 80,96 proc. do 83,10 proc. (przy spadku udziału Rosjan z 16,05 proc. do 9,48 proc.), Jakuci z 45,54 proc. do 47,13 proc. (przy spadku udziału Rosjan z 41,15 proc. do 27,81 proc.). Tatarzy i Baszkirzy również radzą sobie jak na razie we własnych republikach: niewielki spadek z 52,21 proc. do 53,15 proc. nastąpił w przypadku Tatarów i niewielki wzrost z 29,5 proc. do 31 proc. w przypadku Baszkirów. O mocno zislamizowanym północno-wschodnim Kaukazie, gdzie udział Rosjan w lokalnej ludności już dawno spadł w okolice błędu statystycznego, nie ma nawet co wspominać. Za to znacząco udział etnicznych Rosjan w lokalnych populacjach zmalał w ciągu ostatniego dziesięciolecia w republikach Kaukazu północno-zachodniego, gdzie demograficzna pozycja Rosjan jeszcze pozostawała dostatecznie silna. I tak w Karaczajo-Czerkiesji udział Rosjan spadł z 31,6 proc. do 27,16 proc., przy jednoczesnym wzroście udziału Karaczajów z 41,0 proc. do 43,75 proc., Czerkiesów z 11,9 proc. do 12,51 proc., Abazów z 7,8 proc. do 8,01 proc. i Nogajów z 3,3 proc. do 3,69 proc. W Kabardyno-Bałkarii zachodzą podobne procesy: udział Rosjan spadł z 22,5 proc. do 19,32 proc., natomiast udział Bałkarów wzrósł z 12,7 proc. do 13,37 proc., a Czerkiesów kabardyńskich z 57,2 proc. do 58,51 proc.

Przekształcanie nie-Rosjan w Rosjan

Podsumowując te wszystkie procesy, „ruski mir" Putina przypomina „kota Schrödingera", który jest albo żywy, albo martwy, w zależności od tego, jak się na niego patrzy. Może on rosnąć tylko kosztem przekształcania nie-Rosjan w Rosjan, najwyraźniej z trzech głównych źródeł. Po pierwsze, kosztem preasymilacji ugrofińskich i prawosławnych tureckich ludów z północnej Eurazji. Po drugie, poprzez planowaną transformację w Rosjan etnicznie ukraińskiej ludności anektowanych południowo-wschodnich regionów Ukrainy, co jest przedstawiane jako ich „powrót" do Rosjan. Po trzecie, poprzez deetnicyzację tożsamości rosyjskiej i rozszerzenie jej na przedstawicieli narodów, które raczej nie porzucą swojej tożsamości etnicznej, ale mogą przyjąć obok niej tożsamość rosyjską jako tożsamość „obywatelską" („rosyjscy Czeczeni", „rosyjscy Dargińcy", „rosyjscy Tadżycy" itd.). A to, że udział „wielkorusów" w tym syntetycznym „ruskim mirze" będzie się zmniejszał, jest zgodne z putinowskim spojrzeniem na naród rosyjski jako na etnos stale ewoluujący i rozszerzający się, a nie ugruntowany.

Inna sprawa, że taka konstrukcja nie ma etnicznego wsparcia w sobie samej i opiera się całkowicie na państwie. Pytanie, co się z nią stanie w przypadku jego kolejnego upadku, który tylko w poprzednim stuleciu zdarzył się już dwukrotnie.

EWENTUALNA KLĘSKA „RUSKIEGO MIRA" W WOJNIE, KTÓREJ JEGO IDEOLODZY NADALI CHARAKTER EGZYSTENCJALNY, MOŻE MIEĆ NAJBARDZIEJ DRAMATYCZNE KONSEKWENCJE DLA ROSYJSKIEJ TOŻSAMOŚCI W POSTACI ODPŁYWU JEJ NOSICIELI ALBO DO INNYCH TOŻSAMOŚCI, ALBO PO PROSTU DONIKĄD.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 0c7443f31f



Marek Kalinowski

Nigdy nie jest za późno

Nie do wiary, on znowu to zrobił! – to pierwsza myśl, która przychodzi do głowy po odsłuchu najnowszego krążka Iggy'ego Popa „Every Loser". Artysta, który niedawno obchodził 75. urodziny, zaprezentował bowiem płytę, która rozpala zmysły w nie mniejszym stopniu niż legendarne albumy, które blisko pół wieku temu nagrywał z Davidem Bowie czy z zespołem The Stooges

Prekursor punk rocka, Iggy Pop, jeśli w ostatnich latach rozpalał emocje, to bardziej jako prezenter radia BBC 6 niż aktywny muzyk. W swojej audycji wielokrotnie udowadniał, że ma doskonały instynkt i wśród młodych wykonawców potrafi wyłowić prawdziwe perełki. Szerokie zainteresowania muzyczne o ile sprawdzały się na licznych gościnnych nagraniach, to już nie korelowały zbyt dobrze z solową twórczością. Eksperymenty z jazzem i muzyką elektroniczną bardziej nużyły, niż zachwycały, a najlepszym tego przykładem była wydana przed czterema laty płyta „Free".



Iggy Pop, EVERY LOSER, Gold Tooth Records / Atlantic Records

Być może na kolejny zwrot w twórczości Popa trzeba było czekać na właściwy moment, albo raczej na właściwą osobę. Spotkanie z młodym, utalentowanym producentem Andrew Wattem pozwoliło wykrzesać z sędziwego Popa nieco już zapomniany, punkrockowy pazur. I odkrycie to okazało się strzałem w dziesiątkę!

Otwierający najnowszy album utwór „Frenzy" ustawia dość wysoko ładunek emocjonalny krążka, z gitarowym finałem, który z powodzeniem mógłby się znaleźć na starych nagraniach Nirvany. Nieco łagodniej rozpoczyna się druga piosenka „Strung Out Johnny" z pomysłowym brzmieniem klawiszy i tym charakterystycznym, absolutnie nie do podrobienia niskim głosem Popa. Nieco słabsze „New Atlantis" na szczęście szybko ucieka z pamięci, gdy tylko pojawia się zadziorny dźwięk gitar w utworze „Modern Day Ripoff". Do tego te znakomite solówki, przejścia perkusji – istny majstersztyk. Sekcja rytmiczna jest tu zresztą nie do pokonania – za całe szaleństwo odpowiada przecież jeden z najlepszych bębniarzy w rockandrollowym świecie – Chad Smith wyciągnięty na chwilę z wyjątkowo ostatnio zapracowanych Red Hot Chili Peppers, a także nieodżałowany perkusista Foo Fighters, Taylor Hawkings. A to nie koniec niespodzianek! Gwiazdorska obsada albumu „Every Loser" nie ogranicza się przecież wyłącznie do perkusistów. W nagraniach usłyszymy jeszcze gitarzystę Pearl Jam Stone'a Gossarda i Duffa McKagana z Guns N' Roses.

Warstwa tekstowa zdecydowanie nie jest najmocniejszą stroną albumu. Mimo nieprzebierającej w słowach czołówki, są jednak momenty warte odnotowania, jak choćby bardzo celny opis ucieczki w uzależnienia. Trudno tu o bardziej wiarygodnego narratora, Iggy Pop doskonale wie, o czym mówi, bo przygoda z heroiną kosztowała go bardzo wiele. Artysta ma jednak sporo dystansu do siebie, co udowadnia w klimatycznej balladzie „Morning Show".

Nowy repertuar Iggy'ego Popa będzie można już wkrótce usłyszeć na żywo. W czerwcu wokalista wystąpi jako gość specjalny na koncercie Red Hot Chili Peppers w Warszawie. Role można by z powodzeniem odwrócić i to chłopaki z Kalifornii mogliby tworzyć support dla sędziwego Popa. Mniejsza jednak o pierwszeństwo, koncert będzie z pewnością próbą wytrzymałości dla perkusisty Chada Smitha, przed którym kilka godzin intensywnej pracy, no i dla... Stadionu Narodowego, obiektu, który przecież słynie głównie z tego, że nic na nim nie słychać. ■

eprasa.pl 0c7443f31f

Tomasz Sakiewicz

Jak lewica ukradła liberalizm

Nigdy nie uważałem się za liberała, jeżeli już, to konserwatywnego liberała. Jaka różnica? Otóż liberał uznaje, że człowiekowi wszystko wolno poza naruszaniem praw innych, a konserwatywny liberał zaczyna od zdefiniowania praw innych i praw naturalnych oraz tradycyjnych reguł społecznych, by powiedzieć, że w ramach tych reguł wszystko wolno. Granica prosta nie jest. Jednak przewodnikiem do zrozumienia obydwu nurtów jest owo „napięcie" między wolnością a powinnością. Wolność jednak pozostaje w centrum praw człowieka. Przez nią należy rozumieć wybór realny, to znaczy to, że o swoim życiu decyduje jednostka, a nie państwo czy społeczność. Dyskusja w ramach tej formacji jedynie dotyczy granic, tego, kto je ustanawia i jak mogą być szerokie. Nie do końca nakłada się na to spór o powinności religijne. Można być konserwatywnym liberałem, będąc niewierzącym.

Konserwatyzm daje pewien zbiór praw wynikających z doświadczenia naszej cywilizacji przeplatanego prawami naturalnymi. Ale sam konserwatyzm bez wolności nie istnieje. Tak jak liberalizm w najczystszej postaci jest zwykłą utopią, bo ktoś musi zakreślić granice, przy których wolność jednego nie narusza wolności drugiego. Inaczej popełniamy błąd większy niż tylko logiczny. Otóż ten ostatni błąd bardzo często był wykorzystywany przez nurty totalitarne, ostatecznie, w swoich zamiarach, gwałcące wolność człowieka. Czy moja wolność może pozwalać na zabranie wolności innemu człowiekowi? Wygląda to absurdalnie, a jednak w imię fałszywie pojętej wolności tak się dzieje. Człowiek nie może być wolny, kiedy odmawia mu się prawa do życia. Społeczeństwa podające się za liberalne jednak przedefiniowały tak prawo do życia, że całe grupy istnień ludzkich zostały z niego wyjęte. Chodzi nie tylko o aborcję, w niektórych wypadkach nawet do momentu, kiedy dziecko może samodzielnie żyć, lecz także o eutanazję bez zgody zainteresowanego, mimo że czasem nawet rodzina pragnęłaby, żeby żył, lub on sam chciałby tego. To przykłady drastyczne, ale nierzadkie. W imię wolności ogranicza się prawa rodziny do wychowania dzieci, przekazując je państwu albo wręcz organizacjom realizującym społeczne eksperymenty. Każdy ustrój totalitarny miał w zanadrzu dominujący wpływ na kształtowanie młodego człowieka.

W imię wolności wprowadza się też zupełnie bezczelną cenzurę. Otóż ci, którzy ogłosili się kapłanami wolności, za największe zagrożenie uważają krytykę ich błędów. Do zwalczania tej krytyki używają nie tylko słów, lecz także często instrumentów prawnych, a nawet przemocy. To powoduje, że filozofia liberalna staje się zaprzeczeniem idei liberalizmu. Aby wyjaśnić ten mętlik pojęciowy, zastępują nazwę swojego nurtu określeniem liberalno-lewicowy. Lewicowość oznacza prawo do podważania zasad wolności wszędzie tam, gdzie jest to wygodne. Konserwatyzm jeżeli je ogranicza, to poszukuje praw znanych i uniwersalnych, ale przede wszystkim długotrwałych, a więc takich, z którymi ludzie mają już doświadczenie. Lewicowy liberalizm nadaje prawo do tych ograniczeń silniejszemu, byle to czynił w imię „wolności". Siła ta nierzadko wynika z demagogii lub oszustwa.

Liberalizm w najczystszej postaci jest zwykłą utopią, bo ktoś musi zakreślić granice, przy których wolność jednego nie narusza wolności drugiego. Inaczej popełniamy błąd większy niż tylko logiczny.

W rezultacie w imię wolności w społeczeństwach liberalnych drastycznie wolność ograniczono, chroniąc coraz bardziej utopijne i często niebezpieczne dla człowieka idee.

To doprowadziło cywilizację zachodnią do kryzysu. Nie wieszczę jej upadku, ale odrodzenie. Wolność nie znosi ograniczeń, nawet w imię wolności. Widzimy więc narastającą kontrrewolucję, która ma zdjąć z piersi ludzi gorset lewicowej ideologii i oddać im należne prawa do decyzji. Gorset pęknie, bo człowiek potrzebuje wolności jak powietrza. ■

eprasa.pl 0c7443f31f

Strefa Wolnego Słowa



Albicla.com

eprasa.pl 0c7443f31f